

ANETA
JADOWSKA



PRÓBY OGNI
I WODY

KRONIKI SĄSIEDZKIE

SON
Originals

**PRÓBY OGNI
I WODY 🐾**

ANETA
JADOWSKA

**PRÓBY OGNI
I WODY** 

KRONIKI SĄSIEDZKIE

KRAKÓW 2022

Próby ognia i wody

Copyright © by Aneta Jadowska 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Strożek

Skład i łamanie – Natalia Patorska

Okładka – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

Ilustracje wewnątrz książki – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382106510

ISBN epub: 9788382106527



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto, Paulina Gawęda, Beata Nowak, Piotr Jankowski

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Mateusz Wesołowski

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowicz, Marcin Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaś

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

SPIS TREŚCI

Okładka

Strony tytułowe

Karta redakcyjna

Wstęp

 Czym karmię swoje demony

 Ręce pełne rysiów

 Haczyki w sercu

Reklamy

WSTĘP

Zaczęło się od pandemii i lockdownu. Powinnam pisać coś zupełnie innego, ale moją głowę nagle opanowały rysie. Wyobraźnia podsuwała kolejne scenki i obrazki. Pinterest szybko wylapał moją nową obsesję i moja tablica wypełniła się rysietami. Walka nie trwała zbyt długo ani, przyznam, nie była specjalnie zacięta. Zaczęłam pisać to, co trafiło w Wasze ręce jako *Afera na tuzin rysiów*.

Oto do Warsa zakrada się wiosna, Nikita dochodzi do siebie po ciężkiej robocie i czeka na Robina, który wreszcie, po trzech miesiącach, ma wrócić do miasta z odwiedzin u mamy. A Michaś wynajmuje Nikite, bo jego rodzinie naprawdę przydałaby się kawaleria...

Nowe rozdanie, nowa historia. Trylogia Nikity była jej poszukiwaniem odpowiedzi na pytania o przeszłość i o granice tożsamości, a także jej własną debatą na temat: „Geny czy wychowanie?”. Jak również próbą sformułowania odpowiedzi: „Zadne z nich – sama piszę swoją historię”.

Teraz Nikita szuka swojego miejsca w świecie, wrasta w sąsiedztwo, zapuszcza korzenie w Warszawie i lepiej poznaje ludzi żyjących wokół niej. Przestaje przemyczać na marginesach, staje się częścią ich historii.

Od początku wiedziałam, że ta powieść jest trochę inna niż dotychczasowe i wiąże się z nią pewne wyzwania... Ten zbiór to moja próba sprostania części z nich. Nigdy jeszcze nie napisałam antologii związanej z powieścią tak ściśle, że właściwie najlepiej byłoby je czytać razem. Ktoś może uznać ten pomysł za osobliwy, ale struktura powieści ma konkretne wymogi i beztrioskie pączkowanie wątków pobocznych nie działa na jej korzyść. Mogłabym za kilka lat wydać zbiór podobny do *Ropuszek* – tylko czemu właściwie mielibyście czekać tak długo, skoro możecie dostać te historie już teraz?

Pierwsza w zbiorze jest Stella i opowiadanie *Czym karmię swoje demony*.

W powieści Nikita wiele razy wspomina o sprawie, która rozegrała się tuż przed początkiem wydarzeń opisanych w *Aferze...*, o traumie i konsekwencjach tego, co ją spotkało w domu Stelli. Oczywiście rodzi się pytanie: CO TAM SIĘ STAŁO? No więc to grubsza historia i gdybym zdecydowała się ją uczynić częścią powieści, musiałabym ją radykalnie skrócić – ze szkodą dla niej. Stąd opowiadanie. Chwilami jest dziwne i niepokojące, ale myślę, że odkrywa o Nikicie coś, co zaskoczyło nawet ją.

Kolejne w zbiorze *Ręce pełne rysiów* były po prostu koniecznością!

Kiedy wiele lat temu napisałam opowiadanie *Jak pies z kotem*, jako prezent dla Was na święta (trafiło później do zbioru *Dynia i jemiota*), pytałicie mnie często, czy to część Thornverse'u. Jak miałam Wam wytłumaczyć, że owszem, ale Rafał jest spokrewniony z bohaterami, których właściwie jeszcze nie poznaliście? Bez sensu. Aż wreszcie dotarłam do momentu, kiedy rysie przejęły kontrolę i cała historia zaczęła się toczyć wokół rodziny Rudeckich. To był moment, kiedy mogłam ujawnić, że Rafał jest wujkiem Michasia i młodszym bratem spluwającego nabojami Tyma Rudeckiego. Co więcej, mogłam zabrać Rafała i Annę z ich bezpiecznego, przytulnego miasteczka i rzucić wprost w paszczę Warsa. Autorzy czasami bywają brutalni. W trakcie pisania powieści zrozumiałam jednak, że ogromna część tej przygody Anny i Rafała nie trafi do czytelników, bo narracja w rękach Nikity podąża innymi ścieżkami. Konieczne było więc długie, naprawdę długie opowiadanie, z którego moglibyście się dowiedzieć nie tylko, jak doszło do tego, że Rafał i Anna przyjechali do Warsa, ale też jakie przygody przeżywali, kiedy wszyscy byli zajęci czymś zupełnie innym. A jeśli przy okazji ujawnię kilka malutkich tajemnic Karmy i Ilii, to chyba nic się złego się nie stanie, prawda...? Opowiadanie chwilami krzyżuje się z fabułą powieści i pozwala spojrzeć na pewne wydarzenia z perspektywy kogoś, kto Warsa nie zna i ma nieco inną definicję normalności. Częściej jednak biegnie równoległe do fabuły *Afery...*, podążając za Anną, rysiami i ich przygodami.

Nie jest moim opowiadaniem *Ręce pełne rysiów* tak słodkie i pełne złośliwości jak opowieść *Jak pies z kotem*, ale mam nadzieję, że się Wam spodoba. Tu pozdrawiam Helenę Stawicką, moją młodą czytelniczkę, której zaangażowanie i uwielbienie dla rysia i jego wilczycy jest wręcz legendarne. Helenka bardzo skutecznie pilnowała, bym nigdy nie zapomniała o tych bohaterach, więc to opowiadanie i ich obecność w *Aferze na tuzin rysiów* to poniekąd i jej zasługa.

I wreszcie *Haczyki w sercu* – tekst będący poniekąd epilogiem zarówno *Czym karmię swoje demony*, jak i *Afery...* Tu do głosu dochodzi Brynjar, ten, który milczał. Nie napiszę nic więcej, poza tym, że

mogą się Wam przydać chusteczki. Mnie były potrzebne, kiedy pisałam ten okruch historii Nikity i jej berserka.

Wars i Sawa nie są najłatwiejszymi miejscami do życia, ale muszę przyznać, że w ostatnim czasie zyskują w moich oczach. Pewnie przez porównanie ze światem realnym. Czymże jest czkawka czy kilka potworów w porównaniu ze pandemią i wojną? Niewykluczone, że trzy czy cztery lata temu nie wpadłabym na to, by schronić się w Warsie, z Nikitą, ale teraz cieszę się, że tak właśnie się stało. Cieszę się nowym etapem jej przygody i mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że to jeszcze nie koniec.

CZYM KARMIE
SWOJE DEMONY



I

Gdybym miała choć odrobinę rozumu, siedziałabym teraz w domu, parzyła sobie język odgrzaną w mikrofalówce zapiekanką i świętowała koniec roboty. Zamiast tego tkwiłam na bulwarach, wpatrując się w czarną, niespokojną Wisłę. I w neonowozielony but, który unosił się na powierzchni dzięki grubej, piankowej podeszwie. Z buta wystawała ludzka łydka, biała, pomarszczona, ze sterczącym w niebo ostrym odłamkiem piszczele. Podrygiwała na falach, gdy dwa kelpie przepychały się obok, walcząc o pierwszeństwo do uczy. Nie ja wrzuciłam im ten smakołyk, nie miałam też pojęcia, do kogo jeszcze kilka dni temu należała noga. Siedziałam w jednym z najniebezpieczniejszych miejsc w Warszawie i gapiłam się na rzeczne ścierwojady tylko dlatego, że alternatywą był powrót do pustego domu.

Właśnie to mnie wkurwiała i wytrącało z równowagi. Mój dom zwykle stał pusty i przez większość czasu uważałam to za jego główną zaletę. Ten stan oznaczał, że w środku nie czai się ktoś, kto mógłby mnie zabić. Na przykład moi rodzice. Ceniłam sobie samotność. Kulturowałam ją. Strzelałam do każdego, kto próbował wtargnąć na moje terytorium. A potem przyszedł łośiek. Stanął przede mną z tym idiotycznym przyjaznym uśmiechem, obwieścił, że jest moim nowym partnerem, a ja zamiast go zastrzelić na miejscu, pozwoliłam mu się, kurwa, ze mną zaprzyjaźnić. Superpomysł, doprawdy.

Przeżyliśmy razem mnóstwo przygód i naprawdę go polubiłam. Dopiero kiedy zniknął z mojego życia na dłużej, docierało do mnie, jak kretyńsko się załatwiłam. Sama sobie zgotowałam ten los. Nagle mój dom stawał się nieprzyjemnie pusty, a ja, jak pierwsza lepsza idiotka, odliczałam czas do powrotu łośka i tęskniłam. Tak, byłam sobą znieśmaczona. Co dalej? Kupię nam łamany na pół wisiorek przyjaźni? Uplotę bransoletkę?

To był pierwszy raz, kiedy wyjechał do matki na tak długo. Odwiedzał ją już wcześniej, ale wizyty trwały góra kilka dni. Tym razem to były trzy miesiące. Kupa czasu. O ile w ogóle będzie czuł jego upływ tam, w tej dziwnej kieszonce między realnym światem a Zaświatami – małej, choć niewątpliwie boskiej domenie Rigani, gaelickiej bogini, która bardzo kochała swojego odzyskanego syna i na pewno znajdzie milion powodów, by przedłużyć tę wizytę.

Powinłam się cieszyć, że się odnaleźli, dogadali i spędzają miło czas. Zamiast tego unikałam własnego domu. Brałam każde, nawet najdurniejsze zlecenie. I prawie mi się udało dociągnąć do końca marca, czyli terminu powrotu Robina, ale zostało osiem dni. Sporo. Może jeszcze znajduję na słupie ogłoszenie o zaginionym kocie. Albo pójde się bić z kelpie o tę nogę i neonowy but...

Żalosne.

Gdy rozdzwonił się telefon w kieszeni mojej kurtki, pomyślałam, że opatrność boska czuwa nad kelpie. Nie znałam numeru, który wyświetlał się na ekranie, z tym że to akurat nie było niczym niezwykłym. Rozdałam tu i ówdzie sporo wizytówek, a mój numer krążył po Warszawie, gdzie zawsze znajdował się ktoś, kto szukał łowcy potworów czy ochroniarza. Paru wciąż chciało wynająć cyngla, ale w ostatnich miesiącach uparcie odrzucałam takie zlecenia. Poszukiwałam nowej ścieżki. Powiedzmy.

Odebrałam.

– Słucham – odezwałam się spokojnym, choć niezbyt przyjaznym tonem.

Może i prowadziłam biznes, ale nie była to branża, w której klienci spodziewali się po mnie ciepła i sprawnego nawiązywania relacji. Woleli, bym żuła pszczoły i spluwała nabojami.

– Czy dodzwoniłam się do Nikity, byłego Cienia? – Głos należał do kobiety. Wyłapywałam lekkie nuty determinacji i podenerwowania.

– Jedynej i niepowtarzalnej. Z kim rozmawiam?

Zawahała się, a potem powiedziała już pewniejszym tonem:

– Stella. Chciałabym panią wynająć.

– Skąd ma pani mój numer? – zapytałam.

To była dość istotna informacja. Rodzaj zlecenia mógł bowiem zależeć od tego, czy zamiary na mnie dał kobiecie ktoś ze wspólnot mieszkaniowych w Warszawie (istniało mnóstwo powodów, by mieszkańcy szukali ze mną kontaktu, choć zwykle wiązały się one z czkawką, potworami, czymś, co wyszło z Wisły i zjadło koty w sąsiedztwie lub sprawiło, że woda w kranie zrobiła się fioletowa), jeden z klientów,

którym zapewniałam ochronę albo których konwojowałam w czasie wypraw na Rubieże czy do Sawy, czy wreszcie ktoś z czasów, kiedy można było kupić u mnie kulkę w łeb dla wrogów lub konkurencji.

– Byłam w Zakonie. Sekretarka Matki Przełożonej mi go dała i poniekąd panią poleciła.

W jej głosie usłyszałam coś w rodzaju wahania.

– Co dokładnie powiedziała? – zapytałam.

Nie musiałam tego robić. Znałam Mariannę i domyślałam się, co mogła powiedzieć na mój temat. Byłam jednak ciekawa, czy dzwoniąca powie prawdę, czy ocenzuruje i pocukruje odpowiedź. To kolejna istotna wskazówka na temat osobowości potencjalnej klientki.

Kobieta westchnęła i oznajmiła z nutką rezygnacji:

– Że tylko pani jest na tyle dobra i na tyle głupia, żeby się na to pisać. I że jeśli ktoś może uratować moje życie, to pani. I jeżeli mam szczęście, weźmie pani tę robotę, choć nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie zrobił.

– Czuję się zaintrygowana i już prawie mam ochotę przyjąć to zlecenie – zażartowałam. – Gdyby tylko powiedziała pani, o co chodzi.

– To za długa rozmowa na telefon. Poza tym chcę panią zobaczyć, zanim wszystko opowiem – odparła twardo.

Wyglądałam całkiem normalnie jak na Warsa, przynajmniej wtedy, kiedy ja byłam u steru – metr siedemdziesiąt, muskularna sylwetka, prawie czarne włosy, lekko śniada karnacja i odrobinę skośne ciemne oczy, które dowodziły, że odziedziczyłam coś po dziadku ze Wschodu. Kiedy dominował Brynjar, wyglądałam, no cóż, jak potwór. Oficjalnie wpadam w tę rubryczkę jako berserk. Dlatego to ja chodziłam na spotkania z klientami.

– Gdzie i kiedy? – zapytałam krótko.

Podawała mi adres luksusowej kawiarni przy Fosie Walesa, na obrzeżach Twierdzy. Lokal był drogi i prestiżowy, głównie ze względu na lokalizację w bezpiecznej dzielnicy. Moja matka mieszkała trzy przecznice dalej. W niewiele większej odległości znajdowała się siedziba Zakonu.

– Za godzinę? – zapytała i znów słyszałam w jej głosie nerwowy ton.

– Będę. Jestem w okolicy.

Zanim się rozłączyła, dobiegło mnie westchnienie ulgi.

Zielony but sportowy wciąż unosił się na wodzie, ale po nodze i kelpie nie został już ślad. Przegapiłam rozwiązanie konfliktu.

Wyglądało na to, że jednak nie muszę wracać do domu. Praca, praca, praca.

II

Kawiarnia Jaśmin i Koliber należała do tych miejsc, w których tylko określony typ ludzi czuje się swobodnie i wie, że do nich pasuje. Subtelne, utrzymane w kobiecym klimacie wnętrze pełne światła, jasnych tkanin, miękko układających się i miłych w dotyku, delikatnych krzesłek i stoliczków o szklanych blatach. Na miłość bogów, jedna ściana była niemal całkowicie przeszklona (w wykuszu francuskiego okna stały donice ze storczykami i różowymi, pachnącymi oszałamiająco hiacyntami), a na drugiej wisiało kilkanaście wielkich lusterek w bogato zdobionych ramach. Lśniąca czystością podłoga z kremowego, żyłkowanego różowo marmuru odbijała blask kryształowych żyrandoli. Wszystko było tak jasne, świetliste i kruche, że kiedy wkroczyłam do środka, od razu poczułam na sobie niechętnie spojrzenia pracowników kawiarni.

Cóż, nie pasowałam tam. W czarnych ciuchach roboczych, ciężkich butach z okutymi noskami, z kaburami z bronią pod pachą i przy pasku wyglądałam jak ktoś, kto może obrócić to miejsce w miliard szklanych odłamków. Klientki siedzące przy czterech stolikach obejrzały się w moją stronę, jakby wyczuły pojawienie się drapieznika. Same też były drapieżnikami, ale w eleganckich garsonkach, z perfekcyjnymi makijażami i fryzurami spod grzebienia najmłodniejszych fryzjerów prezentowały się zdecydowanie dyskretniej. Ot, inny gatunek, choć nie mniej krwiożerczy.

Żadna nie siedziała sama, więc najpewniej wyprzedziłam swoją potencjalną klientkę. Wybrałam stolik najdalej od okna i towarzystwa, za to blisko wyjścia na zaplecze, i usiadłam. Kelnerka podeszła niemal natychmiast. Po jej minie poznałam, że najchętniej wyprosiłaby mnie od razu, ale oceniła, że bezpieczniej będzie mnie szybko obsłużyć i nie ryzykować awantury.

– Coś podać? – zapytała chłodno.

Uśmiechnęłam się, a ona się wzdrygnęła, jakbym na nią warknęła. Irytujące. Byłam czysta, nie zostawiałam za sobą śladów krwi i nigdy tu nikogo nie zabiłam. Zachowanie kelnerki podpadało pod uprzedzenia.

– Poczekam na koleżankę – powiedziałam i posłałam jej jeszcze jeden uśmiech. Tym razem mniej przyjazny.

Uciekła. Gdyby był z mną Robin, pewnie już by mu podsunęła serwetkę ze swoim numerem telefonu i trzepotała rzęsami na widok szczeniackowych ocząt i szerokich barków mojego partnera.

Zadzwiećcał dzwoneczek nad drzwiami i stanęła w nich wysoka, smukła kobieta. W popielatym moherowym płaszczu i ołówkowej sukience leżącej na niej jak rękawiczka pasowała do Jaśminu i Kolibra zdecydowanie bardziej niż ja. Kelnerka powitała ją szczerym uśmiechem i chciała zaprowadzić do „tego stolika, co zawsze”, ale Stella rozejrzała się i natychmiast rozpoznała niepasujący do otoczenia element. Gdzie jest Wally?, wersja dla leniwych.

Podeszła do mojego stolika pewnym krokiem, ale jej palce były zaciśnięte na rączce torebki z miodowej skóry odrobinę za mocno. Botki na zabójczo wysokich obcasach robiły cudowne rzeczy z jej wyrzeźbionymi, choć smukłymi łydkami. Raczej joga niż bieganie czy siłownia, oceniałam.

Usiadła przy stoliku i przez chwilę przyglądała mi się z uwagą dużymi piwnymi oczami. Nie pozostawałam jej dłużna. Była atrakcyjną kobietą koło czterdziestki, ale dbała, by zegar nie pędził bardziej, niż musi. Włosy w kolorze mlecznej czekolady z idealnymi miodowymi pasemkami miała elegancko upięte, z płatków uszu zwisały duże krople mieniących się ametystów w złotej oprawie. Na twarzy o wyrazistych rysach, może odrobinę zbyt szczupłej, pod oliwkową skórą widniał zarys kości policzkowych i szczęki. Dyskretny makijaż miał maskować podkrążone oczy i linie napięcia w kącikach ust i oczu.

Nie wiem, co ona zobaczyła, ale wydawała się zadowolona ze swoich oględzin, bo odłożyła torebkę na sąsiednie siedzenie i gładkim gestem zsunęła z ramion płaszcz, tak że opadł na oparcie krzesła.

– Zamówiła już coś pani? – zapytała pewnym tonem.

– Czekałam na panią.

Kelnerka pojawiła się niemal natychmiast i przyjęła od nas zamówienie na dwa dzbanki herbaty jaśminowej.

– Próbowала pani tutejszych makaroników? – zapytała nieoczekiwania Stella. – Są warte grzechu.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Nie miałam dotąd okazji – przyznałam rozbawiona.

Dodała do zamówienia tuzin ciasteczek i czekała w milczeniu, aż kelnerka przyniesie napoje i małą paterekę pełną tęczowych makaroników, rozstawi wszystko na szklanym blacie, naleje herbaty do filiżanek z przejrzystej chińskiej porcelany, po czym oddali się wystarczająco, byśmy mogły rozmawiać bez ryzyka, że coś usłyszy.

– Chcę panią wynająć na najbliższe dni. Do poniedziałku trzydziestego marca. Mój mąż próbuje mnie zabić – oświadczyła Stella.

– A trzydziestego przestanie chcieć? Czy to ja mam czas do trzydziestego, by się nim zająć? – zapytałam rzeczowo.

– Nie szukam zabójcy na zlecenie, pani Nikito. Szukam ochrony. Możliwie najlepszej. Trzydziestego o ósmej rano złożę w sądzie pozew rozwodowy i mojemu mężowi nie będzie się już opłacało mnie zabić.

– Czemu niełoży go pani dziś? – zapytałam z zainteresowaniem.

– W niedzielę o północy mija karencja zapisana w naszej intercyzie. Gdybym rozwiodła się z nim przed jej upływem, miałby prawo do połowy mojego majątku.

– A gdyby pani zginęła przed końcem karencji?

– Cóż, otrzymałby wszystko.

Sięgnęła po filiżankę i choć starała się okazywać emocji, płyn kołysał się w naczyniu, gdy uniosła je drżącą dłonią. Upiłam łyk herbaty. Była doskonała, aromatyczna i delikatna, bez śladu cierpkoci. Stella srebrnymi szczypczykami nałożyła sobie na talerzyk żółty makaronik i zaczęła go rozkruszać w palcach, jakby kompletnie nieświadoma tego, co robi. Wzięłam dwa na swój talerzyk i jeden od razu wrzuciłam do ust. Słodczy i smak pistacji rozplynęły mi się na języku. Mogłabym zjeść ich sto i nie miałabym dość. Zrobiło mi się żal rozdrobnionego już na okruszki makaronika na talerzyku Stelli.

– O jak dużym majątku mówimy? – zapytałam, choć to nie miało wielkiego znaczenia. Ludzie zabijali i dla milionów, i dla forsy zbyt małej, by kupić za nią butelkę wódki.

– Kojarzy pani firmę Kruk i Syn? – zapytała.

Przytaknęłam. Owszem, obiło mi się o uszy, że to jedna z największych i najstarszych firm jubilerskich w Warszawie, specjalizujących się w biżuterii magicznej. Warta miliony.

– Pani mąż to Kruk czy Syn? – zapytałam, zniżając głos.

Parsknęła cicho.

– Tak naprawdę jedynym Krukiem w naszym małżeństwie jestem ja. Miałam być synem, ale cóż. Ojciec nigdy nie zapomniał zawodu, jaki mu sprawiłam, i zostawił tego „Syna” w nazwie firmy. Po ślubie mąż przyjął nasze nazwisko. To był jeden z warunków zapisanych w intercyzie. Pracował w firmie przez dwadzieścia lat, ale od śmierci mojego ojca, czyli od ponad roku, wszystko należy do mnie. Może pani być spokojna, stać mnie na pani usługi.

– Wystarczy Nikita. Czemu odmówiono pani usług Zakonu? Na nich też panią stać – zauważyłam przytomnie.

– Uznali, że byłby to konflikt interesów. Mają już kontrakt podpisany z moim mężem – odpowiedziała cicho.

Niedobrze.

– Współpracował z nimi wcześniej? – zapytałam z nadzieją.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała głucho.

To komplikowało sprawę. Mogłam się założyć, że Cienie były nie mniej od męża Stelli zainteresowane tym, by nie dożyła poniedziałku, i zapewne podejdą do tematu proaktywnie.

– Mogę panią ochronić. Najrozsądniej byłoby przenieść się na najbliższy tydzień do Warszawy, mam tam dyskretne mieszkanie. Trudniej będzie im atakować po tamtej stronie bramy, zwłaszcza jeśli planowali atak magiczny. Dowiozę panią do sądu w poniedziałek.

Uśmiechnęła się blado.

– To akurat nie wchodzi w grę. Muszę zostać w domu. Ten warunek nie podlega negocjacji.

Przez chwilę żułam malinowy makaronik, zastanawiając się, co jej odpowiedzieć. Ta robota i bez dodatkowych komplikacji mogła być cholernie trudna.

– Proszę zrozumieć. Nie mogę wyjechać. Nawet teraz potrzeba, by wrócić do domu, jest obezwładniająca, a nie minęła godzina, odkąd jestem poza nim – powiedziała cicho.

– Magia? – zapytałam.

– Poniekąd. Proszę. Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Odesłali mnie wszyscy. Najwyraźniej każdy robi interesy z moim mężem. Albo ma już inną robotę. I jestem pewna, że przynajmniej kilka z tych „robot” to zlecenia na mnie. Proszę mi pomóc...

Pewność siebie, z jaką tu wmaszerowała, częściowo się ulotniła. Z jej wielkich piwnych oczu na chwilę wyjrzało autentyczne przerażenie.

– Ma pani szczęście – powiedziałam spokojnie. – Marianna miała rację, jestem dość głupia, by się tego podjąć. I mam nadzieję, że dość dobra, byśmy w poniedziałek dotarły do sądu i zakończyły tę imprezę z przytupem.

Uśmiechnęła się z taką ulgą, że poczułam się nieco nieswojo. Może powinnam dodać, że poza szczęściem potrzebny był jej jeszcze cud?

*

Stella wsiadła do Brzydala z oporami, jakby nie była pewna, czy moja terenówka jej nie poźre. Przerzuciłam torbę z bronią na tylne siedzenie, ale to niewiele pomogło.

– Tak będzie szybciej. Poza tym nie zostawię tu auta. Nawet w tej dzielnicy byłoby to głupie – powiedziałam.

Chyba to, że prędzej dojedziemy, ją przekonało. Była nerwowa. Jakby w głowie tykał jej zegar i zbliżał się do wybicia pełnej godziny. Podała mi adres, a potem przez większość drogi milczała. Faktycznie nie było daleko, może dwa kilometry od kawiarni, w głąb Twierdzy. Prawie po sąsiedzku z domem mojej matki – trudno o bardziej prestiżowy adres w Warszawie. Gdy podjechałyśmy do bramy, Stella wychyliła się i pomachała w kierunku kamery. Zamrugało światelko nad wjazdem i wrota otworzyły się z cichym brzęczeniem silniczka.

Bez wątplenia mieli forszę, i to od pokoleń. Działka była tak rozległa, że z ulicy nawet nie widziałam domu. Zaraz za bramą wyrastał gęsty, stary park, którego zieloną ścianę przecinał podjazd z kremowego piaskowca. Przejechałam nim dobre osiemdziesiąt metrów, zanim zobaczyłam bielejący w oddali budynek.

Cena ziemi w takiej lokalizacji musiała być astronomiczna. Arogancja właścicieli podobnie. Rezydencja Kruków stanowiła rzadki okaz jak na standardy Warsa. Wiele domów w moim mieście zbudowano przed wojną i wielką zmianą, z niefrasobliwością architektoniczną typową dla czasów, kiedy życie tu było prostsze i bezpieczniejsze. Potem budynki zaczęto dostosowywać do nowych okoliczności. Wzmacniano fundamenty, zmniejszano liczbę i rozmiar okien, rezygnując z większej ilości światła na rzecz bezpieczeństwa. Te nowe, mniejsze okna często wyposażano w kraty albo solidne okiennice lub stalowe rolety, które zamykano, kiedy nadciągała czkawka. Nawet małe domki nabierały cech fortecy, bo po prawdzie nimi były – miały zapewnić bezpieczeństwo mieszkającym w nich ludziom i powstrzymać wszystko, co czyhało na zewnątrz.

Zbudowany przed wojną dom Kruków, flirtujący z modernistyczną estetyką i fascynacją miękkimi liniami oraz wielkimi szklanymi taflami, wyglądał niczym biały słoń przycupnięty pośrodku starego parku. W oczy rzucało się mnóstwo szkła, przeszklone były nawet wielkie drzwi wejściowe. Ani śladu okiennicy czy podstawowych środków bezpieczeństwa. Miałoby to sens, gdyby użyto tu porządnej magii defensywnej – wtedy byłby to chojracki, ale czytelny komunikat: jesteście na tyle potężni, by się nie bać tego, co może przyjść po was nocą. Z tym że Krukowie rażąco zaniedbali te środki bezpieczeństwa. Przecinałam rozległy trawnik wokół domu i nie czułam nawet śladu barier ochronnych. Dopiero jakieś trzy metry od budynku targnęło mną delikatne szarpnięcie. Krąg był stanowczo zbyt słaby, by mnie zatrzymać. Przeszłam przez niego jak przez zasłonę z drewnianych koralików, wiszącą w wejściu zamiast drzwi antywłamaniowych.

Ludzie z taką forszą i tak wielką chałupą mieli pojedynczy krąg ochronny, nieodnawiany od kilku tygodni, może miesięcy?

Milczałam. Zanim powiem Stelli, że jest idiotką, chciałam się rozejrzeć. Może w środku znajdował się panic room, może wielki, biały słoń skrywał wewnątrz jakieś niespodzianki, a to wrażenie bezbronności było tylko zmyłką?

– Kto dba o bezpieczeństwo rezydencji? – zapytałam.

– Mieczysław. Był lokajem mojego ojca – powiedziała, wysiadając.

– Nadal dla pani pracuje?

– Tak, skąd pytanie?

Nie odpowiedziałam. Jeśli żył i wciąż pobierał wynagrodzenie, nic nie usprawiedliwiałoby takiego niedbalstwa, ale o tym, uznałam, zdążymy porozmawiać, kiedy będę jej wyjaśniać, dlaczego nie możemy tu zostać. Wykluczone, bym zdołała zbudować mocne kręgi wokół tak wielkiego budynku. Powinni byli robić to systematycznie przez ostatnich osiemdziesiąt lat, regularnie dokładać warstwy, aż przed nadejściem czkawki wystarcząby przypominające impulsy, by dom był chroniony. Zresztą nawet jeśli stosowano taką praktykę przez lata, to w ostatnich miesiącach zaniedbano ją do tego stopnia, że rezydencja i jej mieszkańcy znajdowali się w niebezpieczeństwie.

Choćby Stella dożyła poniedziałku, nadciągała wiosenna fala czkawek. Bylibyśmy w tym domu jak kaczki na strzelnicy.

W myślach szykowałam przemowę, dlaczego upór i duma mają swoje granice, za to rozsądek pozwala żyć dłużej. W mojej ocenie Stella musiała zrobić dwie rzeczy: wynieść się stąd na czas podwyższonego ryzyka, a potem zatrudnić wiedźmę, która ustawi jej tu uczciwe kręgi bezpieczeństwa.

W tym momencie jeszcze myślałam, że to jest normalna robota.

Zakładałam też, że to mąż Stelli i potencjalna czkawka są największym zagrożeniem, z jakim przyjdzie mi się zmierzyć w trzewiach białego słonia.

*

Stella wbiegła po jasnych marmurowych schodach. Przekraczając próg, odetchnęła z ulgą, jak gdyby po tej stronie drzwi czuła się bezpiecznie.

– Czy zdjęła pani osłony z domu? – zapytałam.

Zmarszczyła brwi, jakby nie wiedziała, o czym mówię.

– Są takie jak zawsze.

– Czy to pani ustawiła bariery?

Pokręciła głową.

– Nie mam wystarczająco dużo magii. Zawsze zajmował się tym ojciec, a po jego śmierci mój mąż. Rodzina ojca była silnie magiczna. Ja większość cech odziedziczyłam po matce. Była piękną kobietą, ale w pełni człowiekiem, żadnej magii.

No tak, w wypadku magii ruletka genetyczna potrafiła być perfidna, co tylko pogarszało sytuację mojej klientki. Musiałam powiedzieć to Stelli wprost.

– Pani szanse na przeżycie najbliższego tygodnia w tym domu są nikłe. Nawet hotel byłby lepszym pomysłem.

Zaplotła ramiona na piersi i posłała mi ostre spojrzenie.

– Rób, co musisz, ale zostajemy tutaj.

– Jest bardzo niewiele rzeczy, które mogę tu zrobić, by była pani bezpieczna – rzuciłam z frustracją.

– Nie mogę stąd odejść – odpowiedziała twardo.

– Mówiła pani, że chce dożyć poniedziałku. Po co się aż tak narażać?

– Chodź za mną. Zrozumiesz, czemu muszę tu zostać – odparła i ruszyła na piętro.

Poszłam bardziej z ciekawości niż wiary w to, że cokolwiek może mnie przekonać do zmiany zdania.

Weszliśmy do dużego pokoju o kremowych ścianach, wyłożonego puszystym zielonkawym dywanem. Stella rozsunęła zasłony, wpuszczając światło. Rozglądałam się dookoła, odruchowo omijając wzrokiem stojące na środku szpitalne łóżko. Na długim pałaku wisiały worki z kropłówkami, na ekranie aparatury medycznej systematycznie pojawiały się niewielkie wychylenia linii.

– Nie opuszczę babci – szepnęła Stella. – Tylko ona mi została.

Zmusiałam się, by spojrzeć na niewielką postać na łóżku. W pościeli w kwiatowy rzucik leżała szczuplutka, stara kobieta. Nieprzytomna. Twarz miała wychudzoną, z głęboko zapadniętymi oczodołami, a przypominająca pergamin skóra wisiała luźno na podbródku i kościach policzkowych. Cienkie jak pajęczyna siwe włosy leżały na poduszce, starannie uczesane. Gdyby nie cichutkie, regularne „ping” aparatury, można by wątpić, czy staruszka jeszcze żyje. Czułam w pomieszczeniu magię, więc może babcia Stelli nie była całkiem nieobecna, ale odpłynęła naprawdę daleko.

– Co jej jest? – zapytałam wprost.

– Nikt nie wie. Widział ją już każdy lekarz w tym mieście i kilku przyjezdnych. Może starość, może udar, może magia. Miała nieznaczące początki demencji, ale poza tym była zdrowa i silna, w pełni samodzielna. Prawie trzy miesiące temu którejś nocy wymknęła się z domu, a rano znaleźliśmy ją w tym stanie na podjeździe przed bramą.

– Jakie są rokowania?

– Lekarze nie robili mi wielkich nadziei, jeśli o to pytasz. Ale to nic nie zmienia. Nie zostawię jej, na jego łasce nie przeżyje nawet godziny. Nigdy się nie dogadywali.

– Nie musi jej pani zostawiać. Mogę zorganizować transport, karetkę, przewieziemy ją w bezpieczne miejsce i wrócimy po złożeniu przez panią pozwu i dopilnowaniu, by objęła was ochronna karencja.

Stella patrzyła na babkę z ubolewaniem, ale wypełniała ją determinacja starcząca za obie.

– Ona nie może opuścić domu. Co do tego lekarze się zgadzają. Niewykłuczono, że tylko on trzyma ją przy życiu, może nawet próbuje ją uleczyć. Echo naszej rodzinnej magii. Każda próba przewiezienia jej do szpitala na badania kończyła się tak samo. Przystawała oddychać, a jej serce stawało.

Pokręciła głową i się wyprostowała, na powrót przyjmując nieugiętą postawę. Odwróciła się od nieprzytomnej babci i wbiła we mnie twarde spojrzenie.

– Czy nas ochronisz? Obie? Dobrze zapłacę za tę niedogodność.

Kolejna komplikacja. Wiedziałam, że nie zdołam przekonać Stelli. A co gorsza – wiedziałam, że jeśli odmówię i odejdę, zostanie z tym sama. Byłam jej ostatnią nadzieją.

– Jaką magią włada pani mąż? – zapytałam.

Skrzywiła się lekko i wyprowadziła mnie z pokoju.

– Ma niewiele magii ziemi, związanej z metalem. Zawsze jednak szukał dodatkowych źródeł. To dlatego zainteresował się kamieniami magicznymi i biżuterią ogniskującą. Zaczął pracować u mojego ojca i tak się poznaliśmy. A potem, zanim się spostrzegłam, ojciec zaczął go traktować jak syna i pojawił się temat małżeństwa. Niewiele miałam do powiedzenia w tej kwestii. Babcia była przeciwna, ale ojciec potrafił być uparty i gdy coś postanowił, rzadko zmieniał zdanie. Uległ jej tylko w sprawie intercyzy. Nigdy Bohdana nie polubiła, wciąż darli koty. Ze mną już dawno się nie kłócił, po prostu mnie ignorował. Jej się nie dało ignorować. Gdyby była przytomna, dałaby mu do wiwatu, kiedy się wyprowadzał. Nikito, zrób wszystko, co się da. Cena nie gra roli. Mieczysław ci pomoże – dodała.

*

Mieczysław był facetem po pięćdziesiątce. Żyłastym i twardym jak rzemień, łysym jak kolano i zgorzkniałym. Nie darzył swojej szefowej przesadnym sentymentem. Wystarczyło kilka minut rozmowy, bym zrozumiała, że jego lojalność względem rodziny umarła wraz z seniorem Krukiem i na służbie trzymał go tylko brak pomysłu, co dalej ze sobą zrobić. Praca dla „panienki”, jak uparcie nazywał Stelle, była mu wyraźnie nie w smak. Ze mną też miał problem. I z gospodynią. Szybko się zorientowałam, że naszą podstawową wadą fabryczną, której przy swoich uprzedzeniach nie potrafił zaakceptować, jest to, że urodziłyśmy się kobietami. Przepętałam go na okoliczność kręgu ochronnego. Stella była przekonana, że o niego dbał, ja miałam wystarczająco dużo magii, by wiedzieć, że najprawdopodobniej od dnia, w którym Bohdan się wyprowadził, lokaj nie zrobił nic w tym kierunku. Dociśnięty, uśmiechnął się złośliwie i powiedział:

– Jak komuś nie starcza magii, by to zauważyć, dawno powinien się zwijać z tego miasta.

Wypytałam go o zabezpieczenia na wypadek czkawki. Niechętnie zaprowadził mnie do piwnicy, gdzie jedno spore pomieszczenie wypełniały okiennice na aluminiowych szynach.

– Zamontuj je jak przed czkawką – poleciłam.

– Nie muszę słuchać twoich rozkazów – warknął.

– Nie musisz. Możesz wypierdalać już teraz i szukać nowej posady – odpowiedziałam.

Splunął mi pod nogi, ale zaczął przenosić i montować osłony na oknach.

– Jakby to miało uchronić dziwkę przed nieuchronnym losem – wymamrotał, myśląc, że nie słyszę.

Uroczy typ, aż się prosił o kulkę między oczy. Do tego zresztą dojdzie.

*

Poza Mieczysławem w domu przebywały jeszcze dwie osoby ze służby: Halina, starsza, krągła gospodyni, która pracowała dla Kruków od śmierci matki mojej klientki (Stella była wówczas nastolatką), oraz Małgorzata, wykwalifikowana pielęgniarka koło trzydziestki, zatrudniona trzy miesiące wcześniej, zaraz po tym, jak stan babci z dnia na dzień gwałtownie się pogorszył. Obie poszły do mnie z pełną rezerwą, ale bez wrogości.

Gospodyni złapała mnie, gdy kręciłam się po domu, i otwarcie zapytała:

– Czy mam się spodziewać kłopotów?

– Intercyza wygasa w tę niedzielę – odpowiedziałam, ciekawa jej wniosków.

Zacisnęła zęby, aż mięsień zadrgał jej na policzku.

– Gdyby pan żył, Bohdan nie odważyłby się na nią podnieść ręki. Trzymał go w garści przez te wszystkie lata. Magią i forszą. Tylko te dwie rzeczy interesowały tego... – Zamilkła, jakby ważyła, ile może mi powiedzieć, a potem westchnęła i wyznała: – Powinna pani zajrzeć do gabinetu pana Bohdana. Nie oficjalnego, ale tego w piwnicy, za wzmocnionymi czerwonymi drzwiami zamkniętymi na kłódkę.

– Była tam pani? – zapytałam zaciekawiona.

– Kiedy tu mieszkał, nie pozwalał nikomu się tam zbliżać. Przesiadywał w nim całe godziny. Gdy się wyprowadzał, nie wyniósł stamtąd zbyt wiele, więc pewnie sporo zostało. Nie mam klucza, ale to dla pani pewnie żaden problem?

– Żaden – przyznałam.

– Ma ją pani chronić, pomyślałam, że powinna pani wiedzieć... Nie wiem, co on tam robił, ale wiem, co od niego czułam, kiedy stamtąd wychodził.

Zaciekawiała mnie. Znalazłam drzwi i kłódkę. Nie było na niej żadnych magicznych zabezpieczeń, ot, solidna kłódka antywłamaniowa. Przecięłam ją w kilka minut znalezionym w warsztacie pilnikiem.

W środku cuchnęło starą krwią i siarką. Na małym ołtarzu leżało truchło królika, a raczej jego resztki. Nie znalazłam symboli, które mąż Stelli wypisał na ścianie i na podłodze obok ołtarza, ale zapach siarki stanowił dość oczywistą wskazówkę. Na stole zobaczyłam kilkadziesiąt odłamków kryształów i innych kamieni. Były puste i magicznie nieaktywne.

Opuściłam pokój i zamknęłam drzwi nową kłódką. Czy Stella wiedziała? Uznałam, że raczej nie. Inaczej nie musiałyby się z tym ukrywać. Wiele bym dała za informację, czy udało mu się tu coś wskórać...

Piwnica kryła jeszcze jedną niespodziankę. Stalowe, masywne drzwi, wysokie na nie więcej niż metr pięćdziesiąt, wyglądały, jakby znajdował się za nimi sejf. Były zamknięte na klucz, który na szczęście wisiał na gwoździu wbitym w futrynę. Zawołałam Halinę.

– Tam jest tunel, prowadzi Bóg wie gdzie... Dziewięćdziesiąt lat temu, kiedy powstawał ten dom, wykopały go pracujące przy budowie krasnoludy. Stary pan Kruk miał z nimi różne interesy, ale nie znam szczegółów.

– Jest zasypany? – zapytałam.

– Nie wiem, nigdy mnie nie kusiło, żeby się tam wczołgać. Stella raz weszła do środka, jak była mała, ale daleko nie zaszła, bo robiło się za nisko nawet dla dziesięcioletniej dziewczynki.

Zamknęłam drzwi i zamontowałam czujnik ruchu. Identyczne umieściłam przy pozostałych drzwiach oraz przy oknach, a potem połączyłam je z alarmem. Założyłam też dodatkowe kamery bezpieczeństwa i podłączyłam je do centralnego systemu. To wszystko, co mogłam zrobić, by zabezpieczyć dom. Jakby torba sprzętu mogła zmienić fakt, że działałam w pojedynkę, w wielkiej chałupie bez solidnych zabezpieczeń.

W szafie na korytarzu były ukryte monitory i panel sterowania. Nie modernizowano ich od kilku lat, ale kiedy senior je kupował, były najlepszym, co mógł dostać za pieniądze. Dziś z trudem zsynchronizowałam je z nowszym sprzętem. Kręciłam się po domu i terenie wokół, szukając słabych punktów. Okienne, alarmy i czujki w jakimś stopniu poprawiały poziom bezpieczeństwa, jednak wciąż czekała mnie masa pracy.

Przede wszystkim brakowało ludzi. Nie pogardziłabym przynajmniej dziesięciorgiem strażników. W żaden sposób nie mogłam ściągnąć tu Robina, wiedziałam też, że nikt w Zakonie nie zechce tej roboty, ale pozostawał jeszcze Jurij. Przeszedł na emeryturę wcześniej niż ja. Twardy, bystry i cwany, bez problemu przeżył rozstanie z Zakonem. Pracowałam z nim kilkakrotnie i miałam nadzieję, że i tym razem będzie dostępny.

Zadzwoiłam do niego z ofertą. Próbowałam się połączyć raz i drugi, a kiedy w końcu odebrał, ledwie go słyszałam, bo niemiłosiernie rwał się zasięg. W końcu zdołałam z niego wyciągnąć, że jest na robocie i wróci do Warsa za jakieś dwa tygodnie, o ile wcześniej nie zamorduje swojego klienta, który wybitnie działał mu na nerwy. Byłam zdana na siebie.

W mieście pełnym najemników najwyraźniej wszyscy mieli zatrudnienie. A ja mogłam tylko zgadywać, kogo z ich grona miałam w ciągu najbliższych dni spotkać po drugiej stronie barykady.

III

Zaparkowałam Brzydala kawałek od domu, między drzewami, by nie rzucał się w oczy, po czym przeniosłam z bagażnika resztę swoich rzeczy. Robiłam, co w mojej mocy, by przygotować dom na kolejny tydzień i wszystko, co mogło się wydarzyć. Przyznam, na tym etapie wciąż myślałam, że to będzie normalna robota. Może trudniejsza i bardziej wymagająca, ale tylko robota. Nie wiedziałam, że odcisnie na mnie piętno...

W Warszawie nawet tak powszechne zdarzenia jak rozwód miały tendencję do eskalacji. Pieniądze, magia, władza i zranione uczucia często wyciągały z ludzi to, co najgorsze. Pewnie brzmi to cynicznie, ale nad większością mojego życia wisiał mroczny cień rozstania moich rodziców. Możliwe, że normalni ludzie w normalnych miastach nie miewają morderczych zapędów, gdy się rozstają, jednak nie spotykałam zbyt wielu takich osób. Może dlatego, że gdy wszystko szło dobrze, kwiatki, pszczołki i ptaszęta, nikt nie potrzebował cyngla, Cienia czy ochrony, więc nie wybierał mojego numeru telefonu.

Taka robota poważnie wiązała się z czekaniem. Dlatego teraz mogłam tylko wgapić się w monitory. Liczyłam, że cokolwiek miało wybuchnąć Stelli w twarz, przyjdzie szybko, bo po kilku dniach jednym z najsłabszych ogniw będę ja. Całodobowa ochrona przez tydzień to nie jest zadanie dla jednej osoby. Gdybym miała zamiennika...

– Ja mogę – zgłosił się Brynjar, mój berserk.

Nie od razu zwróciłam uwagę, że od początku tego zlecenia zachowuje się nietypowo. Siedział płytko pod skórą, odzywał się częściej, a nie, jak do tej pory, tylko w sytuacji zagrożenia. Może po prostu wycuwał moją samotność i tęsknotę za Robinem?

Sporo się zmieniło między mną a Brynjarem przez ostatni rok. Przeszliśmy prawdziwą ewolucję i rewolucję w jednym. Rozumiałam, że się mną opiekuje. Już nie walczyliśmy o kontrolę. Nie musiał siłą zmieniać mojego ciała, by przybrać swoją berserkową formę i dzięki temu mieć cokolwiek do gadania. Dzielił się ze mną swoją magią, a ja pomagałam mu się nauczyć świata i emocji, od których odcinałam go przez całe jego życie, nie rozumiejąc, jak potwornie go w ten sposób okaleczam.

Gdybym półtora roku temu usłyszała w głowie głos Brynjara sugerujący, że może się włączyć do zabawy, wpadłabym w panikę. Zamknęłabym się w komorze deprywacyjnej, napompowała organizm lekami, odpaliła zakłęcia ochronne i modliła się o siłę, by powstrzymać berserka przed rozpętaniami rzezi. Dziś rozumiałam go lepiej i nie widziałam w nim potwora. Inna rzecz, że Stella zapewne nie byłaby tak wyrozumiała, gdyby stanęła z nim oko w oko.

– Bez przemiany. Raz ty, raz ja, tylko w głowie – naciskał.

– Gdy będę zmęczona – zaproponowałam.

– Na zmianę – uparł się.

– Dobrze, na zmianę – zgodziłam się w końcu.

Nie wzbierałam się zbytnio przed przyjęciem pomocy, zwłaszcza że Brynjar był zaangażowany i wiedział, z czym mamy do czynienia. Może nawet lepiej niż ja. Myślę, że jego dopadło wcześniej. Oboje to przegapiliśmy...

*

To Brynjar usłyszał w nocy szelest. Nie obudził mnie, po prostu zajął się problemem. Doceniłam fakt, że zrobił to zaskakująco schludnie – miła odmiana. Dawniej po prostu przybrałby swoją prawdziwą formę i rozerwał gnojka na strzępy. Rozwłóczyłby flaki po podłodze, a ściany ozdobił tętniczymi rozbryzgami, niczym morderczy Jackson Pollock. Dziś był bardziej dyskretny.

Złapał Mieczysława, gdy ten po ciemku skradał się z pistoletem w dłoni do sypialni Stelli, najwyraźniej osobiście zainteresowany tym, by jego pracodawczyni nie dożyła poniedziałku. Skręcił mu kark i zniósł do kotłowni, zanim Stella czy któraś z pracujących tu kobiet miała szansę natknąć się na zwłoki. Wcisnął je w skrzynię na rozpałkę i przykrył znalezionej gdzieś plandeką. Dopiero wtedy mnie obudził.

– Chciał zabić Stellę. Obroniłem – oznajmił.

Był z siebie dumny, a ja byłam dumna z niego.

– Świetnie się spisałeś. Zajmę się resztą – zapewniłam.

Teraz to on mógł odpocząć.

Znalazłam pokój Mieczysława – nieduże pomieszczenie obok garażu. Lokaj miał niewiele rzeczy. Większość ubrań spakował już do walizki, a kilka książek, radio tranzystorowe i skórzana kabura na pistolet wciąż leżały na przykrytym narzutą łóżku, jakby przerwał pakowanie, by załatwić Stellę. Może myślał, że o trzeciej w nocy wszyscy będą spać, ze mną włącznie. W płóciennej szaszetce, wciśniętej między wełniane swetry na dnie walizki, znalazłam grubą plik banknotów spięty banderolą z banku. Za dużo jak na oszczędności lokaja. Za mało jak na honorarium za zabójstwo. Nie znał stawek, a może to tylko pierwsza rata? Żadnych listów od Bohdana. Gdyby nie sposób, w jaki wcześniej mówił o pracodawczyni, pewnie bym go nie podejrzewała.

Pod łóżkiem znalazłam coś jeszcze. Sześć żelaznych szpil w kształcie litery U, przypominających te, których kobiety w Dzielnicy Cudów używały do upinania włosów, ale znacznie od nich większych. Miały około trzydziestu centymetrów i zastrzone końce. Pamiętałam takie ze zbrojowni Zakonu. I już wiedziałam, dlaczego budowane i wzmacniane od osiemdziesięciu lat rodzinne kręgi ochronne przestały działać po ledwie miesiącu czy dwóch.

Wyposażona w Inkwizycję, motykę i mocną latarkę obezłam teren. Znalazłam i wyciągnęłam z ziemi co najmniej pięćdziesiąt takich szpilek. Ciskałam je w krzaki i szukałam następnych. Zwyczajne żelastwo, ale wbite w ziemię w odpowiednim miejscu zaburzało ciągłość kręgu i przerywało wibrację mocy. Po wyjęciu wszystkich strumień starej rodowej magii znów zaczął krążyć w barierze dookoła domu. Mrowił na skórze, kiedy przekraczałam krąg. Miałam nadzieję, że utrzyma przynajmniej część zagrożenia z dala od Stelli i jej babki.

Dostałam potwierdzenie, że miał się tu zjawić ktoś, kogo – w odróżnieniu od Mieczysława, znanego tutejszej magii – krąg mógł powstrzymać. Sporo bym dała, by zapodział tu dziennik zatytułowany na przykład *Mój niecny plan zaszkodzenia Stelli Kruk i z kim go uknułem*. Niby wiedziałam, że to nie będzie spokojny tydzień, ale w jakimś sensie potraktowałam te szpilki jak ostatnie ostrzeżenie. Los zdawał się czynić mi sugestie: spierdalał stąd, mała, będzie tylko gorzej. Nie uwierzyłabym, jak bardzo gorzej.

*

Kiedy Stella zeszła na śniadanie, miałam jej do zakomunikowania kilka spraw.

Po tym, jak wszystko jej wyjaśniłam, zdecydowała się wysłać na urlop gospodynię i pielęgniarkę. Nie wiem, czy bardziej się o nie martwiła, czy im nie ufała. Zapewniła je, że po niedzieli będą mogły wrócić do pracy. Przyjęły to bez dyskusji i z namacalną wręcz ulgą. Odprowadziłam je do furtki. Na odchodnym gospodyni spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– Trzymam za was kciuki, Stella to dobra dziewczyna i zasługuje na więcej, niż dostała przez całe życie. A Astrid była wspaniałą kobietą. Nie pozwól Stelli za nią umierać, ona by tego nie chciała.

Co, do cholery, miałam jej zdaniem zrobić? Ogłuszyć Stellę i wywlec ją z domu, przez najbliższy tydzień trzymać odurzoną lekami po drugiej stronie bramy i w poniedziałek przywieźć do sądu? Owszem, myślałam o tym. To byłoby najrozsądniejsze rozwiązanie. A może to już się zaczęło? Złowroga magia już zaczęła się we mnie wgrzyzać? W nas? Bo oboje, ja i Brynjar, odrzuciliśmy ten plan z powodów, których nie omawialiśmy ani wtedy, ani później.

I oto w domu Kruków zostaliśmy same. Lub we czwórkę, jeśli liczyć nieprzytomną babcię i Brynjara. O tak, bez dwóch zdań stanowili część tej historii, więc nie powinnam ich pomijać.

*

Nie zauważyłam, kiedy to się zaczęło. Nie rozumiałam magii, kiedy zaczęła opłacać mnie i Brynjara, a wcześniej Stellę. Ona z kolei nie rozpoznała objawów, bo nie różniły się od tego, co doskonale знаła. My ich nie rozpoznałyśmy, bo były dla nas czymś całkowicie nieznanym. Z każdą minutą zapuszczała we mnie korzenie głębiej i głębiej, aż przestałam w ogóle myśleć o tym, by opuścić ten przeklęty dom i zmusić Stellę do tego samego. Przegapiłam moment, w którym ta opcja została mi odebrana.

*

Absurdalne, jak spokojnie minęły pierwsze trzy dni. Nie rozumiałam, czemu to odwlekają, dlaczego nikt nie atakuje? Przecież nie mogło chodzić tylko o te szpilki... Na co czekały Cienie, na co czekał Bohdan? Przez pierwszy dzień czy dwa te pytania jeszcze mnie dręczyły, potem całkiem o nich

zapomniałam. Już to powinno dać mi do myślenia, moja paranoja nigdy dotąd nie była taka wyciszona. Nawet tego nie zauważyłam...

Szybko poddałyśmy się swego rodzaju rutynie, jakbyśmy były współlokatorkami. W domu prysła nerwowość Stelli, którą zauważyłam tamtego dnia w kawiarni. Wydawała się dziwnie spokojna. Pomyślałam, że mnie przecenia. A może to zasługa przemiany, którą przeszła w zaciśnięciu własnego domu? Zniknęła CEO wielkiej firmy, odziana w olówkową sukienkę i szpilki, z nienagannym makijażem i elegancko upiętymi włosami. W domu Stella nosiła jasnoszare spodnie do jogi i kremowy kaszmirowy kardigan, spod którego wyglądał pastelowy top, każdego dnia w innym odcieniu różu lub błękitu. W aksamitnych balerinach na miękkich podszewkach poruszała się cicho jak kot. Było coś zaskakująco delikatnego w tym jej wcieleniu. Musiałam przyznać, że ta wersja Stelli mieszkała mi w głowie bardziej, niż powinna. Zaczynała mi się splatać z zapachem kawy z mlekiem i cynamonem, tostów i miodu.

Jeśli nie przebywała w pokoju babki, urzędowała w kuchni na dole. Przygotowywała posiłki. Robiła nam śniadania, gotowała zupy i pożywne sosy pachnące bazylią i oregano. Wydawała się szczęśliwsza, jeśli coś bulgotało na kuchence, i uśmiechała się słodko, kiedy pochłaniałam nakładane mi solidne porcje. Sama jadła niewiele, czasem w połowie kęsa zamierała, jakby słyszała coś, co umknęło mnie i Brynjarowi, po czym podnosiła się z miejsca i oznajmiała:

– Kroplówka babci się skończyła.

Albo napomykała coś o lekach, które musiała jej podać. Miała doświadczenie w przepłukiwaniu wenflonów, wyszukiwaniu delikatnych żył, gdy trzeba było założyć nowy, podłączaniu kroplówek, zmianie pościeli i całej reszcie oporządzania śpiącej. Jej ruchy były pewne i kompetentne, żadnego wahania ani niepewności. Widać, że robiła to na długo przed odesłaniem pielęgniarki.

Gdy kończyła te obrządki, siadała na fotelu przy łóżku babki i czytała jej na głos Annę Kareninę. Nawet nie brała pod uwagę, że to może być próżny trud, bo Astrid Kruk mogła przebywać w Zaświatach już za daleko, by cokolwiek z tego słyszeć.

– Babcia zawsze miała słabość do wielkich, rosyjskich historii miłosnych – powiedziała, kiedy przyłapała mnie na podsłuchiowaniu w proggu. – Powoli kończy nam się Tolstoj, a to jej ulubieniec. – Uśmiechnęła się do leżącej nieruchomo staruszki i wróciła do czytania.

*

Coś mnie tam ciągnęło. Kręciłam się po domu, robiłam obchód terenu, odświeżałam zaklęcia szpiegowskie, ale wystarczyło, że na chwilę traciłam czujność, a łapałam się na tym, że stoję pod drzwiami sypialni. I słucham. I tęsknię. Było w ich relacji coś hipnotyzującego, chłonełam ją i próbowałam zrozumieć, na czym polegał ten magnetyzm.

Może to powab nowości? Ciekawość wynikająca z obcości doświadczenia? A może sam stan Astrid w jakiś sposób stał się dla mnie zagadką do rozwiązania?

W mojej rodzinie takie rzeczy się nie zdarzały. Żyliśmy szybko i brutalnie, ale bogowie błogosławili nam sporą odpornością na zniszczenie. Mój ojciec był praktycznie nieśmiertelny, błąkał się po świecie od kilkuset lat, choć rozum postradał na samym początku tej drogi. Jego matka zginęła w walce. Trafiła do Valhalli, gdzie właściwie żyła dalej. Dla walkirii śmierć to tylko krótka przerwa, przystanek między ziemią a Valhallą i czekającą tam wiecznością. Moi bracia też umarli gwałtownie. Jednego sama zabiłam w walce, mieszkając teraz z babcią. Drugi popełnił samobójstwo i miałam nadzieję, że Bogini dotrzyma słowa i on także trafi do Valhalli. Taką śmierć rozumiałam.

Gdy byłam ranna, włąziłam do wanny wypełnionej leczniczym błockiem. Goiłam się, wspomagana przez Brynjara. Jeżeli kiedyś rany będą zbyt poważne, umrę, a jeśli Bogini okaże łaskę, zamieszkać w Valhalli z moimi przodkami i bliskimi. Nie chorowałam. Nigdy nie musiałam być zdana na czужą opiekę. Gdy jako dziecko złapałam ospę wietrzną, Irena, moja matka, zostawiła mnie samą w wynajętym mieszkaniu na trzy dni. Kiedy wróciła, zapytała tylko, czy przestałam się już wygłupiać. Biorąc pod uwagę, jakie miałam relacje z żyjącymi członkami rodziny, prędzej odgryzłabym sobie ręce, niż pozwoliłabym im mieć nade mną jakąkolwiek kontrolę.

Tymczasem Astrid była kompletnie zależna od wnuczki. Stella miała anielską cierpliwość. Emanowała oddaniem i miłością. Nie szła na skróty, nie szukała awaryjnej furtki. Mówiła do babki, jakby ta ją słyszała, w każdej chwili mogła się obudzić i jej odpowiedzieć. W pewnym sensie wyrzekła się siebie i przez to kojarzyła mi się ze świętą. Zupełnie inne wrażenie zrobiła na mnie przy pierwszym spotkaniu. A jednak nie wyczuwałam fałszu – ani wtedy, ani później.

*

Znalazłam dziwny rytm w tych dniach wypełnionych ciszą i niezwykłą, poniekąd wymuszoną, a przecież naturalną intymnością. Początkowo szukałam pretekstu, by wejść do sypialni Astrid. Potem musiałam sobie przypominać, że powinnam stamtąd wyjść. Miałam inne zadania niż słuchanie miękkiego, lekko ochryplego głosu Stelli czytającej Tołstoja. Racjonalne argumenty z każdą godziną spędzoną w tym domu w coraz mniejszym stopniu wpływały na to, co robiłam. Nie tylko zresztą ja.

To Brynjar ustawił po drugiej stronie łóżka staruszki ciężki skórzany fotel. Przyniósł go z gabinetu pana domu. Ocknęłam się w nim, lekko zdezorientowana.

Stella spoglądała na mnie uważnie.

– Coś się stało? – zapytałam, prostując się na fotelu.

– Astrid – powiedziała cicho. A gdy nic nie powiedziałam, wzruszyła lekko ramionami. – Pytałaś, jak ma na imię.

To nie mogłam być ja. Znałam imię staruszki, padło w rozmowie z gospodynią. To berserk, będący u steru przez ostatnie trzy godziny, najwyraźniej był ciekaw.

– Astrid i Stella? – zapytałam.

Stella uśmiechnęła się ciepło, pochyliła się do przodu w swoim kwiecistym fotelu i dotknęła drobnej dłoni leżącej na kółdrze.

– Kiedy się urodziłam, to ona wybrała mi imię. Myślę, że właśnie dlatego, że znaczyło to samo co jej, tylko w innym języku. Mój pradziadek zawsze twierdził, że jej imię pochodziło od łacińskiej astry, bo jej oczy od urodzenia lśniły jak dwie gwiazdy. Nigdy nie dał sobie wmówić, że to nordyckie imię. Nie považał specjalnie wikingów i Asów. Był upartym człowiekiem i kochał swoją gwiazdkę. A ja byłam gwiazdką mojej babci.

– Zawsze byliście blisko?

Pokiwała głową, głaszcząc dłoń babci.

– Moi rodzice żyli firmą. Astrid żyła byciem babcią. Uwielbiam ją, a ona mnie. Nikt nigdy nie kochał mnie jak ona, a ja nikogo nie pokochałam tak, jak kocham ją. Serce mi pęka, kiedy widzę ją w tym stanie.

Scisnęło mnie w żołądku i uświadomiłam sobie, że mam wilgotne oczy. Szybko wyszłam z pokoju i zrobiłam obchód. Ręce mi się trzęsły i nie rozumiałam kłębiących się we mnie emocji. Brynjar również był skonsternowany. Rządziej się odzywał, ale wydawał się wyraźnie poruszony.

A ja wracałam. Nie mogłam długo pozostawać poza tym pokojem, choć zupełnie tego nie rozumiałam. Podejrzewałam nawet, że może przeżywam jakies dziwne zdarzenie w Stelli. Zaskoczyło mnie to i szybko wyparłam tę myśl. To byłoby głupie i nieprofesjonalne.

Nie wiedziałam jeszcze, że wcale nie chodziło o Stellę.

*

W czwartek na teren posiadłości wdarło się trzech mięśniaków. Zbyt pewnych siebie, niezbyt przemyślanych. Podejrzewałam, że wiedzieli o szpilkach Mieczysława, i zakładali, że krąg ochronny nie działa. Magia usmażyła jednego na miejscu i ostrzegła mnie przed kolejnymi. Zdzęłam ich ze snajperki, zanim zbliżyli się do domu. Upewniłam się, że przyszli sami, i ruszyłam sprzątnąć zwłoki. Rozpoznałam jednego – widziałam go w okolicy raz czy dwa. Nie był Cieniem, choć aplikował do Zakonu – okazał się za słaby i za głupi. Pozostałych nie znałam, ale podejrzewałam, że to miejscowe osiłki. Mięso armatnie, które miało tylko jeden cel – sprawdzić osłony i mój czas reakcji. Co znaczyło, że przyjdą następni.

Zaciągnęłam ciała do budynku gospodarczego. Rozważałam zostawienie ich na widoku, w ramach ostrzeżenia dla kolejnych napastników, ale to pewnie zdenerwowałyby Stellę. Wcisnęłam więc trzy trupy między worki kwaśnej ziemi do hortensji a kosiarkę.

Wróciłam do domu i wgapiałam się chwilę w monitory, szukając oznak obcej obecności na terenie posesji. Dopóki Bohdan będzie przysyłał takich, którzy krwawią, dam radę ich zabić. A jeśli nie ja, to Brynjar. Zapewniał mnie, że może załatwić nawet tych niekrwawiących, choć woli, gdy krwawią.

– Kłopoty?! – zawołała Stella ze szczytu schodów.

– Nie dla nas i już po nich – odpowiedziałam.

Kiwnęła głową i wróciła do sypialni Astrid.

*

I oczywiście przychodzili kolejni. Zabijałam ich, gdy tylko się pojawiali na moim radarze, nie zadawałam pytań, nie zastanawiałam się, kim są i co zamierzają zrobić Stelli czy Astrid. Na razie żaden nie zdołał zbliżyć się do drzwi wejściowych, nie pokonał długich schodów wiodących do białego słonia.

Ciała nie mieściły się już w budynku gospodarczym, więc układałam stos trupów pod jego ścianą, od strony niewidocznej z okien rezydencji.

Jedno nie dawało mi spokoju. Bohdan miał forszę, możliwości i kontrakt z Zakonem. Dlaczego przysyłał przeciętniaków? Miałam się wyprztykać z amunicją? Niedoczekanie. Nawet gdyby zabrakło tego, co przyniosłam, Stella oddała mi do dyspozycji zbrojownię jej ojca. Mogłabym się ostrzeliwać z okien codziennie przez następny rok, a wciąż miałabym co wsadzić w magazynki. Bohdan powinien o tym wiedzieć, prawda? A może nie?

Przyszło mi też do głowy, że jego kontrakt z Zakonem dotyczył czegoś innego, że Cienie nas nie atakowały, bo miały co innego na głowie, ale czy mogłam mieć aż tyle szczęścia? Cholera wie. Normy czasem mi sprzyjały, nigdy jednak nie stawały dla mnie na rzesach.

Robiłam, co musiałam. Likwidowałam napastników, ukrywałam zwłoki, wracałam na posterunek. Brynjar zwykle nie lubił broni palnej, wolał bardziej bezpośrednie metody zabijania, ale tym razem nie protestował.

– Nie damy Astrid – powiedział, gdy kolejne ciało upadło na trawnik, z szeroko rozrzuconymi ramionami.

– Stelli – przypomniałam. To ona była klientką.

– Astrid – powtórzył uparcie.

IV

Nocą z czwartku na piątek coś się zmieniło.

Siedziałam na dole, wpatrując się w monitory systemu alarmowego, kiedy poczułam panikę. Moje serce wpadło w dziki galop, nie mogłam oddychać. Zerwałam się i nim zdążyłam pomyśleć, co robię, biegłam już na piętro, do sypialni Astrid.

Stella pochylała się nad babcią, z dłonią na jej czole, wyraźnie zmartwiona.

– Gorączka – szepnęła. – Wysoka.

Wyszukała odpowiednią ampułkę z lekiem i wstrzyknęła go do worka z kroplówką.

Astrid się zmieniła. Twarz jasna jak u porcelanowej lalki nabrała niezdrowych rumieńców, a na wystających z rękawów koszuli nocnej przedramionach pojawiły się czerwone plamy. Na czole i nad górną wargą kroplił się pot. Oddychała szybciej, a z głębi piersi dochodził świst.

– Zapalenie płuc? – zapytałam cicho.

– Nie wiem, godzinę temu wszystko było w porządku – odpowiedziała Stella. Strach zaciskający gardło sprawiał, że jej głos brzmiał wysoko, jak u małej dziewczynki.

Nagle Astrid się poruszyła! Jej głowa drgnęła, a palce na ułamek chwili zacisnęły się na kołdrze. Stella też to zauważyła. Zaczęła mówić do babki. Pytała, czy ją słyszy, prosiła, by mrugnęła... Jej nadzieja była odurzająca. Dygotałam, czekając na odpowiedź równie intensywnie jak ona.

Stałam tuż przy łóżku, kiedy poczułam magię. Dziwną, gorącą jak oddech pustyni. Nie znałam jej, ale od razu pomyślałam o bezkresie piasku i palącym słońcu. Zanim zapytałam, czy Stella też to poczuła, wrazenie minęło.

Wkrótce potem stan chorej się ustabilizował. Gorączka ustąpiła, a Astrid znów znieruchomiała, jak porcelanowa lalka ułożona do snu.

*

Kolejni najemnicy przyszedli w piątek w nocy. Na ekranie termowizyjnym dostrzegłam sześć świecących sylwetek. Pokonali mur nieopodal bramy i rozdzielili się, znikając między drzewami.

Wyszedłam w ciemność. Moje ludzkie oczy miałyby z nią kłopot, ale z magią berserka widziałam ostro i wyraźnie. Brynjar znajdował się tak płytko pod skórą, że czułam, jak rosnące mięśnie napierają na szwy ubrania, a nadprogramowe zęby przestają mi się mieścić w szczęce. Jego magia przepływała mi po skórze, był gotowy do przemiany, wystarczył pojedynczy sygnał. Wstrzymywał się tylko dlatego, że nie lubił broni palnej, której, jak wiedział, będą chciała użyć.

Termowizor pozwalała bez trudu zauważyć intruzów, mimo maskowania na twarzach i kamuflażu. Zastrzeliłam dwóch, trzeci zdążył podejść w tym czasie za blisko i doszło do walki wręcz. Rozorałam karambitem jego tętnicę udową. Wiedziałam, z kim mam do czynienia – Zakon przysłał swoje nowiutkie zabawki, jeszcze pachnące salą treningową. Odgłos niewielkiego ładunku wybuchowego uświadomił mi, że drugi zespół nie próżnował, kiedy użerałam się z tą trójką.

Nie traciłam czasu na obieganie słonia. Dotarłam do domu w niespełna minutę. Słyszałam wybuch, ale nie odgłos tłuczonych szyb, więc czkawkowe okiennice się spały, była jednak jeszcze piwnica i małe okienka zabezpieczone zwykłą płytą wiórową. Ja bym się przecisnęła...

Zbiegłam do piwnicy. Jeden z Cieni już był w środku, drugi przecisnął się przez okienko, trzeci, szerszy w barach niż reszta ekipy, odrywał ostre kawałki gruboziarnistej płyty wiórowej, by powiększyć otwór. Zdążyłam strzelić do tego, który się wdzierał do środka, zanim pierwszy włamywacz rzucił się na mnie z pazurami. Zmienny. Nie rozpoznałam jego twarzy pod ciemną farbą. Jeśli też należał do Zakonu, musieli niedawno ściągnąć go z innego oddziału. Zmienni rzadko dobrowolnie wybierali Warsa. Ten był szybki i silny, coś w jego zamasztych, lecz precyzyjnych ruchach podpowiadało mi, że należy do kotowatych. Wytrącił mi pistolet z ręki ciosem tak potężnym, że gnat przeleciał przez całe pomieszczenie, uderzył o przeciwległą ścianę i rozpadł się na kawałki. Kurwa, lubiłam tę spluwę...

W walce wręcz z nim i z jego kumplem, który zepchnął właśnie ciało zabitego na podłogę i ładował się do piwnicy, miałam niewielkie szanse. Normalnie zagrałabym va banque, ale do poniedziałku było

daleko, a za tymi mogli nadciągnąć następni.

Dałam Brynjarowi zielone światło i wypłynął na powierzchnię w kłębowisku mięśni, zębów i pazurów. Spadł na dwa Cienie jak bicz boży, z głuchym warkotem i pięściami wielkimi jak maczugi. Wycofałam się, dając mu przestrzeń i swobodę działania, choć oznaczało to zgodę na rzeź. Kotowaty z miejsca zeszytniał. Ledwie rozpoczęła się przemiana, wyczuł, że nie jest już największym drapieżnikiem w tej piwnicy. Jego kumpel wreszcie zdołał się przecisnąć przez wąską ramę okiennej i we dwóch rzucili się na Brynjarą. A on rozeźmiął się tylko i przystąpił do swojej ulubionej gry – po ilu oderwanych kończynach jeszcze krzyczą?

Kiedy skończył, pomieszczenie wyglądało jak krwawa łaźnia. Sufit i ściany ociekały czerwienią, a każdego z Cieni dałoby się zapakować w kilka worków na śmieci. Berserk cofnął się w głąb, a moje ciało znów nabrało ludzkich kształtów. Porozrywane ciuchy były przesiąknięte krwią.

– Kto to, kurwa, posprząta? – mruknęłam.

– Nie ja – odpowiedział Brynjar w doskonałym humorze.

Zabijanie zawsze podbijało mu poziom serotoniny, buzował nią jak obzarty słodyczami czterolatek.

Usłyszałam podejrzanego odgłosy na górze i pognałam tam najszybciej, jak potrafiłam. Może wcale nie było ich szczęściu? U szczytu schodów, w ciemności, wpadłam na kogoś i zadziałałam odruchowo. Postać znieruchomiała, gdy przyłożyłam ostrze do jej gardła. W tej samej chwili poczułam zapach kawy z mlekiem i cynamonem. Puściłam Stellę i zapaliłam światło na korytarzu.

Stała skulona, obiema dłońmi zasłaniając szyję. Patrzyła na mnie z czystym przerażeniem w wielkich oczach.

– Przepraszam – powiedziałam cicho, odsuwając się od swojej klientki, którą prawie zabiłam.

Pokręciła głową i odpowiedziała:

– Nie powinienam schodzić. Nie zawałiałaś, że jest już czysto. – Przelknęła głośno ślinę i skrzywiła się, gdy zabolalo. – Usłyszałam dziwny hałas...

Zapewne okrzyk bojowy berserka. Brynjar miał wiele zalet, ale nie był cichym zabójcą. Ani schludnym. Krew z moich ubrań kapała na podłogę. Odgłos kropli uderzających o parkiet przykuł uwagę Stelli, która chyba dopiero teraz zauważyła, w jakim jestem stanie.

– To nie jest moja krew – wyjaśniłam. – A piwnica będzie wymagała remontu.

Wróciłam na dół i za pomocą wkrętarki i kilku śrub zaślepiłam uszkodzone okienko kawałkiem płyty wiórowej. Skorzystałam z łazienki Mieczysława, by się doprowadzić do porządku. Pożyczyłam też od niego czysty podkoszulek.

Resztę nocy spędziłam przed monitorami, na obchodzie posiadłości oraz nasłuchiowaniu równego oddechu Astrid i zwinętej obok na fotelu Stelli. Wystarczyło, że na chwilę odpłynęłam myślami, a trafiałam pod drzwi sypialni. Zmuszałam się do odejścia i powrotu przed monitory, ale za każdym razem przychodziło mi to coraz trudniej.

Piątek. Bliżej niż dalej, pomyślałam.

*

Nie wyczerpałam jeszcze swojego przydziału Cieni, bo wkrótce wypatrzyłam kolejnego. Był znacznie bardziej dyskretny od kolegów i gdyby nie trącił zakłęcia szpiegowskiego, mogłabym go nie zauważyć, zakamuflowanego w krzakach na samej krawędzi parku. Wspierałam się ze snajperką na dach i przez celownik optyczny zlustrowałam okolicę. Dostrzegłam co najmniej ośmiu nowych. Otaczali dom, kryjąc się pośród drzew. Zamaskowani gałęziami, z pomalowanymi twarzami, w pełnym rynsztunku. Nie rwali się do szturm. Przyglądałam im się dłuższy czas. Trwali w trybie cierpliwego oczekiwania. Tylko na co?

Przez chwilę kusila mnie mała ekspedycja krajoznawcza, ale się powstrzymałam. Nie mogłam ryzykować, że jeśli zrobię coś głupiego i mnie zdejmą, Stella i Astrid będą zdane na siebie, bez szans na przetrwanie.

Może właśnie na to liczyli? Że ich obecność spowoduje mnie do wyjścia z domu i podążenia za nimi? Tyle że dom znajdował się na wznesieniu. To dawało mi niewielką przewagę, wyłącznie gdyby to oni próbowali się podkraść do budynku. Próbuując się wymknąć, wystawiłabym się jak kaczka na strzelnicę.

Więc obserwowałam. Nie strzelałam, by się nie zorientowali, że ich widzę. Z dachu dałabym rade zdjąć najwyższej trzech, gdyby dopisały mi szczęście i wiatr.

Zanim dotarło do mnie, że wcale nie zamierzają atakować, a ich zadanie polega na powstrzymaniu nas przed wyjściem, było za późno.

Zakłęcie zbyt głęboko wgrzyzło się w nasze serca.

V

Ciężko mi o tym mówić. Próbuję to ogarnąć, ale myśli się płaczą, zdezorientowane skłębionymi emocjami. Moimi i Brynjara. W niego uderzyło to wszystko jeszcze bardziej.

Wiem już, co się wtedy wydarzyło. Co za tym stało. Z tą wiedzą spoglądam w przeszłość i zastanawiam się, czy mogłam zauważyć zagrożenie szybciej, rozwiązać problem, zanim uderzył w nas jak kula wyburzeniowa, ścinając z nóg... Ogarniam to intelektem, jednak emocjonalnie to ciągle żywe, krwawiące mięcho. Wiele z tego, co nas spotkało, nie było prawdziwe, ale ból... tak, ból jest prawdziwy. I trwa. Mój, Brynjara, Stelli, która może kiedyś nam wybaczy, zaakceptuje, że nie miałam innego wyjścia – albo i nie. Dla niej okazało się to nawet trudniejsze.

*

Krzyk Stelli rozdarł ciszę wypełniającą dom.

– Nikita! Przyńś cały lód z zamrażarki! Wszystko! – W jej głosie pobrzmiwała panika.

Bez słowa spakowałam do dużego gara wszystko, co znalazłam w silikonowych foremkach w zamrażarce, i pobiegłam na górę. Podświadomie wiedziałam, że Astrid się pogorszyło.

Gorączka wróciła i termometr pokazywał teraz czterdzieści stopni i osiem kresiek. Twarz, szyję i ręce staruszki pokrywały czerwone plamy. Pociła się tak bardzo, że koszula nocna przykleiła się jej do ciała. Gałki oczne pod powiekami drgały frenetycznie, palce międlily wilgotną poszwę. Z gardła kobiety wydobywało się nienaturalne, niskie warczenie.

Pod pewnymi względami to przesilenie sprawiło, że wydawała się bardziej żywa. Jak człowiek, który się z czymś zмага, ale może ma szansę z tego wyjść. Tak wtedy pomyślałam.

Pomogłam Stelli przygotować lodowe kompresy, które położyła na głowie, mostku i nadgarstkach babci. Temperatura nie spadała nawet o kreskę, choć wnuczka wpompowała w kroplówkę maksymalną dawkę leków.

– Nie działają, jej mózg się zaraz zagotuje – powiedziała łamiącym się głosem.

– Może wsadzimy ją do wanny? – zaproponowałam. Czułam, że muszę coś zrobić.

Stella skinęła głową i poszła napełnić wannę lodowato zimną wodą. Wrzuciła do środka pozostały lód. Podniosłam Astrid i ruszyłam z nią do łazienki. Była lekka jak dziesięcioletnia dziewczynka – niemal ptasie kości, niewielka masa mięśniowa. Mimo warstwy bawełny między nami jej skóra wręcz parzyła i prawie spodziewałam się, że woda w wannie zacznie syczeć i parować w zetknięciu z rozpalonym ciałem staruszki. Kiedy zanurzyłam Astrid, cały lód szybko się stopił, a woda zrobiła się letnia.

– Przypilnujesz jej? – poprosiła Stella. – W pokoju pielęgniarki powinnam mieć jeszcze silniejszy lek przeciwgorączkowy.

Kłęcząc przy wannie i trzymałam głowę Astrid nad powierzchnią wody. Temperatura nieprzypadkowo nie obniżyła się – wręcz przeciwnie – a plamy na skórze stały się bordowe i połyskujące.

Po raz kolejny poczułam muśnięcie magii, gorące jak oddech pustyni. Dmuchięła mi w twarz i zniknęła.

Stella wróciła ze strzykawką wypełnioną lekarstwem i zaaplikowała je przez wenflon. Zmierzyła Astrid temperaturę – czterdzieści dwa stopnie i trzy kreski.

– Jaką magię nosi pani babcia? – zapytałam, nagle niespokojna.

Zapach tej magii przywoływał mi coś w pamięci, ale było zakopane zbyt głęboko. Przez matkę nie miałam dostępu do wielu wspomnień, mieszała mi w głowie dla własnej wygody i by chronić swój tyłek. Nie chciała, bym pamiętała, że próbowała ukraść mi magię. Bała się, że potraktowałabym to jako próbę zabójstwa (słusznie) i zechcę się zemścić. Wiele z tych wspomnień odzyskałam po tym, jak rozbroiłam jej zaklęcie, przecinając je nożycami Norm – ale nie wszystkie. Wiele tych z najwcześniejszych lat, jeszcze przed naszą ucieczką przed moim ojcem i tuż po niej, było mglistych i czasami nie potrafiłam określić, w jakim stopniu któreś dotyczy prawdziwych zdarzeń, w jakim stopniu moja wyobraźnia wypełniła pamięciowe luki, a w jakim wspomnienia te spreparowała matka.

– Jest stroicielką kryształów, wyczuwa klejnoty i ich potencjał magiczny. Idealna magia dla jubilera – powiedziała Stella, znów mierząc temperaturę, jakby ta w trzy minuty mogła ulec gwałtownej zmianie.

To nie było to. Spotykałam wielu stroicieli i magów kamieni. Znałam zapach ich magii, ziemisty i kojarzący się z mokrą ścianą jaskini. Mogłabym ich wziąć za krasnoludy, nigdy jednak nie skojarzyliby mi się z pustynią.

Czułam, że chodzi o coś, co powinnam wiedzieć, o coś ważnego...

– Zejdę na dół, potrzebuję komputera – powiedziałam, ale nawet nie drgnęłam.

Im bardziej koncentrowałam się na tym, by wstać, odsunąć się od wanny i zejść po schodach, tym bardziej nie mogłam tego zrobić!

– Czterdzieści cztery – szepnęła przerażona Stella, wpatrując się w termometr. – To niemożliwe, musi być zepsuty... Poszukam innego – powiedziała, ale się nie poruszyła.

Popatrzyła na mnie zaskoczona. Więc nie wydawało mi się... Kurwa.

– Kąpiel chyba nie pomaga. Może zaniesmy ją z powrotem do łóżka? – zaproponowałam, a Stella skinęła głową.

Wstałam i wyciągnęłam staruszkę z wody. Wnuczka okryła jej ciało ręcznikiem.

– Musimy ją przebrać i prześcielić łóżko, jest całkiem mokre – powiedziała, gdy wniosłam Astrid do sypialni.

Dała radę przejść na drugą stronę korytarza do bieliźniarki i wróciła ze stosem świeżej pościeli, ale była bledsza, a ręce jej drżały.

Położyłam Astrid na dywanie, podtykając jej poduszkę pod głowę, i pomogłam Stelli ściągnąć mokrą pościel, a także obrócić zawilgocony materac. Potem ona przebierała babcie w suchą koszulę nocną, a ja założyłam nowe prześcieradło i poszewki.

Kiedy skończyłam, próbowałam wymknąć się z pokoju, ale wciąż coś trzymało mnie w uścisku. I doszedł jeszcze Brynjar.

– Nie iść. Tu, zostaniemy. Na zawsze! – szeptał mi w głowie.

Chyba najbardziej przeraziło mnie to „na zawsze”. Tyle że nie mogłam nic z tym zrobić. Nie pamiętam, kiedy czułam się tak bezradna.

Gdybym choć wiedziała, z czym mam do czynienia!

Pomogłam Stelli ułożyć Astrid na świeżym posłaniu, a ona podłączyła z powrotem kroplówki, elektrody do EKG i wsunęła na palec babci pulsoksymetr. Przez chwilę patrzyła na liczby i wychylenia igły, opadające równo krople soli fizjologicznej i leków przeciwgorączkowych. Nie odzywała się, ale widziałam, jak zaciska szczękę tak mocno, że pobieleły jej wargi.

Znów wsunęła do ucha babci termometr elektryczny, a gdy piknął, sprawdziła odczyt.

– Czterdzieści dwa – oznajmiła z wyraźną ulgą, jakby to wciąż nie była zabójcza temperatura, jednak w porównaniu z ponad czterdziestoma czterema stopniami wyglądało to naprawdę optymistycznie.

Siedziałyśmy na fotelach i czekałyśmy. Gdy nowy pomiar pokazał czterdzieści stopni, plamy na skórze Astrid zaczęły znikać. Ucisk, w którym tkwiłam, też zdawał się luźniejszy. Wstałam i podeszłam do drzwi, by sprawdzić, jak daleko mogę się oddalić.

Stella westchnęła.

– Zobaczę, jak sytuacja na zewnątrz – powiedziałam i wyszłam na korytarz.

Kosztowało mnie to każdy okrucieństwo silnej woli, jaki w sobie miałam. Serce łomotało mi w piersi, a zimny pot spływał po kręgosłupie. Oparłam się o ścianę tuż za drzwiami i przez chwilę oddychałam ciężko, oswajając się z niepokojem, który wgrzyzał mi się w trzewia. Pragnęłam tam wrócić. I bardzo nie chciałam tego robić.

– Do Astrid – powiedział Brynjar.

– Musimy sprawdzić, czy nic jej nie grozi, czy źli ludzie nie zbliżają się do domu – tłumaczyłam jak dziecku.

– Nie damy skrzywdzić – zgodził się skwapliwie.

Po składanych schodach wspierałam się na dach. Właz już wcześniej zostawiłam otwarty, nie zanośliło się na deszcz, a chciałam mieć szybki dostęp do zostawionej tu snajperki, a także widok na całą posiadłość.

Im bardziej oddalałam się od sypialni, tym większy czułam dyskomfort. Skręcało mnie z tęsknoty. Chciałam wrócić, natychmiast!

Nie, środki bezpieczeństwa są najważniejsze, przekonywałam jakąś zranioną i niedorośliwą część mnie, która cała teraz dygotała w emocjach. I nie był to Brynjar, choć rozumieli się z sobą doskonale. Oddychałam głęboko, starając się oczyścić umysł, ale bez rezultatu. Myśli płątały mi się i potykały jak przedszkolaki o snurowadła.

Krążyłam po dachu, próbując się uspokoić. Zatrzymałam się, gdy poczułam, że znów myślę nieco jaśniej. Mogłam się skupić na zadaniu.

Przez celownik optyczny skanowałam przestrzeń wokół domu. Najemnicy wciąż tu byli, ale nie przesunęli się nawet o metr. Mimo grubego kamuflażu rozpoznałam jednego z nich. Mikael. Jedyny Cień, który na robotę oprócz spławy nosił termos z mocną, gorzką kawą, bo obie te rzeczy uznawał za równie kluczowe dla swojej spłaty. Teraz, gdy siedział skulony pod krzakiem jałowca, miało to więcej sensu. Był koniec marca, ale wieczorem temperatura spadała do zupełnie niewiosennej.

Czemu nie atakowali? Czekali na noc? Po co? Mieli przewagę. Byłam doskonale świadoma, że moje zabezpieczenia domu to prowizorka, mająca znaczenie bardziej psychologiczne niż strategiczne. Ze swoim uzbrojeniem Cienie nie musiały zwracać sobie głowy rozwalaniem okiennic przeciwczkawkowych – mogły rozpieprzyć ścianę.

Chyba że ich kontrakt zawierał zapis o dyskretnym załatwieniu sprawy. To się zdarzało – zleceniodawca precyzyjnie określał, jakie okoliczności lub przyczynę zgonu należy podać w oficjalnym raporcie: na przykład wypadek drogowy, pożar w wyniku spięcia w instalacji elektrycznej, śmierć naturalną albo samobójstwo. Wtedy urządzałyby ich, gdybym wyszła i dała się zabić.

Na samą myśl o opuszczeniu domu wpadłam w panikę. Krew szumiała mi w uszach, a żołądek zacisnął się jak pięść, aż splunęłam kwasem, który podszedł mi do gardła. Cofnęłam się kilka kroków, w miejsce, w którym wcześniej spłynął na mnie spokój.

Uświadomiłam sobie zaskoczona, że znajduję się dokładnie nad sypialnią Astrid.

*

Z czasem było tylko gorzej. Zostawienie Astrid kosztowało mnie całą moją siłę woli. Wyszłam raz i drugi, do łazienki czy do kuchni, tylko po to, by przetestować granice tego przymusu. Rozum mówił, że dzieje się coś nienormalnego, intuicja podpowiadała, że ma to związek z magią, z tym tchnieniem pustyni, które pojawiało się i znikało.

To jednak wcale nie osłabiało jej działania. Zdawałam sobie sprawę, że jest coś niewłaściwego w tym, jak reaguję na Astrid.

Ale jak mogłam zostawić kobietę, którą tak kochałam? Musiałam ją chronić, opiekować się nią, zdaną na moją łaskę i bezbronną! Moje serce nie miało co do tego wątpliwości. Brynjar się z nim zgadzał.

Gdy złapałam się na tych emocjach, zamarłam. Przecież poznałam ją zaledwie kilka dni temu, przez cały czas była nieprzytomna, ta więź nie miała najmniejszego sensu... Poza tym ja się nie przywiązuję tak szybko do ludzi. Jestem pozawiazywana na milion małych supełków i mijają wieki, zanim kogokolwiek wpuszczę za swoje okłony. Przez ponad trzydzieści lat mojego życia liczbę takich osób mogłabym policzyć na palcach, i to już po tym, jak ojciec obciął mi dwa najmniejsze, by wysłać je matce w prezencie. Nie biegałam po mieście, zaprzyjaźniając się z ludźmi. Nie włączałam ich do swojej popieprzonej rodziny. Nie byłam, do cholery, Dorą Wilk, by przygarnąć wszystkie kulawe kacuszki, jakie spotkam na drodze. Sprawa z Astrid na kilometr cuchnęła magią.

Problem w tym, że nie byłam odporna na tę magię. Byłam roztrzęsiona i gotowa umrzeć za babcię Stelli, poświęcić dla niej wszystko. Jakbym rozpadła się na dwie części – tę opętaną miłością i tę racjonalną, która próbowała nas wyrwać z tego szaleństwa, zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Cokolwiek się tu działo, dotknęło też Brynjara. Czulał jego oddanie, dezorientację i determinację, by chronić Astrid przed całym światem. Nawet przede mną.

– To nie jest prawdziwe – szepnęłam do niego.

– Jest – odpowiedział z uporem, choć kilka dni temu nie wiedział o jej istnieniu.

Nie mając pojęcia, co to za magia, nie potrafiłam jej odwrócić czy znaleźć antidotum.

Znałam zaklęcia, które budziły w ludziach gniew czy strach. Ale miłość? To było gorsze. Przyszło mi do głowy, że może Stella napiła mnie jakimś wywarem czy eliksirem miłosnym, chcąc mieć pewność, że nie zostawię Astrid, a jej samej nie zmuszę do odejścia i ukrycia się.

Sęk w tym, że tajemnicza magia oddziaływała także na Stellę, tylko znacznie bardziej. Może dlatego, że ta znajdowała pod jej wpływem dłużej i była na nią bardziej podatna, bo magia żerowała na jej prawdziwych emocjach? Czy my też skończymy jak Stella?

Przestała jeść, tylko piła, gdy postawiłam przed nią szklanek wody. Nie istniało dla niej już nic poza Astrid. Nie myślała o mężu, o rozwodzie, o sobie i swoich potrzebach. Wpatrywała się w babkę z fanatycznym oddaniem.

Przygryzłam język – magia krwi potrafiła rozbroić wiele uroków – nic się nie stało, ucisk nie zelżał. Gdybym chociaż wiedziała, kto za tym stoi.

W sobotę gorączka wróciła, jeszcze gwałtowniejsza. W godzinę dobiła do czterdziestu sześciu stopni, a potem elektroniczny termometr pokazywał ERROR, więc Stella odszukała w apteczce stary termometr rtęciowy. Skala kończyła się na pięćdziesięciu stopniach, lecz wkrótce jej zabrakło. Tym razem żadna z nas nie próbowała obniżyć temperatury ciała Astrid.

– Gdyby miała umrzeć od gorączki, już by nie żyła – powiedziała Stella cicho.

Widziałam, że jest wykończona. Przez niespełna tydzień wyraźnie straciła na wadze. Jej skóra poszarzała, a cienie pod oczami się pogłębiły.

Przyniosła z łazienki miskę ciepłej wody pachnącej orientальnym mydłem, zwilżyła ręcznik i zaczęła wycierać spoconą skórę babki. Astrid też się zmieniła w ostatnich dniach. Jej karnacja, nawet z ciemnymi wypiekami, wydawała się bardziej śniada, wręcz pomarańczowa. Plamy na skórze stały się wyraźniejsze, po obu stronach szyi przypominały ciemne cętki.

Pokój wypełnił zapach gorącego kurzu, zmieszany z wonią sandałowca i mirry wydzielaną przez mydło.

Zamknęłam oczy, próbując złapać strzęp wspomnień, które kołatały mi się w głowie. Prawie czułam na języku słodki smak daktyli i gorącej herbaty miętowej. Coś dobijało się do mojej świadomości, ale ciągle nie potrafiłam otworzyć odpowiedniej szufladki w pamięci.

Stella odstawiała miskę i usiadła w swoim fotelu.

– Chwilami mam wrażenie, że jej już tu nie ma, a potem wydaje mi się, że dotyka mojego serca i wlewa w nie nową nadzieję – szepnęła.

Wpatrywałam się w Astrid, czekając na objawienie. Może gdybym zaczęła jeść daktyle, wspomnienie by wróciło. Pamięć czasem tak działa, smaki i zapachy wyciągają z niej więcej niż obrazy.

– Zrobię herbaty – powiedziałam. Znów musiałam zwalczyć przemożną potrzebę pozostania w sypialni. – Nikomu nie pomożemy, jeśli opadniemy z sił z odwodnienia. Musimy być w dobrej formie, kiedy po nas przyjdą – dodałam głośniej.

Nie wiem, kogo próbowałam przekonać – siebie, Brynjara czy magię, która trzymała nas w ciasnym uścisku.

Brynjar stanowczo nie chciał odchodzić. Jego magia przepływała mi po skórze, jakby zbliżała się przemiana. Wyszedłam z pokoju Astrid i zamknęłam za sobą drzwi.

– Nie przemieniaj się – poprosiłam.

– Zostań tam – powiedział, jakbyśmy negocjowali.

– Coś złego się dzieje, muszę się dowiedzieć co, zanim wszystkim nam stanie się krzywda – tłumaczyłam.

– Z Astrid. Potrzebuje nas.

– Zaraz wrócimy. Zrobię herbaty. Dla nas, dla Stelli.

Był niepocieszony, ale się uspokoił, słysząc moje zapewnienie.

Zeszedłam do kuchni, całkowicie ciemnej przez osłony w oknach. Zapaliłam wszystkie światła, bo ta kompletna ciemność wzbudzała we mnie niepokój. W spiżarni wyszukałam torebki z miętą pieprzową. Daktyli nie znalazłam, więc uznałam, że herbata miętowa powinna wystarczyć. Zaparzyłam ją w dwulitrowym dzbanku, mocno posłodziłam i umieściłam naczynie na tacy razem z dwiema filiżankami i paczką ciastek owsianych. Już miałam wejść na górę, ale zatrzymałam się u stóp schodów, odstawiłam tacę na stopień i przeszedłam przez korytarz do drzwi wejściowych. Chciałam sprawdzić, czy dam radę wyjść na zewnątrz, czy też magia zmusi mnie do powrotu.

Z każdym krokiem było ciężiej. Dyszałam, kiedy dotarłam do drzwi. Ręce i kolana trzęsły mi się jak w febrze. Przekręciłam klucz i nacisnęłam klamkę, a potem upadłam do tyłu, uderzając głową o marmurowe płyty. To było działanie nie magii, która wiązała mnie z Astrid, ale Brynjara. Znów walczyłam z przemianą. Jakbym cofnęła się w czasie.

– Przestań – wydyszałam z zaciśniętym gardłem. – Chciałam tylko zobaczyć, czy Cienie nie podeszły bliżej, czy nie idą skrzywdzić Astrid!

Puścił moje bebechy.

– Wracamy – powiedział.

Najwyraźniej nie mamy innego wyboru, pomyślałam, zbierając się z podłogi. Wzięłam tacę i poszłam na górę.

I zastanawiałam się, jak mam nas z tego wypłatać.

Gorący napar parzył mi usta. Aromat mięty w przedziwny sposób dopełniał zapach pustyni i orientalnego mydła. Astrid była tak rozgrzana, że rozchodziły się od niej fale ciepła.

Opadłam na fotel. Z przymkniętymi powiekami popijałam herbatę i pozwalałam myślom płynąć swobodnie, mając nadzieję, że to uwolni wspomnienia.

Odgarnęłam palcami włosy z twarzy i coś w tym geście popchnęło mnie wreszcie w odpowiednie miejsce w pamięci. Pamiętałam kobietę w błękitnej, haftowanej złotem sukni i niebieskim hidżabie, skrywającym jej grube, czarne włosy, tak podobne do moich. Oczywiście też miała równie ciemne jak moje. Moja opalona skóra przypominała jej śniadą karnację. Gdy szliśmy ulicą, ludzie mogli sądzić, że jest moją mamą. Byłam podobna do tej kobiety bardziej niż do Ireny, to na pewno. Nie była moją matką, ale nianią. Co w sumie znaczyło, że spędzała ze mną więcej czasu niż Irena, która zwykle zniknęła na całe dnie, by zabijać ludzi na zlecenie. Powiedziałam to raz Ghalii (tak, miała na imię Ghalia!), a ona się zaśmiała, myśląc, że żartuję. Wspomnienia wypływały, aż zrozumiałam, co próbowała mi podpowiedzieć podświadomość.

Wstałam i podeszłam do łóżka. Zapach magii kręcił mnie w nosie, bardziej intensywny niż dotąd. Poglądziłam starszkę po czole. Gorąco liźnęło moje palce, jakbym przesunęła je nad świecą. Z bliska zobaczyłam, że cętek na skórze Astrid jest więcej – na skroniach, na policzkach, na wewnętrznej stronie przedramion.

– Co robisz? – zapytała Stella zaniepokojona.

– Tylko sprawdzam, czy temperatura się ustabilizowała – odpowiedziałam.

Wyłowiłam z fałd pościeli dłoń Astrid i ułożyłam ją na jej piersi. Kolejny element się zgadzał.

Z jednej strony czułam ulgę, rozumiejąc już, z czym mam do czynienia. Z drugiej – w pełni dotarło do mnie, jak bardzo wszyscy mamy przesrane oraz jak niewielkie są szanse, że ujdziemy z życiem.

*

Ile czasu mi zostało, nim to, co zawładnęło wątłym ciałem Astrid, doprowadzi sprawę do finału? Niewiele, skoro nie zabiła jej gorączka sięgająca powyżej pięćdziesięciu stopni. Była już bardziej po drugiej stronie... Zegar tykał.

– Czym ostatnio zajmował się pani mąż? – zapytałam Stellę.

– Tym, co zwykle, tak myślę – odpowiedziała zaskoczona, jak gdyby zupełnie zapomniała, że istniał ktoś taki jak Bohdan Kruk.

– Gospodyni pokazała mi jego pokój w piwnicy – dodałam.

Spojrzała na mnie, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię. Może naprawdę nie wiedziała?

– Od dawna żyliśmy właściwie osobno – przyznała.

– Czyli można założyć, że nie tylko pani odliczała dni do końca intercyzy?

Skrzywiła się i kiwnęła głową.

– Czy miał ostatnio jakieś kłopoty? W interesach? Finansowe? Ze strony konkurencji? – dopytywałam.

– Z tego, co wiem, firma ma się świetnie. Po śmierci taty był moment zastoju. Niektórzy kontrahenci zawiesili kontakty, niepewni, czy Bohdan poradzi sobie na stanowisku, ale najgorsze już za nami. Kilka miesięcy temu zażądałam audytu i wyszedł naprawdę dobrze.

– To był pani pomysł? – zapytałam z ciekawością.

Parsknęła.

– Oj, nie, nie wpadłabym na to. Mój ojciec uparcie trzymał mnie z daleka od firmy. Jego zdaniem kobiety nie nadawały się do takich rzeczy. Dlatego musiałam wyjść za mąż. Powinnam jeszcze powić potomstwo, ale tu go zawiodłam. To babcia mnie uświadomiła, że po śmierci ojca dziedziczy jego udziały i mam prawo głosu.

– Pani mąż musiał być zachwycony.

– Rzadko był zadowolony z czegokolwiek, co robię. I miał żal do babci, że znów miesza. Tak to nazywał.

– Nie słyszała pani nic dziwnego? Nowego? Może podjął jakieś zaskakujące decyzje? Zaciągnął pożyczkę? Ma nowych partnerów biznesowych?

Patrzyła na mnie wielkimi oczami, a ja pomyślałam, że jeśli dożyje poniedziałku, będzie musiała przejść przyspieszony kurs samodzielności. Zwłaszcza że zostanie z tym całkiem sama.

– Nie. Chociaż... – Zawahała się, jakby nie była pewna, czy to istotne.

Zachęciłam ją kiwnięciem głowy. Na tym etapie wszystko mogło być przydatne.

– Jakies pół roku temu podsłuchiłam rozmowę telefoniczną... – zaczęła niepewnie. – Gdy powtórzyłam ją babci, doradziła mi ten audyt. Jej zdaniem to, co mówił, nie trzymało się kupy... Bohdan kupił za jakieś absurdalne pieniądze starą kopalnię, jeszcze przed wojną wydobywano w niej

srebro, ale nie działa od osiemdziesięciu lat. Babcia uważała, że mój mąż wyprowadza z firmy pieniądze albo robi inny przekręt. Bo gdyby ta kopalnia była coś warta, nie stałaby przez tyle lat pusta. Krążyły też plotki, że zginęło w niej mnóstwo ludzi i cokolwiek by stamtąd wykopał, nie będzie się nadawało do wykorzystania jubilerskiego. Byłoby skażone i trudno przewidzieć, jak wpływałoby na magię kamieni.

To brzmiało intrygująco i pasowało mi do teorii.

– Kiedy dokładnie zachorowała Astrid? – zapytałam.

Drgnęła. Wyraźnie czuła się bardziej komfortowo, mówiąc o Bohdanie niż o Astrid.

– Dwudziestego pierwszego grudnia. Tuż przed świętami. Jednego dnia planowałyśmy przyjęcie, następnego... – Spojrzała na nieprzytomną babkę.

Następnie policzyłam dni. Zakłęłam w duchu. Był sprytniejszy, niż zakładałam, i naprawdę idealnie wszystko sobie wyliczył. Brynjar wyczuł moje zdenerwowanie.

– Groźnie? – zapytał.

Bez wątpienia chodziło mu o to, czy nic nie grozi Astrid. Gdybym mu powiedziała, że to ona jest największym zagrożeniem dla nas wszystkich, nie uwierzyłby.

Wiele mnie kosztowało wstanie z fotela i podejście do drzwi. Musiałam się stąd wydostać. Moje serce krwawiło na samą myśl. I był jeszcze Brynjar.

– Zostajemy, zostajemy, zostajemy! – powtarzał coraz głośniej w mojej głowie.

– Nie możemy – pomyślałam do niego stanowczo.

Czułam rodzący się w nim bunt, jego magia wyrwała mi się spod kontroli. Był gotów przemienić się wbrew mojej woli, byle nie odchodzić.

– Najważniejsze, by nie zrobili jej krzywdy – naciskałam. – Mamy mało czasu.

– Groźnie? – ponowił pytanie.

– W niedzielę wygaśnie intercyza. Bohdan nie znosił Astrid. Gromada Cieni czai się wokół domu, czekają na zmrok, by zaatakować – tłumaczyłam.

W głębi duszy wiedziałam, czemu nie atakowali. Bohdan był naprawdę sprytny. Ale Brynjar skupił się na potrzebie zabezpieczenia domu. A ja czułam się fatalnie z tym, że go okłamywałam. Musiałam się od niego odizolować na tyle, by nie wyłapał z moich myśli planu. Od czasu rytuału, którym volvy nas splotły, lecząc nasze rany i burząc mur między nami, nie przychodziło mi to naturalnie ani lekko. A teraz musiałam go odbudować, cegiełka po cegiełce, ostrożnie, by nie zwrócił się przeciwko mnie. Gdyby Brynjar się przemienił i przejął kontrolę, byłoby po nas.

Miałam nadzieję, że kiedyś mi wybaczy, że zrozumie, dlaczego musiałam złamać mu serce. Więcej niż raz.

Teraz ważniejsze było to, bym dostała się do piwnicy.

*

Zachowywałam maksymalną ostrożność. Zrobiłam rutynowy obchód. Wyszłam na dach i sprawdziłam położenie Cieni. Sciemniło się i nie mogłam ich wypatrzeć w gęstych zaroślach. Przeczesałam okolice termowizorem. Plamy ciepła wskazywały, że praktycznie nie zmienili pozycji.

– Nie atakują – odezwał się Brynjar.

– Czekają.

– Na co?

– Może aż zaśnieimy – odpowiedziałam wymijająco.

– Nie śpimy – stwierdził twardo.

Byłoby mi łatwiej przeprowadzić to, co musiałam, gdyby spał, ale też z jego zmysłami, siłą i szybkością miałam większe szanse na przeżycie.

Pozbierałam z dachu broń i torbę ze sprzętem. Nie wiedziałam, czy będzie okazja po nią wrócić. Zeszłam po stromej drabince, czując szarpające trzewia przyciąganie Astrid – jej zasięg się zwiększał. O tym Bohdan pewnie też wiedział, skoro Cienie zachowywały dystans. Był wystarczająco cwany, by nie ryzykować odszkodowania na rzecz Zakonu.

Obeszłam piętro i parter. Usiadłam na chwilę przed monitorami ochrony, by sprawdzić stan systemu alarmowego i czujniki. Nic się nie zmieniło. Brynjar był zadowolony z braku zagrożeń.

– Nie przegapiliśmy – powiedział.

– Na razie wszystko w porządku – odparłam wymijająco. – Teraz piwnica. Sprawdźmy to okno, którym weszli poprzednio.

Uderzyła mnie czerwona fala gniewu na tych, którzy wtargnęli do domu i mogli skrzywdzić Astrid.

Zeszłam do piwnicy z nadzieją, że znajdę tam to, czego potrzebowałam. Rozglądałam się po pomieszczeniach.

- Czego szukasz? – zapytał Brynjar.
- Gwoździ – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.
- Po co gwoździe?
- Wybite okno, płyta ledwie się trzyma, mogą wejść, gdy będziemy u Astrid – wyjaśniłam.

Znów błysk czerwieni na samą myśl.

Znalazłam pudełko gwoździ w szufladzie w garażu. Wypchałam nimi kieszeń kamizelki taktycznej. Za pomocą młotka stolarskiego i dwóch gwoździ umocowałam płytę wiórową w futrynie wybitego okna.

- Więcej – mruknął Brynjar.

Wbiłam jeszcze trzy. Tym oknem na pewno nie wyjdziemy...

- I drzwi na górze – powiedział. – Mogą wejść.
- Są zamknięte na klucz – zaprotestowałam.
- Gwoździe lepsze. Wytrych nie otworzy – upierał się Brynjar.

Cholera. Był napięty, nerwy i oddalenie od Astrid czyniły go bardziej nieustępliwym. Wbiłam trzy gwoździe, co umocowało drzwi do futryny, ale i odcinało nam drogę wyjścia. Z oknami zablokowanymi przez okiennice nie wyglądało to dobrze, nie mogłam jednak ryzykować wkurzenia Brynjara – i tak czułam drżenie mięśni i lekki szum w głowie, jak wtedy, kiedy balansowałam na granicy niechcianej przemiany.

W drodze powrotnej do sypialni Astrid pocieszałam się ciężarem gwoździ w kieszeni. Podzwaniały cicho, a ja mogłam tylko mieć nadzieję, że dobrze zapamiętałam legendę, którą dwadzieścia pięć lat temu czytała mi niania.

Bo jeśli coś pokręciłam, równie dobrze mogłam strzelić sobie w skroń – bolałoby mniej, a piekło, które nadchodziło, szybciej dobiegłoby końca.

VI

Temperatura w sypialni była teraz przynajmniej o pięć stopni wyższa, niż kiedy poszłam na obchód. Powietrze przesyciła intensywna orientalna woń, kojarząca się z zapachem przypraw uprażonych na gorącej patelni. Gdy przekroczyłam próg, poczułam falę ciepła i przyciąganie tak silne, że tęsknota zgłębiała mnie w pól. Nie mogłam nie wejść do środka. Nie mogłabym odejść, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Można powiedzieć, że tak właśnie było.

Stella siedziała w swoim fotelu. Nienaturalnie proste plecy, złożone na kolanach dłonie, lekko przechylona w bok głowa i szklisty wzrok upodabniały ją do manekina. Magia tego, co zerowało w Astrid, odciskała na niej coraz silniejsze piętno.

– Jesteście – powiedziała mechanicznie, nie odrywając spojrzenia od babki. – Długo was nie było.

– To duży dom – odrzekłam spokojnie.

Postanowiłam nie siadać ani nawet nie zbliżać się do łóżka, zakładając, że tam urok będzie jeszcze silniejszy. Podeszłam do okna. Udałam, że wyglądam przez wąską szparę między futryną a okiennicą. W rzeczywistości próbowałam oswoić się z drzeniem, stłumić potrzebę podejścia do Astrid, ukłęknięcia przy jej łóżku i złożenia głowy na kołdrze.

Musiałam poczekać, aż się zmanifestuje. Jeśli zacznie coś podejrzewać, może zmusić Stellę do rzucenia się na mnie albo popchnie Brynjara do przełomu. Malutkimi kroczkami. Potrafiłam czekać.

– Wszystko dobrze? – zapytała Stella, wciąż nie oglądając się w moją stronę.

Stałam za jej plecami. Nie mogłaby jednocześnie spojrzeć na mnie i patrzeć na babkę.

– Na ile to możliwe – odpowiedziałam wymijająco.

Kiwnęła głową, jakby taka odpowiedź jej wystarczała.

Gałki oczne pod powiekami Astrid zaczęły się poruszać. Zacisnęłam palce na gwoździach w kieszeni kamizelki, drugą ręką odpięłam kaburę karambitu. Powieki rozchyliły się tylko odrobinę, ale to wystarczyło, bym miała pewność – rzęsy staruszki promieniowały złotym blaskiem, na zacerwionionej skórze zatańczyły iskry. Cętki na skroniach i szyi pociemniały.

– Myślisz, że ona się kiedyś obudzi? – zapytała cicho Stella.

W ogóle nie reagowała na zmiany w wyglądzie babki.

– Jestem tego pewna – odparłam, wpatrując się w leżącą wciąż nieruchomo kobietę jak w przyczajoną do skoku kobra.

Powieki Astrid się uniosły. W miejscu gałek ocznych jarzył się żywy ogień.

Ifryt, oczywiście, że wszystkich kurewskich demonów pustyni to musiał być pieprzony ifryt.

Stella nie zwracała na mnie uwagi, Brynjar wydawał się ukojony bliskością Astrid, ale wszystko mogło się zmienić, kiedy demon zorientuje się, co robię.

Podwinęłam rękaw i drasnęłam się karambitem w lewe przedramię. Obeszłam łóżko, roniąc na podłogę krople krwi. Zaciskałam i puszczałam pięść, żeby rana nie zamknęła się zbyt szybko. Krąg nie był ciągły, ale wystarczający, by – o ile dopełnię obrzędu – zatrzymał Astrid w miejscu. Stanęłam u stóp łóżka i pozwoliłam skapywać krwi, aż powstała kałuża.

– Co robisz? – zapytał Brynjar.

– Co robisz? – zapytała Stella.

Żadne z nich nie mówiło swoim głosem.

– Może raczysz sam się odezwać, zamiast wyręczać się nimi? – odpowiedziałam, rzucając wyzwanie. Pomyślałam, że jeśli się w pełni zmanifestuje, łatwiej mi uwierzą.

Wciąż leżąc, Astrid zaśmiała się głośno. Jej śmiech był jak wiatr na pustyni – oblewał gorącym i mieszał w głowie. Usiadła gwałtownie, kołdra opadła z jej szczupłego ciała. Koszula nocna rozsypała się niczym popiół na wietrze, jednak to nie chude, pomarszczone ciało wyłoniło się spod materiału. Transformacja była bliska ukończenia i oto dostrzegłam męskie ciało, smukłe i umięśnione. Skóra połyskiwała ciepłym odcieniem miedzi i znaczyły ją wyraźne ciemnowiśniowe cętki. Jeszcze przez chwilę postać miała twarz Astrid, ale potem starcza skóra zaczęła się zwęglać i osypywać czarnym popiołem. Nowa twarz zdecydowanie należała do mężczyzny. Miedziana skóra lśniła od potu i przeszlizgujących się pod nią płomieni. Uśmiechnął się drwiąco.

– Za późno – powiedział, unosząc się na łóżku, jakby przestała go dotyczyć grawitacja. Strzępy tego, co kiedyś było Astrid, opadały na posłanie.

– Jeszcze nie – odparłam. Opadłam na kolana i wbiłam pierwszy gwóźdź w miejsce, w którym utworzyła się kałuża krwi. – Dla Stelli – powiedziałam.

Zatrudniła mnie, bym ją chroniła. Może i myślała głównie o mężu, ale zamierzałam włączyć do naszego kontraktu także ifryta. Wbiłam kolejny gwóźdź, z całych sił tłukąc młotkiem w mały łebek. Kilka razy nie trafiłam, ale w końcu zagłębił się w parkiet na dobre pięć centymetrów.

– Dla Brynjara – powiedziałam i wyciągnęłam z kieszeni trzeci gwóźdź.

Podmuch gorącego powietrza pchnął mnie do tyłu. Skóra piekła, jakbym podeszła za blisko płomieni. Posłał w moją stronę żywy ogień, płynny i głodny. Zwinęłam się, osłaniając dłońmi i przedramionami głowę, a wtedy ifryt znów pchnął w moim kierunku falę ognia. Wróciłam na klęczki, gdy musiał zaczerpnąć powietrza, i wbiłam kolejny gwóźdź w miejsce, które pokryła moja krew. Palce ślizgały mi się na uchwycie młotka, niewiele widziałam, bo oczy łzawiły mi od żaru i popiołu, który wciskał się również do ust. Staralam się nie pamiętać, że oddycham ziemskimi prochami Astrid.

Stella ocknęła się nagle, jakby się przebudziła ze snu.

– Gdzie jest babcia? – zapytała wstrząśnięta.

W głowie poczułam dziki, zwierzęcy ryk Brynjara. Nie trafiłam w główkę gwoździa, skrzywił się, bydlak, i nie chciał wejść głębiej, tkwił za płytką w parkiecie. Nie miałam na to czasu! Wyciągnęłam czwarty gwóźdź i zaczęłam wbijać go w podłogę obok poprzednich. Tym razem się udało, sterczał prosto, zagłębiony w drewno na kilka centymetrów, stabilny.

– Dla mnie, Nikity, córki Ernsta i Ireny. Pani samej siebie! – krzyknęłam, wbijając go jeszcze głębiej.

Ifryt ruszył w moją stronę, unosząc się w powietrze, jakby lewitował, nie zdołał jednak przekroczyć krwawego kręgu. Z chwila, gdy wbiłam gwóździe w miejsca, w których zgromadziła się moja krew, magia połączyła wszystkie krople i zbudowała mocną ścianę. Martwiłam się, czy krople u wezglowia nie były za daleko – rozdzielała je szerokość szpitalnego łóżka – ale magia przeskoczyła między nimi, zamykając krąg.

– Nie wyjdiesz! – krzyknęłam, wymachując młotkiem w stronę demona.

– Wy też nie. A gdy cię zabiję, twój krąg przestanie być dla mnie problemem – powiedział i uśmiechnął się złośliwie.

Myślałam, że przymus minie za sprawą wbicia gwoździ, ale najwyraźniej nie było to takie proste. Wyciągnęłam Inkwizycję i posłałam w stronę ifryta pięć naboi. Zanim dotarły do jego serca, zmieniły się w płynny ołów i skapnęły na łóżko.

Spojrzał na Stellę płonącymi oczyma i wysyczał:

– Chodź do mnie, dziecko, oddaj mi wszystko.

O nie, nie ma opcji, pomyślałam. Rzuciłam się na Stellę i odepchnęłam ją ze wszystkich sił. Poleciała przez cały pokój i uderzyła tyłem głowy o ścianę. Zjechała po niej nieprzytomna.

– Czemu musisz wszystko utrudniać? Nie wyjdiesz stąd! Nie masz szans! Nie musi boleć, mogę cię spopielić szybciej, niż zdołasz krzyknąć.

– Dziękuję. Nie palę się do tego.

– Twoja bestia mi wystarczy – powiedział i wyciągnął w moją stronę dłoń o długich czarnych pazurach. Szarpnął nią, jakby wbijał je w powietrze między nami, i Brynjar zawył dziko w mojej głowie. Ifryt go krzywdził!

– Nie ma Astrid! Nie ma! – krzyczał berserk, a ból rozrywał mu serce.

– Już dobrze – szepnęłam do niego. – Nigdy jej tu nie było. Była tylko złudzeniem. Nie żyła od trzech miesięcy.

Brynjar zamarł. Lepsze to niż krzyk i myśli samobójcze, ale wciąż daleko było do współpracy. Wiedziałam, że bez niego nie dam sobie rady. Nie z ifrytem, coraz bliższym pełnej transformacji. Zrzucił już skórę Astrid, ale musiał jeszcze rozwinąć skrzydła. Jego magia wypełniająca pokój zgęstniała, powietrze skwierczało zapowiedzią rzezi...

– Dogadałeś się z Bohdanem czy sam się wykazał inicjatywą? Będziesz mu służył jak grzeczny piesek? Ciało starej kobiety wystarczy, by cię kupić? – rzuciłam mu w twarz.

Spojrzał w dół – unosił się już tak wysoko, że czubkiem głowy niemal dotykał sufitu.

– Nie będę niczym psem – warknął.

– Jesteś pewien? Czy nie wpuścił cię do tego świata? Czy nie dał ofiary z ciała? Myślisz, że zrobił to z dobroci serca? Tylko po to, byś się pozbył jego żony? I jak sądzisz: nie ma to nic a nic wspólnego z tą kopalnią, której pilnowałeś, a którą on kupił? Po prostu mardysz, by wykopać dla niego wszystkie klejnoty i kruszce, bo uszczęśliwia cię dzielenie się dobrem?

Strzelałam, ale z tego, co powiedziała mi Stella o Bohdanie i jego interesach, a także ze starej legendy irańskiej spłotłam względnie spójną wersję wydarzeń.

Oczy ifryta załśniły białymi płomieniami. Farba na suficie nad jego głową zaczęła pękać, odpadać od tynku płatami, osypywała się na niego jak śnieg.

– Moje! Tylko moje! – ryknął.

– No nie wiem. Kupił tę kopalnię, więc wszystko, co w niej, jest jego. Nawet ty.

Próbowałam go rozproszyć, by się do niego zbliżyć, skoro nie mogłam liczyć na kule. I co nie mniej ważne – musiałam go odgrodzić od Stelli, która zaczęła odzyskiwać przytomność. W jej przypadku gwoździe mogły nie wystarczyć, była pod władzą ifryta od miesiący. Co gorsza, budował tę więź na fundamencie, który sięgał samego sedna istoty Stelli – ona naprawdę kochała babkę, zanim jeszcze zaczęła swoje machinacje.

Brynjar był zdezorientowany. Patrzył na demona, który wyłonił się z ciała staruszki, i tylko jedno pytanie kołotało mu się w głowie: gdzie jest Astrid?

Zagadując ifryta, próbowałam dotrzeć do Brynjara, by zrozumiał, że to nie jego wina i że potrzebuję jego pomocy, jeśli mamy wyjść cało z tej kabały. Multitasking z tych najbardziej zaawansowanych.

Zbliżyłam się na tyle, że czułam na skórze pulsujący żar ifrytowego ognia. Włoski na moich przedramionach zaczęły się zwijać, skóra piekła, wkrótce pojawiły się pierwsze bąble. Miałam tylko jedną szansę.

– Teraz – wydałam komendę berserkowi.

To musiał być on, wiedziałam, że ja nie przetrwam tej konfrontacji. Byłam gotowa się wycofać, oddać mu ster, ale wysłał mi komunikat „zostań” i zareagował natychmiast. Moje ciało zaczęło pęcznieć, rosnąć, wybuchłam w formę większą niż dotychczasowa, zębata i wściekła. Był zły na mnie, ale nawet w połowie nie tak, jak na ifryta. Zaciskając palce na karambicie, który w wielkiej dłoni berserka wyglądał niczym tygrysi pazur, rzucił się na demona i chwycił go w morderczy uścisk. Jednocześnie dźgał bez opamiętania ostrzem po jego szyi, karku, boku. Błyskawicznie zadał dobrze ponad czterdzieści ciosów, rozrywając mu tętnice. Krew tryskała na ścianę i sufit, zalała czerwoną falą pościel, w którą ifryt wciąż był zaplątany. Tylko czemu ta kanalia nie przestawała się śmiać?

Nagle rozbłysło światło, jakby odpalił granat błyskowy, i jego skrzydła z ognistych piór i płomieni rozwinęły się na całą szerokość pokoju, wypełniając przestrzeń wściekłym żarem. Śmiał się, a jego cielesna powłoka rozsypywała się jak pył wulkaniczny. Wstrzymałam oddech, by go nie wdychać.

I nagle wszystko stało w ogniu. Łóżko, zasłony, ściany, które przecież nie były łatwopalne, dywan, parkiet. Płomienie wleciały wysoko, jakby demon podsyczał je benzyną. Odskoczyłam od niego, czując, jak skwierczy mi skóra. Musiałam uciekać!

Tymczasem berserk zamarł. Coś w nim pękło i pozbawiło go odruchu ucieczki. Stał przed łóżkiem, jak gdyby czekał, aż pochłoną go płomienie.

– O nie, nie ma takiej, kurwa, możliwości! Brynjar! Uciekamy z tego piekła! Żadnych rzewnych gestów, jesteśmy na to zbyt praktyczni!

Wrzeszczałam w głowie z całych sił, ale nie reagował. Wtedy zrobiłam coś, czego obiecywałam nie robić. Zmusiłam go do przemiany z powrotem w moje słabsze i mniej odporne na żywioł ciało. Płomienie huczały wokół mnie, moje ubranie się tliło, powietrze śmierdziało palącymi się włosami. Każdy oddech był jak haust lawy.

– Stella! Stella! – darłam się, próbując ją wypatrzyć w morzu ognia pożerającego pokój. Usłyszałam jej kaszel w kącie koło okna.

– Jest moja! – ryknął żywioł, liżąc ściany i sufit.

– Chuja tam twoja! To ja mam z nią kontrakt – odwarknęłam i zgarnęłam Stellę z podłogi. Nie mogła samodzielnie iść, była zdezorientowana i chyba podduszona dymem, ciągle kasłała. Jej okopcona twarz wyglądała, jakby tuż przed nią coś wybuchło.

Wyciągnęłam Stellę z pokoju i zatrzasnęłam za nami drzwi. Było jednak za późno. Esencja ifryta miała dość czasu, by przeniknąć poza sypialnię, ogień wypełzał z każdego kąta, pochłaniał całe piętro, był już na korytarzu i na schodach. Wierzyłam, że jeszcze zdążymy... Biegłam, ciągnąc za sobą potykającą się i kaszlącą Stellę.

Łudziłam się, że na parterze nie będzie ognia, ale ten hulał i huczał, pożerając wszystkie pomieszczenia, odcinając nas od okien, a nawet od drzwi wejściowych.

Wiedziałam, że jeśli dotarł też do piwnicy, będzie po nas.

Otworzyłam drzwi prowadzące na dół. Na schodach nie widziałam ognia, choć panowała tam temperatura wyższa niż ostatnio. Popchnęłam Stellę, zgarnęłam zostawioną tu wcześniej torbę ze sprzętem i zablokowałam za nami drzwi. Nad moją głową eksplodowała żarówka, więc sprowadzałam Stellę po ciemku, licząc stopnie. Ściana ognia odcinała nas od garażu i okien zabitych płytami.

Została tylko jedna droga ucieczki. Nie sprawdziłam jej wcześniej, ale miałam nadzieję, że nie okaże się ślepy maulkiem, jak sądziła gospodyni.

Krasnoludzkie wrota były ciężkie i niskie. Musiałam się schylić, żeby przez nie przejść, Stella też. Gdybym wciąż pozostawała w formie berserka, nie zmieściłabym się.

Zrobiłam krok w ciemność. Zatrasnęłam za nami drzwi i zablokowałam je sztabami zamontowanymi po wewnętrznej stronie tunelu. Nie miałam wątpliwości: jeśli ogień się tu przedostanie, w kilka sekund zeżre nam cały ten.

Moja matka też miała tunel ewakuacyjny. Najwyraźniej tutejszy krzyk mody. Raz uratował jej życie, więc nie był najgorszą inwestycją. Ten tutaj był ciałniejszy i z każdym krokiem działał bardziej klaustrofobicznie, zwłaszcza gdy docierało do mnie, że za nami są drzwi, za którymi szaleje morze ognia, a nad głowami mamy co najmniej półtora metra twardej skały. I tylko bogowie wiedzieli, co znajdowało się na końcu.

Dyszałam, walcząc o oddech.

– Gdzie prowadzi ten tunel?! – zawołałam do Stelli, którą wciąż ciągnęłam za sobą.

Zaciskała palce na mojej dłoni kurczowo, jak mała dziewczynka.

– Nie wiem – wykrztusiła. Jej głos był niski i chropowaty od dymu. – Ojciec nigdy nie pozwolił mi tu schodzić.

– Już nie żyje, więc nie może ci niczego zabraniać – powiedziałam, przeciskając się przez zwężenie.

Ściany i sufit napierały na mnie coraz bardziej. Byłam co najmniej dwadzieścia centymetrów za wysoka. Posuwałam się na kolanach, ciągnąc za sobą Stellę i torbę z bronią. Kobieta przeciskała się za mną, pojękując z bólu. Była boso, cienkie spodnie nie chroniły jej kolan przed ostrym kamiennym podłożem.

Frigg, błagałam w myślach, jeśli nadal masz słabość do mojej niewartej tego dupy, proszę, niech ten tunel gdzieś prowadzi.

Nad głową miałam litą skałę, w której mogłam wymacać wgłębienia i ślady po kilofie czy innych narzędziach górniczych. Zero szans, żebym zdołała pazurami wydrapać wyjście na powierzchnię.

W pewnym momencie dotarło do mnie, że ciągle mamy powietrze. Po kilku kolejnych krokach zaś poczułam, że pachnie świeżo, a swąd dymu został za nami.

Szłam pochylona, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Normalnie Brynjar podkamiłby mnie swoją magią i widziałabym znacznie lepiej, on jednak milczał. Postawił między nami ścianę i nie słyszałam już jego myśli, nie czułam żadnych emocji. Cisza i pustka. Postanowiłam pomartwić się o to później.

Prawie przygrzmociłam głowę w szczebel drabinki. Najpiękniejsze trzy stopnie na świecie prowadziły do stalowego włazu. Udało mi się przesunąć zapadkę. Wparłam się we właz plecami i barkami. Drgnął. Był cholernie ciężki i trudno mi było się zaprzeć, stojąc na szczeblu, ale pomogłam sobie kolbą snajperki i po paru minutach zdołałam uchylić go na tyle, by ostrożnie wyjrzeć na zewnątrz. Musiałam brać pod uwagę, że Bohdan znał piwnicę i tunel znacznie lepiej niż Stella i na końcu czeka na nas impreza powitalna ze stadkiem Cieni i kilkoma kilogramami amunicji w rolach głównych.

– Poczekaj na sygnał, sprawdzę drogę – szepnęłam, a Stella bez słowa kiwnęła głową. Musiała być w szoku.

Na zewnątrz panowała zaskakująca cisza. Popchnęłam właz mocniej i położyłam go płasko na ziemi. Ostrożnie wyszłam z tunelu. Otaczał mnie las, księżyc przenikał przez gęste korony drzew. Ani śladu ludzi. Nie byłam pewna, czy ciągle znajdujemy się na terenie posesji Kruków, ale przypuszczałam, że tak. Nie widziałam w okolicy drugiej tak gęsto zadrzewionej posiadłości, z parkiem przechodzącym w las. Pomogłam Stelli wyjść z tunelu.

– Ostrożnie i bardzo, bardzo cichutko. Pamiętaj o Cieniach wokół domu.

– Będziesz na nich teraz polować? – zapytała głucho.

Kuszące, ale nie, nie byli moim priorytetem. Ona i jej bezpieczeństwo tak. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, wsiądziemy do Brzydala i odjedziemy w siną dal, zostawiając za sobą pożar, Cienie i ifryta – bo nie wykluczałam, że nadal żyje. Według niektórych podań demony te były nieśmiertelne, po podaniu czasami traciły ciało i szukały następnego. Wciąż miałam w kieszeni kamizelki kilka gwoździ. Podałam jeden Stelli i powiedziałam:

– Nie wypuszczaj go z ręki. Możesz nim dźgać, gdyby cię zaatakował. To żelazny i nieużywany gwoździć, żżinny i ifryty za nimi nie przepadają.

Skinęła głowę i uniosła przed siebie gwoździć, jakby to był kołek, a ona szykowałą się na wampiry.

Po paru minutach wiedziałam, że idziemy w dobrym kierunku. Najpierw dotarł do nas swąd dymu, zaraz potem za gęstwina drzew dostrzegłam blask wyjących jak głodna bestia płomieni. Ogień

pochłaniał cały dom. Po okiennicach nie został ślad, może wybuchły albo strawiły je płomienie, bo teraz języki ognia sięgały w niebo jak ramiona ośmiornicy, osmalały drzewa i szukały pokarmu.

Pechowo Brzydala ukryłam po przeciwnej stronie domu. Musieliśmy zatoczyć koło, a to zwiększało ryzyko natknięcia się na Cienie. Przełożyłam torbę na krzyż przez klatkę piersiową. W jednej dłoni ścisnęłam Inkwizycję ze świeżym magazynkiem, w drugiej śliski od potu gwóźdź. Stella szła za mną, cicho pojękując, kiedy szyszki, igły i gałęzie wbijały się w jej bosc stopy. Pozostawiała ślady krwi i zaczęła się trząść. Rozpoznawałam u niej objawy narastającego szoku, to kwestia czasu, kiedy będę musiała ją nieść. A to przekreśliłoby nasze szanse na wydostanie się stamtąd w jednym kawałku. Wybrałam więc mniej osłoniętą drogę, bliżej krawędzi drzew i domu, z podłożem bardziej przyjaznym nagim stopom. Liczyłam się z tym, że przyjdzie mi stawić czoła wysłannikom Zakonu, ale wiedziałam, że sobie z nimi poradzę. Liczyło się tylko to, by dotrzeć do auta, bo stan Stelli pogarszał się z każdą minutą.

VII

Cienie wyparowały. Pamiętałam, gdzie siedziały przez ostatnią dobę, ale po pierwszej dwójce zostały tylko ślady odcisnięte w ściółce. Stella trzęsa się już tak, że słyszałam podzwanie jej zębów. Raz po raz wydawała z siebie dziwny ni to jęk, ni to szloch, oddychała za szybko i za płytko. Szła jak zombie, co chwilę się potykając.

Gdy dotarliśmy do samochodu, wpackowałam ją do środka i owinęłam kocem termicznym. Byłam gotowa zostawić za sobą to przekłete miejsce na wieki.

Wtedy do mnie dotarło – brama! Zamykana automatycznie, zabezpieczona potężnymi silownikami. Rozbrojenie jej bez pilota wymagałoby ładunków wybuchowych. Cały teren otaczał solidny mur. Brzydał, choć masywny, nie był czołgiem. Przeklinając, oparłam czoło o kierownicę. Jak mogłam o tym zapomnieć?

– Czemu... nie... jedziemy? – zapytała Stella, a każde jej słowo przerywało szczękanie zębów.

– Brama – powiedziałam głucho.

Dom stał w płomieniach, nie było szans, bym się tam dostała i wcisnęła kod. Może powinnam zostawić Brzydala i wyostać się stąd pieszo? Ale jak daleko zajdę, niosąc Stellę?

– Sowa... otworzy... bramę – wykrztusiła.

Myślałam, że majaczy. Jej oczy szklily się gorączkowo, twarz była nienaturalnie biała i spocona.

– Figurka... ze świecami... oczami. – Nabrała powietrza i przymknęła powieki, jakby musiała pozbierać rozproszone myśli. A potem powiedziała już jaśniej, wkładając w to mnóstwo wysiłku: – Po prawej stronie podjazdu, niedaleko bramy, między białym głazem a muchomorkiem. Drugi sterownik, niezależny od domu.

No i to były dobre wieści! Odpaliłam Brzydala i przecięłam nim trawnik, wjeżdżając na szeroki podjazd z piaskowca, zaspany szkłem i odłamkami okiennic. W świetle reflektorów szukałam głazu i muchomorka.

– Tu – powiedziała Stella, wskazując niewielki biały kamień, którego nigdy nie nazwałabym głazem.

Wysiadłam z samochodu. Obok kamienia stała ceramiczna figurka muchomora z czerwoną glazurą, wysoka może na piętnaście centymetrów. Między nimi przycupnął ogrodowy posążek sowy z solarnymi reflektorkami zamiast oczu, teraz całkiem ciemnymi. Podniosłam go i faktycznie, na spodzie zobaczyłam panel kontrolny. Wcisnęłam kod i brama zaczęła się otwierać z jękiem silowników.

Nagły dźwięk klaksonu postawił mi włoski na karku. Odwróciłam się, z Inkwizycją gotową do strzału. Postać biegła w stronę samochodu, z ustami otwartymi do krzyku, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Była jak żywa pochodnia, otoczona białymi płomieniami i dymem z topiącego się na niej poliestru kamizelki taktycznej i pasków kabury. Spod poroździeranych bojówek wzywały głębokie, krwawiące rany. Typ nie powinien móc biec, dawno powinien być martwy, tymczasem pędził cholernie szybko. Strzeliłam do niego trzy razy, celując w pierś. Trafiałam, a on nawet nie zwolnił. I już wiedziałam.

Skoczyłam do przodu, między pędzącą żywą pochodnią a Stellą. Opróżniłam magazynek, jednak kule nawet nie spowalniały skurwiela; szarpały jego ciało, ale nie wpływały na żywotność. Całą uwagę skupiał na Stelli. Zderzyłam się z nim, usiłując go zatrzymać. I nagle leżałam na plecach, a on próbował mnie udusić. Okruchy szkła i krople płonącego poliestru spadały na mnie jak deszcz. Był silniejszy niż jakikolwiek człowiek. Z bliska widziałam jego wypełnione ogniem oczy. Zacisnęłam palce na gwoździu i zaczęłam go dźgać w szyję, rozrywając tętnicę. Żelazo zadziałało lepiej niż ołowiane kule. Wydał z siebie nieludzki skrzek i poluzował chwyt na moim gardle. Odepchnęłam go, a gdy upadł na plecy, rzuciłam się na niego i dociskając kolanem do ziemi, wbiłam gwoździe w jego tchawicę. Poprawiłam kolbę Inkwizycji, aż wystawała tylko główka. Wyciągnęłam z kieszeni ostatnie gwoździe i jeden po drugim wepchnęłam mu je w serce. Wstałam i docisnęłam każdy z nich obcasem, napierając całym ciężarem ciała. Wreszcie ifryt znieruchomiał. Ogień w jego oczach zgasł, odsłaniając puste, wypalone oczodoły.

Ja pierdołę.

Rozejrzałam się, ale nie widziałam innych Cieni. Odwróciłam się w stronę samochodu. Stella stała przy nim, skulona pod szeleszczącym kocem termicznym, z oczyskami wypełnionymi zgrozą. Zęby znów podzwaniały jej jak kastaniety.

– Wsiadaj, zmywamy się stąd – rozkazałam, podchodząc do drzwi od strony kierowcy.

– To był on, prawda? – zapytała cicho.

Skinęłam głową.

– Dymisz się – powiedziała.

– Tak to jest, gdy wdajesz się w bójkę z ifrytami. – Skrzywiłam się i ściągnęłam z pleców kamizelkę. Ugasiłam płomień i wrzuciłam ją na tył Brzydala. Miałam serdecznie dosyć zabaw z ogniem, tego domu i ifryta.

– Jedziemy do hotelu? – zapytała Stella, gdy wreszcie opuściliśmy jej posiadłość.

– Nie widziałam trupów Cieni, poza tym jednym, więc gdzieś tam jeszcze są. I ciągle mogą mieć zobowiązania wynikające z kontraktu. W hotelu za łatwo nas znaleźć. Lepiej się przyznać do rana. Gdy złożymy papiery w sądzie, będziesz bezpieczna.

Skinęła głową jak posłuszne dziecko.

VIII

Stary kościół to jedna z moich ulubionych nor. Przed wojną był miejscem kultu, wypełnionym wiernymi, ołtarzami i witrażami dla starych i nowych bogów. Gdy wojna namieszała w liniach magicznych, a te odcięły Warsa i Sawę jak kończynę skażoną gangreną, wszystko się zmieniło. Niewiele kultów przetrwało ten czas. Wierni nie przyjęli dobrze beczynności bóstw. Skoro te przestały chronić swych wyznawców przed katastrofą, ludzie poczuli się zwolnieni z obowiązku pielęgnowania kultu i składania ofiar. Powstało kilka nowych wierzeń, bardziej dostosowanych do zaistniałych warunków, potrzeb i zagrożeń, z bóstwami aktywniejszymi lub wystarczająco umownymi, by nie spodziewać się po nich bezpośredniej interwencji.

Po wielu starych kultach zostały tylko opuszczone świątynie, dawno już ograbione z rzeczy cennych czy magicznych. Rzadko kiedy wykorzystywano te budynki do nowych celów, przede wszystkim dlatego, że trudno było je zabezpieczyć. Utrzymujący się od pokoleń status przestrzeni publicznej oraz okazałe rozmiary budowli utrudniały ustawienie porządných kregów ochronnych, a to w Warsie mogło oznaczać szybki wyrok śmierci.

Świątynia, którą wybrałam sobie na norę, nie różniła się w tym względzie od innych, ale drobne zmienne sprawiły, że mimo spartańskich warunków była jedną z moich ulubionych kryjówek.

Po pierwsze, mogłam zaparkować Brzydala tak, że pozostawał niewidoczny z ulicy, osłonięty starym ceglanym murem, który otaczał przykościelny cmentarzyk. Dawno już wykopano i wywieziono stąd wszystkie szczątki, więc teraz był to niewielki plac z ułożonymi wzdłuż muru zabytkowymi pomnikami. Zostawało sporo miejsca na zaparkowanie auta. Po tym, jak w czasie pewnej bardzo brutalnej czkawki cmentarze ożyły i stada zombie wyroiły się na ulicach, w Warsie zmieniło się podejście do rytuałów pogrzebowych. Wprowadzono nakaz kremacji, a stare kwatery ekshumowano. Kości i świeższe ciała skremowano, a prochy umieszczono w Lapidarium, jak nazwano zbudowaną wtedy podmiejską nekropolię – pewnie z powodu kamieni, które bliscy zostawiali na pamiątkę po zmarłych. Wszystkie prochy skończyły w wielkich zbiorowych urnach, więc nie stawiano nagrobków, krzyży ani innych oznak pochówku. Poza Dzielnicą Cudów nie było już w Warsie czynnych cmentarzy i jeśli ktoś miał takie życzenie, musiał doliczyć do kosztów pogrzebu transport szczątków do innego miasta.

Po drugie, świątynia była nawiedzona. To zwykle nie wróżyło zbyt dobrze, ale w przypadku obecnych tu duchów, Uli i Luizy, okazało się dla mnie niezwykle korzystne – jako kobieta mogłam liczyć na ich sympatię i solidarność. Obie zginęły z rąk mężczyzn i od osiemdziesięciu lat miały uraz do facetów. Dzięki temu stały się najlepszym systemem alarmowym, jaki mogłam sobie wymarzyć. Ustalały z mną hasła, a każdego, kto go nie znał i próbował wejść do środka, przysmażały ekto plazmą. Nie robiły tego bezinteresownie – przysmażanie pozwalało im podkraść ofiarom energię, więc były nieźle upasionymi duchami.

Po trzecie wreszcie, pod świątynią znajdowały się katakumby. A konkretnie – grobowiec, należący kiedys do pewnego rodu. Szkielety i czaszki nadal spoczywały na wykutych w ścianach półkach, co oznaczało, że nie była to – w przeciwieństwie do naziemnej części świątyni – przestrzeń publiczna. Miejsce zajmowało ograniczony obszar i miało wzmocnione fundamenty, dzięki czemu mogłam je zabezpieczyć kregiem ochronnym nawet przed potężną czkawką.

Dysponowałam lepszymi, bardziej cywilizowanymi i lepiej wyposażonymi norami, ale w tej zawsze czułam się wyjątkowo bezpiecznie. To dlatego przywiozłam Stellę właśnie tutaj.

Gdzieś w połowie drogi między jej domem a świątynią całkowicie umilkła. Zesztywniała i wpatrzona szklistymi oczami w szybę przed sobą, nadal podzwaniała zębami, a jej palce zaciskały się nerwowo na szelerszczącej folii termicznej. Musiałam ją wyciągnąć z samochodu. Zarzuciłam sobie na plecy torbę z bronią, a potem wzięłam Stellę na ręce, jak dziecko. Jej stopy były pokaleczone i brudne, a ona półprzytomna z szoku. Nie chciałam, by wdepnęła w szkło z rozbitych witraży, drzazgi czy gwoździe z połamanymi ławek.

Dotarłam do wejścia. Ze ściany tuż przy dwuskrzydłowych drzwiach wyłoniła się jasnoruda głowa Uli.

– Hasło! – zawołała groźnie.

– Skumbrie w tomacie – odpowiedziałam cierpliwie. Same wymyślały te hasła i nigdy nie były to proste, rozsądne frazy.

– Nikita! Wieki cię u nas nie było! – zawołała Ula, szczerząc się w szerokim uśmiechu.

– Nie widzisz, że spędzała wakacje w piekle i nie było jej po drodze? – zapytała Lui, wychylając się zza drewnianego skrzydła wrót.

– Ach, masz rację, ciągle dymi! I te włosy! Stylowe skrzyżowanie potępieńca i upiora, z wyraźnymi inspiracjami piekielnymi!

Zaśmiewały się z własnego dowcipu, ale pozwoliły mi wejść.

– A kogo tam masz? Dziewczyne? Masz dziewczynę? I chciała cię taką osmoloną? Oczu nie ma? W głowę się uderzyła? – dopytywała Ula, podlatując bliżej, by się przyjrzeć Stelli.

– No ładna taka! Nawet jeśli uszkodzona, to jednak warto! – przyznała Lui, zaglądając mi przez ramię.

Nie odpowiadałam, by nie prowokować kolejnych pytań.

– Na dole bez zmian? – zapytałam tylko.

– A co się miało zmienić? Nawet maleńkiej czkawki nie było od twojej ostatniej wizyty, nudno, jak to zimą. Szczurów trochę laziło, przegoniłam je, bo to chyba Bestiar węszył – relacjonowała Lui.

– Kręcił się tu taki jeden, ale go usmażyliśmy – dodała Ula.

Spojrzałam na nią, czekając, aż rozwinie.

– Nie ma o czym mówić – powiedziała Ula, wzruszając przejrzystymi ramionami. – Nie znał hasła. Mówię ci tylko dlatego, że ciągle leży tam, pod chórem, więc mogłabyś się wystraszyć, jakbyś się na niego natknęła. Zimno jest, wolno się rozkłada. – Skrzywiła się zdegustowana.

– Niewspółpracujące trupy, najgorzej – powiedziałam, próbując się nie uśmiechnąć.

– Ale spokojnie, wypiliśmy go, he, he, duszkiem, więc nie będzie cię nawiedzał – dorzuciła Lui i obie zaczęły się zaśmiewać z dowcipu, tak że w powietrzu objęły się o siebie i o mnie.

Nigdy się nie dowiem, czy zawsze takie były, czy osiemdziesiąt lat duchowej egzystencji w Warszawie poprzedzało im klepki.

Zesłam po wąskich kamiennych schodkach, wysłizganych przez stulecia. Otworzyłam kłódkę i uchyliłam żelazną bramę. Pachniało wilgocią i szczurami. Gdy położyłam Stellę na wąskiej prycy, odruchowo skuliła się w kłębek, wciąż dygocząc z zimna. Przykryłam ją śpiworem wyciągniętym z wojskowej skrzyni stojącej pod łóżkiem. Zamknęłam furtkę i popchnęłam impuls magii, by zabezpieczyć krąg.

Magia zabrzęczała wysokim, szklistym tonem. Odetchnęłam z ulgą. Do poniedziałku została nam doba. Damy radę. Zapaliłam dwie lampy naftowe i ciepłe światło wypełniło podziemie. Niewielkie, przejściowe pomieszczenie miało dwie furtki – jedna prowadziła do schodów wiodących na górę, a za drugą znajdowała się wypełniona szkieletami komnata, z wbudowanymi w ściany półkami na szczątki. Ostatnich zmarłych pochowano tu ponad sto lat temu, więc nic z ich strony mi nie groziło. Komnata była wykuta w skałę, na której stał kościół, a fundamenty wzmocniono ceglana podmurówką i stalowym kołnierzem. Gdyby kościół się zawalił, pewnie trudno byłoby mi się stamtąd wydostać, ale mogłabym się założyć, że nawet wtedy strop by wytrzymał. Po prostu musiałabym się zdrowo nakopać.

Umierałam z głodu. Ze skrzyni wyciągnęłam maszynkę gazową, ronderek i kilka puszek. Miałam tu też zapas wody pitnej, sporo słodyczy, amunicję i broń, komplet ciuchów na zmianę, a nawet kilka książek i małutkie radio tranzystorowe, które zwykle nie działało ze względu na podziemną lokalizację.

Podgrzałam puszkę gulaszu, dorzuciłam garść kaszy i cierpliwie mieszałam, by nic nie przywarło do dna rondelka. Co jakiś czas zerkałam na Stellę. Ciągle była w szoku, ale przestała się trząść.

– Możesz się przespać, jeśli ci to pomoże. Jesteśmy bezpieczne, nikt nas tu nie znajdzie – powiedziałam.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek zasnę – odparła wysokim, prawie dziecięcym głosem.

– Zaśniesz. Adrenalina zejdzie i oczy same ci się zamkną ze zmęczenia.

– Dla ciebie to nie było nic... dziwnego – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– To był mój pierwszy ifryt i jeśli los słucha moich podszeptów, mam nadzieję, że ostatni.

– Były też inne rzeczy, prawda?

– Taki fach. Przecież dlatego mnie wynajęłaś. Bo radzę sobie z różnymi rzeczami.

– Chyba tak...

– Nie musisz jeść, jeśli nie chcesz, ale powinnaś pić. – Podałam jej butelkę.

Przez chwilę zmagala się z zakrętką, jakby jej mózg zapomniał, jak się otwiera butelki.

– Jeśli był twoim pierwszym ifrytem, skąd wiedziałaś? – zapytała cicho.

Prychnęłam.

– Wieki temu niania czytała mi baśnie arabskie. Często pojawiały się w nich dżinny i ifryty przesładujące jakichś młodych idiotów, którzy myśleli, że są dość bystrzy, by wchodzić z nimi w układy handlowe. W jednej z nich dokładnie opisano cętki na skórze, pazury, płomienne oczy i gorączkę. Jako dziecko byłam zafascynowana tą przemianą.

– To z baśni wiedziałaś o gwoździach?

– Między innymi – przyznałam.

Nie musiała wiedzieć, że w któryś momencie życia, przekonana, że nie mam w sobie ani odrobiny magii i jestem dla matki źródłem zawodu, czytałam o każdym istniejącym gatunku magii, która nie wymagała odpowiedniej kombinacji genów. Nawet ja, piętnastoletnia dziewczyna, szybko zrozumiałam, że z dżinnami i ifrytami po prostu się nie pogrywa. Zresztą także Irena, która całe życie pragnęła więcej magii, niż miała, trzymała się od nich z daleka.

– Czy on nie żyje?

– Kto dokładnie? – zapytałam, nakładając do miski porcję kaszy z gulaszem. Miałam tylko jedną, więc podałam ją Stelli, a sama jadłam z rondla.

– Ifryt. Nawet zginął w domu, skoro był w Cieniu, który cię zaatakował... Ale czy zabijając Cienia, zabiłaś też ifryta?

– Nie sądzę. Jedynie pozbawiłam go ciała. Z naszej perspektywy to wystarczy. Jeśli będzie miał pretensje, to do twojego męża. To on mu obiecał ciało.

– Babcie.

Pokręciłam głową.

– Nie tylko. Myślałam o tym. Twoją babcie potraktowali jako ciało do inkubacji. Potrzebował go na dziewięćdziesiąt dni, potem zamierzał przekroczyć granicę między światem duchowym a cielesnym. Ale jej ciało było stare, chore i kruche. Raczej wiedzieli, że nie przetrwa przebudzenia, dlatego postanowili wykorzystać ciebie. Stąd magia, która cię przykuwała do łóżka Astrid. Chcieli, żebyś na pewno była na miejscu, kiedy ifrytowi będzie potrzebne nowe ciało.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, nie rozumiejąc.

– Nie zauważałaś, że jest w tym coś nienaturalnego, bo naprawdę kochałaś swoją babcie. Ale magia ifryta zintensyfikowała to uczucie do tego stopnia, że dosłownie nie mogłaś odejść od łóżka.

– Na ciebie nie wpływał w ten sam sposób?

– Och, wpływał, tyle że przeholował. Za dobrze znam siebie, bym mogła to kupić. Po prostu nie potrafię się tak szybko przywiązać, otworzyć na uczucia i skoczyć w nie na główkę. Coś musiało sprawić, bym nagle poczuła tak silne przywiązanie.

– Nadal nie rozumiem. Skoro miałam być nowym naczyniem, czemu chciał mnie zabić? Po co te Cienie? – wyszeptęła.

Pokręciłam głową.

– Nad tym też myślałam. Atak pierwszej trójki był zdecydowany, ale został przeprowadzony znacznie poniżej możliwości i poziomu wyszkolenia Cieni. Działy zbyt wolno. Ot, mięso armatnie. Druga trójka okazała się lepsza, ale za długo zwlekała ze szturmem na tyły i przyłapałam ich na gorącym uczynku. Nie mieli cię zabić. Może mnie, chociaż też niekoniecznie. Ich celem było sprawienie, byśmy się czuły jak w oblężonej twierdzy. Miałam zrobić to, co zrobiłam, czyli zamknąć nas w środku. Dlatego reszta Cieni tylko pilnowała, żebyśmy się nie wymknęły. Ich zwierzchnicy nie będą zachwyceni tą stratą. Podejrzewam, że Bohdan nie wprowadził Zakonu we wszystkie szczegóły swojego planu. I niewykluczone, że trafi na czarną listę.

Potarła twarz, rozmazując świeże łzy po okopconej, brudnej skórze.

– Od dawna nie układało się między nami. Choć z trudem, pogodziłam się z tym, że może chce mnie zabić, ale... oddać moje ciało ifrytowi? To gorsze niż zwyczajne zabójstwo.

– Chciwość popycha ludzi do różnych świństw – przyznałam.

Sama dzieliłam ciało z potworem, ale nawet by mi przez myśl nie przeszło, by porównywać berserka i ifryta.

– Co mu obiecał? Jaką miał otrzymać po tym wszystkim nagrodę? Czy przynajmniej było warto? – zapytała gorzko.

Nie znalazłam odpowiedzi. Mogłam zgadywać, ale uznałam, że lepiej potraktować te pytania jako retoryczne. Stella nie poczułaby się lepiej, wiedząc, na ile dokładnie Bohdan wycenił jej życie.

Dłubała sporkiem w gulaszu, wyraźnie pozbawiona apetytu. Ja pochłonęłam swoją porcję i dopychałam się batonami wysokoenergetycznymi. W końcu podała mi miskę i wyznała:

– Wszystko mi staje w gardle. Miałas rację, jestem zmordowana.

Zanim zasnęła, dałam jej apteczkę, by opatrzyła sobie stopy. Pozwoliłam jej użyć całego bianiak deszczówki do umycia się. Potem przebrała się w moje zapasowe ciuchy – czarne dresowe spodnie

i bluzę. Założyła kaptur głęboko na oczy i pod śpiworem zwinęła się w kłębek. Udawałam, że nie słyszę stłumionego szlochu. Pół godziny później jej oddech się wyrównał i zasnęła.

Przeciągnęłam się na krześle. Czekala nas długa doba.

Brynjar się nie odzywał. Czułam bijące od niego zimno. Był odległy i pozamykany na siedem spustów. Zagadywałam, ale ignorował mnie, zbyt zraniony i urażony, by chcieć mieć ze mną cokolwiek wspólnego. Zabolało mnie to, choć nie mogłam go winić. Miałam tylko nadzieję, że kiedyś mu minie.

Dawno nie czułam się tak samotna i opuszczona.

Stella przespała większość dnia, a potem praktycznie całą noc. Budziła się tylko na chwilę, by skorzystać z toalety i wypić butelkę wody, po czym zasypiała, ledwo przyłożyła głowę do poduszki. Tak bywa, gdy przez trzy miesiące pustylny demon ognia podkrada ci energię.

Nie zasnęłam do poniedziałkowego ranka. Próbowałam, bez skutku. Przeczytałam nawet kilkanaście stron Prousta, trzymanego tu na takie okazje, ale tym razem niespieszność narracji nie zdołała powstrzymać gonitwy moich myśli.

Stella była przekonana, że najgorsze za nami. Ja zastanawiałam się, czy dotrzemy do sądu bez przeszkód, czy może Bohdan ma plan B.

IX

Sąd otwierano o ósmej. Dokładnie o tej godzinie zaparkowałam Brzydala centralnie przed wejściem. Na tle nobliwego budynku moje auto wyglądało jak buldożer, który przejechał przez dwie strefy wojenne. Dopiero w świetle dnia widać było wszystkie uszkodzenia. Nie tylko na nim.

Stella trzymała się nieźle. Jakimś cudem w moich dresach i butach sportowych za dużych o dwa numery wchodziła po schodach z klasą i gracją kobiety, która zarządza korporacją i sponsoruje takie rzeczy jak balet, opera i chóry dziecięce. Pojęcia nie miałam, jakim cudem, ale była diabelnie przekonująca. Mogłabym uwierzyć w jej minę królowej śniegu, która, jeśli się zbliżysz, w ułamku sekundy rozerwie ci gardło, gdybym nie widziała momentu zakładania maski. I jak przy tym oddychała głęboko, jakby przymierzała się do nurkowania na dno Rowu Mariańskiego.

Strażnik sądowy próbował zająć nam drogę. Pewnie z mojej przyczyny. Zasnęta na twarzy i włosach krew, okruchy szkła i czarne smugi sadzy zdobiące skórę niczym barwy wojenne musiały robić koszmarnie wrażenie. Miałam częściowo spalone włosy i dziury powypalane w ciuchach, a odsłonięte fragmenty ciała pokrywały pęcherze. No i nie pachniałam fiołkami.

– Nie radzę – warknęłam.

Wahał się wystarczająco długo, byśmy go minęły.

W holu czekał już na nas prawnik Stelli. Niewysoki, łysiejący, o ciemnooliwkowej skórze i bystrych, lekko wylupiastych oczkach. Miał na sobie garnitur, który jak nic kosztował tyle, ile moja snajperka, i buty droższe od Brzydala.

Kiedy ujrzał Stellę, wyraźnie mu ulżyło. Patrzenia na mnie konsekwentnie unikał, a ilekroć przypadkiem zerknął, wzdygał się z niepokojem.

– Masz wszystko? – zapytała Stella.

Pomachał teczką z papierami.

– Przedłożymy to sędzi i machina ruszy. Nie będzie mógł cię tknąć, jeśli chce zobaczyć choć złotówkę – powiedział.

– Ile trwa pełna karencja? – zapytałam spokojnie. Wołałam się upewnić.

– Trzydzieści dni.

– Liczone od dziś?

Skinął głową.

Dobrze wiedzieć. Miałam swoje plany wobec Bohdana, ale nie zamierzałam dzielić się nimi z prawnikiem. Zasada tajemnicy zawodowej dotyczyła tylko jego relacji z klientką.

– Dorzuć oficjalną skargę o zamach magiczny – powiedziałam. – Przyda się jej zakaz zbliżania.

Jego oczy rozszerzyły się, spojrzał na Stellę, a ona wyjaśniła:

– Ifryt, długa historia, którą chętnie podzielę się z sędzią. Odpowiada też za śmierć mojej babci. Chcę, żeby cierpiał, i twoja w tym głowa, by tak się stało.

Uśmiechnął się, a mnie skojarzył się w tym uśmiechu z drapiezną rybą.

– Mogę to zrobić – powiedział. – Będzie wesoło.

Prawnicy i ich definicje zabawy.

Poszłam z nimi. Teoretycznie moja praca dobiegła końca, ale uznałam, że przyda im się ktoś, kto poświadczy, że doszło do zamachu magicznego i całej reszty. Urzędniczka, która spisywała moje dane, zachowała zimną krew, choć skrzywiła się, czując smród spalenizny.

– Ciężki dzień? – zapytała cicho.

– Raczej tydzień, ale kto by liczył.

– Dobrze, że idzie wiosna – powiedziała. A potem pokręciła głową i dodała: – W sumie nie wiem, skąd ten optymizm. Jakby wiosna w Warszawie była czymś, za czym warto tęsknić.

– Nie jest tak źle – odparłam i posłałam jej lekki uśmiech.

Wzdrygnęła się. Dobra, żadnych uśmiechów, przynajmniej dopóki się nie wyszoruję.

Kilka metrów dalej Stella i jej prawnik rozmawiali z sędzią, kobietą pod sześćdziesiątkę, w której nie było absolutnie nic miękkiego i miłego. Ostra jak zyletka i twarda jak skała, słuchała w skupieniu relacji

Stelli i przerywała tylko wtedy, gdy chciała zadać pytanie lub coś zanotować. Wystarczyło pół godziny, a już przybijala pieczęcie pod dokumentami. Machina ruszyła.

Stella wraz z prawnikiem, trzymającym się jej jak cień, szli w moją stronę.

– Potrzebujesz mnie jeszcze? – zapytałam.

Pokręciła głową.

– Dziękuję. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby zamiast ciebie trafił mi się jakiś zwykły ochroniarz czy nawet oddział Cieni.

– Ktokolwiek, komu niania nie czytałaby arabskich baśni – dorzuciłam, a Stella uśmiechnęła się nieśmiało, jakby zaskoczona, że ciągle to potrafi.

Skinęła ręką w stronę prawnika, a on wyciągnął z aktówki dużą kopertę bankową wypchaną tak, że ledwie się zamykała. Podał mi ją, a potem podsunął do podpisania pokwitowanie. Ach, te formalności.

Stella uśmiechnęła się już całkiem otwarcie.

– Czeka mnie potwornie trudny czas. Przejęcie firmy, odbudowa domu, pewnie niejedna burza, nim to się na dobre skończy. Ale wiesz... Tydzień temu przerażało mnie to bardziej. Nie wiedziałam, ile mam w sobie siły i ile potrafię przetrwać. Tego jednego nie przewidział w swoim planie. Nigdy mnie nie doceniał.

– Uważaj na siebie. I nie daj idiotcie satysfakcji. – Odwzajemniłam jej uśmiech, a ona się nie wzdrygnęła. Widać trauma uodparniała na wrażenie, jakie robiłam.

– Jestem gotowa. – Wyjęła z kieszeni bluzy lśniący gwóźdź i dodała: – Oprawię go sobie jak amulet.

Opuściłam sąd zadowolona i wściekle głodna. Strażnicy oglądali się za mną, jakby zdziwieni, że jeszcze chodzę. Wsiadłam do Brzydala i przez chwilę zastanowiłam się, dokąd jechać.

Głowa podpowiadała, że potrzebuję prysznic i zmiany ciuchów. Żołądek uważał, że pilniejsze jest wrzucenie czegoś na ruszt. Jak zwykle posłuchałam żołądka. Był dużo bardziej wiarygodnym źródłem od głowy, w której wciąż kłębiło się zbyt wiele myśli.

X

Food truck Berta to jedno z najmiłszych miejsc, do jakich trafiłam w ostatnich miesiącach, okruczeństwa w czasie nieznośnie długiej i ciemnej zimy. Dla Berta okoliczności naszego spotkania były ciut mniej przyjemne, ale cokolwiek by powiedzieć – znalazłam jego córkę, zabiłam jego zięcia, a na koniec zgodziłam się, by zapłacił mi za tę robotę w ratach. W ramach odsetek obiecał mnie karmić. Po pierwszej mojej wizycie nazwał to lichwą, ale umowa to umowa.

Parkował tuż przy granicy Dzielnicy Cudów, bo w niej mieszkała – i miała mieszkać już zawsze – jego córka. Wiedziałam, że nie będzie narzekał, że zjawiam się brudna i śmierdząca. Panna Wacia mogłaby mnie pogonić miodłą, gdybym w takim stanie przekroczyła próg jej szanowanej jadłodajni.

Bert tylko wychylił się przez okienko, by dokładnie mnie sobie obejrzeć, i prychnął jak zde gustowany kot.

– Wypadek przy grillu? – zapytał i się wyszczerzył, usatysfakcjonowany tą perłą humoru.

– Próbowałam zrobić coś dobrego, ale sam widzisz, jestem na ciebie skazana.

Znów prychnął, jakby szkoda było mu słów na moją głupotę, i zapytał:

– To, co zwykle? Czy masz ochotę na mały eksperyment? Sara testuje nowe receptury, wegańskie, ale smakuja naprawdę przyzwoicie. W życiu bym nie uwierzył, że to z pszenicy.

Młoda kobieta z ciemnymi włosami splecionymi w gruby warkocz pochyliła się do okienka i powiedziała:

– Seitan jest pyszny, pokochasz go i będziesz wracała po więcej.

– Jakbyś potrzebowała dodatkowej przynęty na tego żarłoka – odciął się Bert.

– Wezmę po jednym, twój i Sary, a po wszystkim przyznam punktację – zdecydowałam.

Patrzyłam, jak kręcą się w niewielkiej przestrzeni furgonetki, ani razu się nie zderzając, niby dwa trybiki dobrze naoliwionej maszyny. Burczało mi w brzuchu, głośniej, odkąd tylko poczułam zapach jedzenia. Sara zawiąnęła w papier dwa ogromne placki pszenne wypchane farszem i podała mi je przez okienko.

– Musisz opatrzyć te poparzenia, jak ci się wda infekcja, zostaną blizny – powiedziała z troską.

– Mam to w planach zaraz po jedzeniu. Rozumiesz, priorytety.

Z genami berserka infekcja raczej mi nie groziła, poza tym po powrocie do domu zamierzałam sobie urządzić kąpiel błotną, ale to miłe, że ktoś się o mnie troszczył.

Zapłaciłam za placki i dużą butlę nektaru mango, mimo protestów Berta.

– Dopiero rozkręcasz biznes w tej okolicy, chcę, by przetrwał. Nie rezygnuj z forsy od najlepszej klientki.

Burknął coś i popchnął w moją stronę papierową tutkę z ciasteczkami. Gdybym chciała za nie zapłacić, obraziłabym go, więc tylko podziękowałam.

Planowałam zjeść w samochodzie, ale tak śmierdziało, że odór spalinowy tłumił zapach jedzenia. Obrzydliwa mieszanka palonego plastiku, ciała, włosów, pianki wypełniającej fotel kierowcy i bogowie wiedzą czego jeszcze.

Skęciłam w stronę bulwarów i Wisły. Tam też śmierdziało, jednak typowy portowy smrodek ryb i glonów kompletnie mi nie przeszkadzał.

Zapowiadał się naprawdę piękny, ciepły, prawie wiosenny dzień. Piętnaście stopni i ciepły wiatr niosący od Sawy woń zieleni i życia. Rozsiadłam się na betonowym murku z widokiem na Wisłę i zabrałam się do jedzenia, odruchowo wypatrując kelpie czy innych potworów, które miałyby ochotę dołączyć do posiłku.

Kątem oka wychwycałam ruch. Starsza kobieta szła niespiesznie, spoglądając na rzekę. Na smyczy prowadziła psa, wyglądającego jak owoc upojonej nocy jamniczki i wilczura. Z krótkimi nóżkami, nastroszoną, sztywną sierścią i ruchliwym ogonem przechadzał się po bulwarze niczym król dzielnicy. Przystawał co chwile, by obsikać to krzaczek, to krawężnik, to rozwaloną ławkę. Wyczułam, kiedy mnie zauważyła. Nie tylko z powodu jej nagłego usztywnienia się i wzmożonej czujności, ale i dlatego, że wymierzyła we mnie z broni, którą miała w kieszeni. Sądząc po rozmiarze wybrzuszenia, skrywała w niej spory gnat. Broń automatyczna nie pasowałaby do jej wizerunku w stylu Elżbiety II – kraciasta

welniana spódnica, obszerna oliwkowa kurtka, solidne kalosze, a nawet chustka obwiązana wokół głowy przywodziły na myśl zdjęcie królowej z jej szkockich polowań.

Jadłam spokojnie wegański placek z seitanem – był naprawdę świetny, Sara zasłużyła na dziesięć gwiazdek – czekając, co nieznajoma zrobi z tą armatą w kieszeni.

– Wyszedł z wody? – zapytała głośno.

Pokręciłam głową.

– Zamierzasz skoczyć? – chciała wiedzieć.

– Nie mam w planach – odpowiedziałam między kęsami.

Musiłam ją uspokoić, bo nieco się rozluźniła.

– I dobrze. Nie ma co przesadnie dokarmiać tych okropnych kelpie. I bez tego są rozwydrzone. Za lekka zima była i się namnożyło w wodzie pełno tałatajstwa. Czasem nocami aż się kotłuje pod powierzchnią – powiedziała tonem sąsiedzkiej konwersacji.

– Przynajmniej wiosną nie grozi mi nuda – odparłam.

Uniosła brew.

– Ty jesteś Nikita? Szalona kobieta, która zabija potwory? – zapytała nieoczekiwanie.

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Widziałam twoją wizytówkę w świetlicy w klubie seniora. Wszystkie spisałyśmy numer, tak na wszelki wypadek.

No proszę, to dopiero reklama. Jakim cudem moja wizytówka trafiła do klubu seniora?

Piesek kręcił się nerwowo, jakby uznał ten postój za kiepski pomysł. W sumie miał rację. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przesiaduje w tym mieście na bulwarach.

– Wiosnę czuć w powietrzu – powiedziała kobieta, patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi – a z nią czkawki. Uważaj na siebie, panienko.

– Uważam, uważam – zapewniłam.

Otaksowała mnie od stóp do głów.

– Uważaj bardziej.

Odeszła, chichocząc pod nosem. Jeszcze dłuższą chwilę słyszałam jej głos, gdy zapewniała pieseczka, że nie musi się mnie bać, bo jadam tylko potwory.

Taką reputację buduje się latami ciężkiej pracy.

Ale miała rację. Wiosna wisiała w powietrzu. Co do czkawek, też się nie pomyliła, góra za tydzień, pewnie szybciej, zacznie się sezon. Będę miała pełne ręce roboty.

Szybko policzyłam dni na palcach. W czasie akcji u Stelli całkiem straciłam poczucie czasu. Wychodziło, że jest już trzydziesty marca. Robin mógł wrócić w każdej chwili. Jeśli zobaczy mnie w takim stanie, gadaniu nie będzie końca.

– Łosiek niedługo wraca – zagadnęłam Brynjara.

Odpowiedziało mi bolesne milczenie.

RĘCE PEŁNE RYSIÓW



I

Coś go gryzło. Oczywiście nic nie mówił, to byłoby za proste. Dusił emocje niczym majowe chrabąszcze i zmuszał ją, by się domyśliła, w czym rzecz. Nie miała z tym specjalnych trudności, bo był prostym rysiem i zwykle potrafiła czytać w nim całkiem dobrze. Dedukcja, drogi Watsonie.

Wiedziała, że coś się wydarzyło, kiedy nagle we wtorek wyciągnął drabinę i zaczął czyścić rynny. Była końcówka marca, dobrze po osiemnastej, zbierało się na śnieg. Idealny czas, by czyścić rynny, prawda? A jednak ustawił drabinę przy ścianie, wdrapał się na nią i donośnie sapiąc, usuwał z rynien zeszlorzoczne liście. Oczywiście zapytała, czy coś się stało, ale zapewnił, że nic, absolutnie, wszystko w porządku. W PORZĄDECZKU, naprawdę tak powiedział. Z kim ja się zadaje? – pomyślała, patrząc na niego spod zmarszczonych brwi. Pewnie podłapał od małych, z którymi spędzał całe dnie.

Wróciła do siebie i zrobiła kolację, potwornie głodna po dwunastogodzinnym dyżurze. Planowała się przed telewizorem i obejrzeć kolejny odcinek brytyjskich zmagających z pieczeniem ciast w roli głównej. Po głównym dniu nie miała nic przeciwko, by jej największym zmartwieniem przez resztę wieczoru było to, czy biszkopt wyjdzie z zakalcem, albo czy zawodnik pamięta, że zbyt mocno podgrzany custard zmienia się w nieapetyczną jajecznicę. Sama praktycznie nie piekła, ot, jakąś szarlotkę czy muffinki raz na jakiś czas, może owsiane batony energetyczne, ale obejrzała już wystarczająco wiele sezonów *Bake off*, by z miną znawczyny ocenić, czyje ptysie są wstydliwym niewypałem. Cekał na nią odcinek z pieczeniem chleba. Uwielbiała odcinki z chlebem. A jednak zamiast pochłaniać telewizję wraz z porcją zapiekanego makaronu, jadła na stojąco, przy blacie, wyglądając przez okno na tego bęcwała, który właśnie wlaził na dach, bo długość motyki, którą wcześniej dłubał w rynnie, okazała się niewystarczająca. Ktokolwiek twierdził, że wszystkie koty są zwinne, lekkie i pełne wdzięku, nie widział jej chłopaka w tej kompromitującej sytuacji. Przymknęła oczy, kiedy stracił na chwilę równowagę. I odetchnęła, gdy zląpał się rynny i wdrapał na stabilną powierzchnię dachu. Co w sumie oznaczało jedynie, że jeśli spadnie, to z większej wysokości.

Dojadła makaron i wyszła na zewnątrz. Ściemniło się na tyle, że zapaliły się automatyczne lampy na podwórku.

– Rafał! – krzyknęła zirytowana. – Czy możesz już dać spokój tym rynnom i zejść na dół? Widziałam dziś wystarczająco dużo otwartych złamań, by oglądać je jeszcze u ciebie!

To była prawda. Przez kilka godzin wraz ze swoim oddziałem wyciągała dzisiaj ofiary wypadku samochodowego z auta sprasowanego tak, że musieli je rozcinać jak puszkę sardynek. Siła uderzenia zmiażdżyła przód pojazdu i połamała kierowcy i pasażerowi nogi w kilku miejscach. Cud, że przeżyli. Tak się kończy jeżdżenie sto dwadzieścia kilometrów na godzinę po większej drodze pokrytej zamarzającym deszczem. A także łażenie po drabinach i dachach po zmroku.

Ryś popatrzył na nią z wyrzutem.

– Trzeba oczyścić rynny! – zawołał z uporem.

– Możesz to zrobić za dnia? Mam chlebowy odcinek *Bake off* i zapiekany makaron!

– Z gorgonzolą? – zapytał po chwili wahania. I tak wiedziała, że chce zejść, ale duma i męska głupota nie pozwalały mu wywiesić białej flagi, póki nie zrobi sobie krzywdy.

Westchnęła przeciągle i powiedziała:

– Jaki sens byłby bez gorgonzoli? Za kogo mnie masz? Może jeszcze bez mozzarelli? Dewiant.

Wróciła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Przez chwilę stała przy nich, nasłuchując. Odetchnęła, bo zamiast odgłosów tąpnięcia usłyszała znajome kroki. Przebiegła do kuchni i udawała, że przez ostatnie trzy minuty zajmowała się wyłącznie parzeniem herbaty.

Dzięki swojej pracy miała wprawę w wyciąganiu tego, co ukryte, zakleszczone i zablokowane. Nie wątpiła, że i z Rafała wydobędzie, co wytrąciło go z równowagi. Może mogłaby odpuścić i dać mu czas, ale po pierwsze, była jego dziewczyną i jeśli wpadł w kłopoty, dotyczyło jej to w nie mniejszym stopniu niż jego, a po drugie – i być może ważniejsze – jako wilk była ponadprzeciętnie ciekawska. Ot, natura.

Byli ze sobą już dosyć długo (rok lub ciut ponad, zależy, czy liczyć od dnia, kiedy on uznał, że są parą, czy odkąd ona się z tym zgodziła), ale nie zamierzała rezygnować ze swojej przestrzeni, on też cenił własne terytorium. To, że byli dosłownie wilkiem i rysiem, czy – jak by powiedział ktoś złośliwy – psem i kotem, też miało tu znaczenie.

Naprawdę go lubiła. On ją też. Miała nawet pierścionek, który obwieszczał to światu, i zwykle nosiła go na łańcuszku (pierścionek zaręczynowy nie pasował do regulaminowego stroju strażaka, nie chciała też go zgubić czy uszkodzić). Kochała tego kota i nie chciała widzieć, jak cierpi. Chyba że sama go dręczyła, ale to coś zupełnie innego... Teraz więc postanowiła wyciągnąć z niego wszystko.

Gdy przyparła go do muru, dowiedziała się, że zaginał jeden z jego trzech braci (wiedziała, że ma ich kilku, ale żadnego nie poznała). Ponoć zaginiony spędził lata w wojsku, a potem dłuższy czas w policji, by, jak wielu mu podobnych, wylądować w prywatnej ochronie.

Zmienił kształt z wojskowym przeszkleniem znika w biały dzień – to nie brzmiało dobrze. Na domiar złego przepadł w najgorszym możliwym miejscu. Anna poczuła, jak włoski podnoszą jej się na karku, kiedy padła nazwa „Wars”. Popieprzone, magicznie zmutowane miasto, bez wątpienia niebezpieczne. Nigdy tam nie była i nie planowała być. W jej życiu i bez Warsa nie brakowało makabrycznych zdarzeń.

– Co twój brat robił w Warszawie? – zapytała spokojnie.

– To tam zaczął pracę jako ochroniarz – odpowiedział, a widząc jej uniesioną w zdumieniu brew, wyjaśnił: – Wiesz, mój drugi brat, Tym, od lat tam żyje. Tadek myślał, że fajnie byłoby zamieszkać bliżej rodziny.

– W Warszawie? Nie mógł poszukać czegoś bliżej ciebie, jeśli tęsknił za stadem? – zapytała sceptycznie.

Skrzywił się, jakby niechcący trafiła we wrażliwe miejsce.

– Tadzka, Tyma i Remka zawsze łączyła więź starszych braci – ostatnie słowa wymówił z naciskiem. – Tadek miał dwadzieścia lat, kiedy się urodziłem. Tymek też już był pełnoletni, a dziesięcioletni wtedy Remek patrzył w nich jak w obrazek. Potem wszyscy robili karierę militarną, wiesz, komandoska robota, wybuchy, te rzeczy. Z kotami jest inaczej niż z wilkami, nie jesteśmy stadni z natury. To, że jestem ich bratem, niekoniecznie oznacza, że myślą o mnie jako o części stada. Czy że w ogóle o mnie myślą. Wiesz, jak jest, trochę nam się urwał kontakt. Rozjechali się, a ja dorastałem sam z rodzicami.

Nie wiedziała. Nie do końca. Miała mnóstwo braci i kuzynów, jednak jej rodzina była żywa i nawet gdyby Annie zależało na utrzymaniu dystansu, krewni mogliby nie uszanować tej prośby. Jej matka do dziś narzekała, że Anna wyprowadziła się i zamieszkała „taki kawał” od nich, samiuteńka, choć mieszkała dosłownie pół godziny od rodzinnego domu. Kilku z jej braci wyjechało, jeden wyemigrował do Stanów, ale nawet ocean nie mógł osłabić łączącej ich więzi i byli w stałym kontakcie z mamą i resztą halastry. Wilcze stado to nie przelewki.

Koty kultywowały zupełnie inne zwyczaje. Jej ryś naprawdę mieszkał tu zupełnie sam. Jego rodzice przenieśli się na emeryturze w ciepłe rejony Włoch, dzwonił rzadko. Nawet ich nie poznała. O jego braciach też się dowiedziała dziś więcej niż przez ostatni rok.

Jej rodzina już dawno wciągnęła Rafała do swoich czatów na fejsie i na listy prezentowe. Pewnie nie skreśliliby go z nich, nawet gdyby on i Anna się rozstali. Nie uwolniłby się od nich, choćby chciał, bo uznali go za członka rodziny, nie potrzebowali do tego ich ślubu, do którego żadne z nich specjalnie się z resztą nie paliło. Mimo to Anna niemal słyszała w myślach tyradę matki: „Mam jedną, jedyną córkę i czy wreszcie się doczekam wyprawy po suknię ślubną? Nie, po co! Miły chłopiec jej się oświadczył, a ona co? Mamy czas! A czy ja mam czas? Czy doczekam wnuków?”. Jej matka była zdrową, silną wilczycą i miała przed sobą wiele długich lat, ale lubiła dodawać do życia córki szczyptę dramatyzmu. Albo i dwa wiaderka, bo do pojęcia szczypty podchodziła nieufnie, nieważne, czy szło o emocje, czy o cukier waniliowy do ciasta.

– Myślę, że powinienem tam pojechać – powiedział cicho Rafał.

– Do Warsa? – upewniła się, a gdy przytaknął, ugryzła się w język. – Co mówią pozostali? Tym i... Remi?

– Że mam się tym nie kłopotać, bo oni się wszystkim zajmą.

O, nie. Najgorsze, co zmienni mężczyźni mogli zrobić innemu zmiennemu mężczyźnie, to udawać przed nim Rambo. Anna miała wystarczająco wielu braci i kuzynów, żeby wiedzieć, jak się to skończy. To się spierdoli. Wcześniej czy później oboje i tak wylądują w Warszawie, bo przecież nie puści go tam samego.

– Wiedzą, co robią – stwierdziła. – Znąją to miasto lepiej niż ty czy ja. Może wszystko się dobrze skończy. Jutro albo pojutrze zadzwonią z dobrymi wieściami.

Spojrzał na nią z obawą przyczyną w zielonkawoszarych oczach. Pięgi mocniej odcinały mu się od jasnej skóry, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany.

– Zostanę dziś, jeśli nie masz nic przeciwko – poprosił miękko.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała od niechcienia. – Zwłaszcza jeśli rano zrobisz naleśniki.

Cień uśmiechu w jego oczach ucieszył ją. Wiedziała, że na litość nie zareagowałby dobrze. Tak jak z kolei ją wkurzało, gdy robił się zbyt miły i słodki w stylu „Jesteś moją najfantastyczniejszą dziewczyną, będę cię tulił i całował publicznie, żeby wszyscy wiedzieli”. Po miesiącach spędzonych ze sobą znali już swoje słabe punkty i – jak je nazywali – guziczki wkurwienia. Bywały dni, kiedy prowokowali się nawzajem z dzikim chichotem, traktując to jak niebezpieczną rozrywkę. Były też takie jak ten, gdy jedno bardzo starało się nie zranić drugiego.

*

Rano faktycznie Rafał zrobił naleśniki, takie, jak lubiła: ultracieniutkie niczym mgiełka, z odrobiną konfitury malinowej. Zaparzył też kawę, jak tylko on potrafił. Musiała przyznać, że w dni, kiedy nocowali osobno i sama parzyła poranną kawę, brakowało jej Rafała i jego umiejętności doświadczonego baristy. Praca w kawiarni podczas studiów odcisnęła na nim piętno, które szczerze pokochała.

Wszystko wydawało się w porządku. Rozmawiali przy śniadaniu, a potem on pobiegł do szkoły, gdzie z wprawą poskramiaca dzikich zwierząt przez kilka długich godzin miał się mierzyc z żywiołem w postaci małych ludzi. Ona zaczęła się szykować do pracy, którą zaczynała trochę później, przez co wracała też później niż on.

Uświadomiła sobie, że jej mózg wszedł w tryb awaryjny. Podświadomie przygotowywała się na to, że gównu uderzy w wentylator, i spinała się, wiedząc, że gdy do tego dojdzie, będzie musiała stanąć między swoim rysem a wszystkim, co mogłoby mu zagrozić.

Oczywiście Rafał oburzyły się na takie postawienie sprawy. Dałby jej wykład o tym, jakim to jest drapieźnikiem, zęby, pazury i instynkt zabójcy, bla, bla. Ona by przytaknęła, on doszedłby do wniosku, że zrobiła to ironicznie (i pewnie miałby rację), i skończyłoby się niepotrzebną im teraz sprzeczka. Tymczasem ona wiedziała, jak jest naprawdę.

Ryś był drapieźnikiem jedynie w takim sensie, że jadł mięso. Pazury i zęby, owszem, miał, tyle że był zupełnie pozbawiony instynktu, przez co nie mógł używać ich w trakcie walki. Nie tylko dlatego, że niewiele osób w miasteczku wiedziało, że jest zmiennym – a on chciał, żeby tak zostało – ale po prostu nie leżało to w jego naturze. Jego instynkt zabójcy przejawiał się w tym, że wyłapywał pająki w domu i wynosił je na ganek, przepraszając je za niedogodności związane z przeprowadzką. Był kochanym facetem, świetnym nauczycielem, hojnym kochankiem i dobrym przyjacielem, ale zdarzały się sytuacje, kiedy po prostu potrzebował tarczy i kogoś, dla kogo używanie zębów i pazurów było równie naturalne jak oddychanie. A gdy dochodziło do starcia, Anna stawała się podła i szybka jak kobra, bo tylko wtedy walka miała dla niej sens.

Była wilczyca. Mogłaby być alfą, gdyby chciało jej się walczyć o ten tytuł z mamą i gdyby chciała wziąć na siebie odpowiedzialność za całe stado. Miała wysoko rozwinięty instynkt terytorialny i była gotowa zabić każdego, kto podniósłby rękę na jej partnera. Nie zamierzała wyklądać tego Rafałowi w ten sposób, ale tak właśnie czuła.

Teraz zaś instynkt podpowiadał jej, że coś nadciąga, a jej ryś planował zrobić coś głupiego, heroicznego i śmiertelnie niebezpiecznego. Chodziła więc podminowana, szykując się na to, co miało nadejść.

Koledzy w remizie zauważyli, że coś jest nie tak, ale byli na tyle rozsądni i znali ją wystarczająco dobrze, by nie zadawać pytań. Z odbezpieczonym granatem lepiej obchodzić się delikatnie. Właśnie dlatego znakomicie się z nimi dogadywała. Dyżur miał więc szansę przebiec dziś gładko i bez incydentów. No ale trafił się im chciwy idiota.

Odezwał się alarm przeciwpożarowy zainstalowany w niewielkiej restauracji pod miastem. Szykowali wóz strażacki, kiedy zadzwonił właściciel i zapewnił, że to nic takiego, ot, zapalił się tłuszcz na patelni, ale zraszacz poradziły sobie ze wszystkim. Pojechali i tak, bo Pablo był przekonany, że facet skłamał. Ich kolega miał taki dar – zawsze potrafił wyłapać fałszywą nutę. Zapakowali więc wóz i ruszyli we trójkę, Mariusz, Pablo i ona. Zgrany zespół. Człowiek, jasnowidz i zmiennokształtna.

Na miejscu okazało się, że Pablo się nie mylił. Właściciel kłamał we wszystkim. Pożar był spory, strawił cały kąt kuchni, w którym stały Kuchenki. Zraszacz nie działały, bo były niesprawne, a zaświadczenia o przeglądzie, który rzekomo przeszły, sfałszowano. Ktoś wziął w łapę. Ale nie to popchnęło Annę za krawędź. Gaśnice. Puste atrapy, niezdatne do użytku. Naklejki legalizacyjne

podrobiono, podobnie jak certyfikaty zraszaczy. Kucharka, która musiała gasić płonący olej ścierkami, miała poparzone ręce i czerwone bąble na twarzy i szyi. Właściciel zaoszczędził kilka stówek.

Zanim się obejrzała, zaciskała ręce na jego gardle, przygniatając go do ściany, a jego stopy majtały pół metra nad ziemią. Przestała rozróżniać wszystkie kolory. Wilczyca w niej była na niego równie wkurwiona jak ona sama. Obnażyła zęby i zawarczała.

Pablo odciągnął ją od gnojka. Trzymał ją ciasno w pasie i wywłókł z kuchni, śmierzącej dymem i spalonym plastikiem. Mariusz wyszedł za nimi i zadzwonił do szefa.

– Za kwadrans zjawi się tu inspekcja. Facet za to beknie. Nie dawaj mu argumentów, by odwrócił kota ogonem i zrobił z tego sprawę o nadużycie, pobicie czy zastraszanie, cokolwiek miałaś w planach – tłumaczył Pablo, wciąż ją trzymając.

– Puść – warknęła.

– Schowaj kły i pazury, a puszcze – odpowiedział.

Cholera. Odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze, a razem z nim część złości. Dzięki przestała ją swędzieć, wróciło widzenie kolorów.

– Wszyscy obecni w tej kuchni i goście z restauracji mogli zginąć, bo jeden typ jest skąpy, a drugi wziął w łapę. Nawet nie muszą sprawdzać, żeby wiedzieć, że tym drugim był Bańko – powiedziała już spokojniej.

– Założyłbym się o to, ale nie ma z kim, bo cała nasza trójka jest tego pewna. I oficjalnie mamy pierwszy przypadek, kiedy jego parszywa moralność przełożyła się na zagrożenie dla ludzkiego życia. Popchniemy sprawę i gość wyleci na zbity pysk. Szef już odpalił machinę. Nie musisz zabijać tego dumnia, przyda nam się jego zeznanie, gdy dojdzie do procesu. A wiesz, że dojdzie.

– Możesz mnie puścić – powiedziała spokojnym głosem.

Zrobił to, jednak patrzył na nią nieufnie.

– Lont coś krótszy niż zwykle. Poprzykałaś się z tym słodziutkim chłopaczkiem? A może dostałaś pałkę z zachowania? Hmm, a może nie dostałaś pałki? – Poruszył sugestywnie brwiami.

Pacnęła go w tył głowy.

– W przeciwieństwie do ciebie nie narzekam na brak pałki – odcięła się.

Nie odpuścił. Patrzył na nią zmartwiony.

– Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś wzięła urlop. Przyda ci się – powiedział nieoczekiwanie z bliskim w oku, który kojarzyła z jego magią.

– Bez przesady – burknęła.

– Nie mówię o tym, co się tu stało. Coś nad tobą wisi. I mi się nie podoba. Wolałbym, żebyś nie wchodziła do żadnego płonącego domu z taką chmurą chujowej przepowiedni nad głową.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Aż tak?

– No. Masz sporo zaległego urlopu, nie?

– Sześć tygodni – przyznała.

Kadrowa od miesiący marudziła, bo od pięciu lat grafik Anny nie wyszedł „na czysto”. Sądziła, że wilczyca robi jej na złość, prawda była tymczasem prozaiczna – Anna nie miała ochoty siedzieć w domu i pierdzić w kanapę, a na wyjazdy i wczasy nie było jej stać. Chciała w tym roku pozbyć się kredytu hipotecznego, więc cała kasa szła w raty. Potem, gdy już go spłaci, będzie mogła szaleć. Być może nawet z tego skorzysta.

Pablo nie odpuszczał.

– To może zużyj dwa czy trzy tygodnie? Co ty na to? Pobaw się w dom ze swoim słodziakiem albo wyjedź i pooddychaj świeżym powietrzem. – Zmarszczył brwi, spoglądając na coś nad jej głową, czego nikt poza nim nie widział. – Będziesz podróżować – powiedział w końcu. – I widzę mnóstwo dzieciaków. Dziwnie.

– Może od razu jej powiedz, że gumki to lepsza metoda antykoncepcji niż stosunek przerywany? – włączył się Mariusz, który podszedł do nich i oparł się swobodnie o wóz.

– Nienawidzę was – rzuciła z udawanym oburzeniem. Byli nieznośni i przypominali jej braci. Może dlatego tak lubiła z nimi pracować.

– Mówiłem serio – zaznaczył Pablo.

– Spoko, wezmę urlop. Możliwe, że faktycznie szykuje mi się wyjazd – przyznała.

Kiedy dojechała kawaleria dowodzona przez ich szefa, Anna była już przekonana, że urlop to dobry pomysł. Czowała, że nadciągają kłopoty, i pewnie będzie musiała jechać z Rafałem do Warszawy. Jeśli się myliła, najwyżej uciechy kadrową, wybierając część zaległego urlopu, i zrobi mały remont w łazience. Od dawna chciała wymienić kabinę prysznicową na większą, taką dla dwóch osób.

Szef nie protestował. Przeciwnie.

– Czas najwyższy – burknął i kazał jej spadać, bo urlop, jak zaznaczył, zaczyna w tej sekundzie.

I tym sposobem przed czternastą była już w domu. Stała nad otwartą walizką, ale jej myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Niewiele wiedziała o Warszawie. Słyszała o nim trochę, jak wszyscy, jednak każdy, kto miał choć odrobinę rozumu, omijał to miasto. Poza jej wujkiem Ludwikiem, który często bywał tam w młodości, no ale on zawsze był lekko stuknięty. Musiała z nim porozmawiać. Niestety nie знаła jego numeru ani obecnego miejsca pobytu. Prawie na pewno nie siedział teraz w więzieniu, tyle wiedziała. Niechętnie sięgnęła po ekstremalne środki.

Zadzwoiła do matki.

*

Powiedzieć, że mama nie była entuzjastką jej pytań o Warsę i o wujka Ludwika, to nic nie powiedziec. Anna przewróciła oczami na litanie argumentów mających ją przekonać, że powinna wybrać sobie z głowy pomysły wyjazdu do magicznego miasta.

– Mamo, pamiętasz, jak ta metoda zadziałała, kiedy chodziło o tatuaż? Zamiast małego wzorku na biodrze mam dziurę na całe udo. Czy ty chcesz, żebym się tam przeprowadziła? – zapytała żartem.

Lecz matki to nie rozbaWiło.

– Przecież chodzi o rodzinę Rafała – argumentowała dalej Anna. – Być może będziemy musieli ruszyć tam z misją ratunkową. Chciałabym przegadać z wujkiem, czego się mogę spodziewać i co w związku z tym powinnam spakować.

Zuzanna Szady westchnęła ciężko. Rafał był dla niej członkiem rodziny, a skoro chodziło o rodzinę... – Nie zwracałabym sobie głowy wujkiem Ludwikiem, całkiem odleciał po tych eksperymentach z meskalem i szukaniem ducha pustyni. Wszyscy wiedzieliśmy, że przyjaźń z tym przeklętym kotem nie wyjdzie mu na zdrowie. – Znow westchnęła, tym razem z ubolewaniem. – Powinnas zadzwonić do Juleczka.

– Juleczka? Męża Kuby? – zapytała Anna zaskoczona.

– No przecież. Słyszałaś w ogóle, że adoptują dziecko? Przeszli już weryfikację. Są przekonani, że jeszcze w tym roku powiększy się nam rodzina – zaświergotała Zuzanna.

Nic nie cieszyło jej bardziej niż rozrastanie się rodu. Wielka, zżyta rodzina z mnóstwem szczeniąt – oto jej synonim szczęścia. Kuba był oficjalnie jej bratankiem. Kiedy miał czternaście lat, jej brat Stefan zginął w wypadku, a w pełni ludzka matka chłopca nie mogła sobie poradzić z wilczym nastolatkiem, więc Zuzanna wzięła sprawy w swoje ręce. Wkrótce dzieciak zamieszkał z nimi i był „jednym z chłopców Szadych”. Gdy ujawnił, że jest gejem, rodzina przyjęła to jako coś oczywistego, jednak Zuzanna nie przestawała się zamartwiać. Bo czy to znaczy, że „jej chłopiec” będzie pozbawiony własnej rodziny? Na samą myśl załamywała ręce, a by jej oczy robiły się wilgotne. Julka, męża Kuby, polubiła, ale po cichu żałowała, że nie jest Julką i nie zajdzie w ciążę. Najwyraźniej jednak Kuba i Julek znaleźli swoją ścieżkę wiodącą do rodzicielstwa i tym samym zostawili Annę daleko w tyle. Już nawet Antek, jej najmłodszy brat, zaczął przebąkiwać coś o potomstwie. Anna wiedziała, że miała przekichane.

– Cudownie dla nich – powiedziała szczerze. – A co Julek ma wspólnego z Warsę?

– No przecież jego ojciec stamtąd pochodzi! Ciągłe ma tam rodzinę i nawet ją odwiedza, choć ponoć są kompletnie niepoczytalni. I to wina tego miasta, kochanie. Powinnas się trzymać od niego z daleka. Rafałek też, on jest za delikatny na Warsę.

– Chyba nie jest tam aż tak źle. Brat Rafała tam mieszka, z żoną i całym przychówkiem kociąt. Ponoć malutkie rysie są najśodsze na świecie. Trochę się nawet obawiam, czy taka wizyta nie obudzi we mnie jakichś instynktów... – Anna zawiesiła głos.

Niemal słyszała dźwięk trybików obracających się w głowie matki.

– Kochanie, są rodziną. Skoro potrzebują pomocy, powinnas im pomóc, oczywiście zachowując wszelką ostrożność. A że to rysie, może im się przydać ktoś z chłodną głową – zdecydowała.

Najwyraźniej cień szansy, że pobyt w Warsie pobudzi zegar biologiczny jej córki, w pełni wystarczał Zuzannie za argument uzasadniający wyjazd do najniebezpieczniejszego miasta w Polsce. Dobrze wiedząc, pomyślała Anna, że priorytety mamy są stałe.

Rozłączyła się i wybrała numer do Julka. Pół godziny później wiedziała już, co spakować.

– Aniu, złotko, tylko ty to sobie jeszcze przemyśl – poprosił ją szwagier. – Bo wiesz, ja jestem miękka buleczka, mój ojciec też, ale ty jesteś z tych, no wiesz, żelaznych wilków, alfa i te sprawy. Warsę przeczołga bardziej niż mnie, będzie się z tobą siłował na rękę, aż ci ją złamie w łokciu.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała. Westchnęła i dodała:

– Po co ja się staram. Przecież powinienem pamiętać, że żelazne wilki mają też zakute łyby i są zbyt uparte, by dopuścić do siebie choćby odrobinę rozsądka, prawda?

Mruknęła coś niewyraźnie.

– Aniu, kochana, zrób coś dla mnie, błagam... Bo jeśli zginiesz, a Kuba się dowie, że to się stało po rozmowie ze mną, uzna, że mogłem temu zapobiec, jakbym był cudotwórcą! Kiedy już będziesz w Warszawie, słuchaj lokalsów. Jeśli ktoś ci powie, żeby czegoś nie jeść, gdzieś nie iść albo siedzieć na dupie w kręgu, to go słuchaj. To miasto naprawdę nie jest przyjazne. Jeśli usłyszysz, że nadciąga czkawka, wejdź do kręgu ochronnego i nie opuszczaj go, póki to szaleństwo nie minie. Żadnego chojrakowania! Rozumiesz?

– Nie jestem głupia, rozumiem – odpowiedziała lekko zniecierpliwiona.

– Nie, nie rozumiesz. – W głosie Julka zabrzmiała rezygnacja. – I nie zrozumiesz, dopóki tego nie przeżyjesz. Mam nadzieję, że cię to ominie... Jeśli kochasz swojego chłopaka, to będziesz siedziała w tym kręgu i jemu też nie pozwolisz wyjść. Czkawka jest niebezpieczna. Ktoś spoza Warszawy może ją zlekceważyć, pomyśli, że to tylko wiatr, burza, ot, zmiana pogody. Ale to dzika magia, która robi ze zmiennych potwory i każe im zmienić w potwory ich bliskich. Mój dziadek zabił swoją żonę i córkę, zanim jego syn zdołał odstrzelić mu głowę. To takie miasto, że nawet z miłości może uczynić zagrożenie życia. A ty kochasz swojego rysia, prawda?

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Julek był zwykle pogodnym i optymistycznie nastawionym facetem. Teraz na chwilę zobaczyła jego zupełnie inną stronę i czuła się winna, że spowodowała bolesne wspomnienia.

– Będę ostrożna – zapewniła – ale nie mogę puścić tam Rafała samego, po prostu nie mogę.

Julek westchnął. A potem wyjaśnił jej, jak bezpiecznie dostać się do Warszawy i czego absolutnie nigdy tam nie robić. Zapisała sobie kilka rad i z każdą kolejną nabierała przekonania, że wyjazd to naprawdę kiepski pomysł. Pomyślała też, że członkowie rodziny Rafała mogą się okazać kompletnie stuknięci, skoro wybrali sobie do życia właśnie to miejsce. Wciąż chciała ich poznać, uznała jednak, że może przy powitaniu lepiej będzie zachować zdrowy dystans.

O dziwo, widok spakowanej walizki sprowadził na nią spokój. Tak jakby była już gotowa na wszystko, czym Warszawa mógłby ją zaskoczyć. Przez krótką chwilę prawie w to uwierzyła. Schowała walizkę pod łóżko i czekała.

*

Odkryła, że u rysia poziom stresu przekłada się bezpośrednio na aktywność fizyczną. Nie wiedziała, czy jest to typowe dla zmiennych kotów w ogóle, czy tylko dla Rafała. Trwał weekend, więc ryś nie mógł się pozbyć nadmiaru energii, biegając z dziećmi w szkole, dlatego buzuowało w nim jak we wstrząśniętej i nagrzanej butelce coca-coli.

Był bliski wybuchu, nie potrafił usiedzieć. Nieustannie wisi na telefonie i chodził z kąta w kąt. Wyrabiał dziesiątki tysięcy kroków z komórką przy uchu. Klócił się z kimś po drugiej stronie, Anna nie słyszała słów, ale widziała napięcie, które coraz bardziej usztywniało jego barki i napinało szczękę. Gdy wreszcie skończył rozmawiać, wyciągnął ogromną łopatę do odśnieżania i zaczął zawzięcie oczyszczać swój podjazd, a potem z rozpuďu również jej. Pewnie poszłoby to znacznie lepiej, gdyby faktycznie były zaśnieżone. Tymczasem spadło nie więcej niż trzy milimetry białego puchu, który zniknął prawie natychmiast po zetknięciu z podłożem, jakby wiedział, że to już koniec marca i po prostu nie wypada się rozgaszczać.

Może powinnam go zabrać do matki? – pomyślała Anna. Za domem Zuzanny wznosiła się ogromna sterta drewna, Rafał porządkaby je pewnie w kilka godzin i nawet się nie zasapał, napędzany nerwami i adrenaliną.

Godzinę później wyniósł z szopki długi sekator ogrodowy i rzucił się na niewinną jabłonkę. Choć drabina wciąż opierała się o ścianę domu, ryś uznał, że po prostu wejdzie na drzewo i zacznie je przycinać.

Anna reagowała na stres całkiem inaczej. Przyczajęła się, cichła, szykowała się do ataku, nie traciła energii na próżno. Potrafiła czekać. Nie mogła jednak patrzeć, jak ryś się męczy albo ryzykuje ucięcie sobie palców sekatorem. Wstała z huśtawki, będącej jej punktem obserwacyjnym, i spokojnie przeszła przez trawnik dzielący ich posesje.

– Kocie! – zawołała, zanim zdążył się wdrapać na sam czubek jabłoni.

– Co?

– Potrzebuję twojej pomocy! – zawołała.

Twarz mu się rozjaśniła i zeskoczył z gałęzi.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał.

– Mam urlop. I kilka rzeczy do zrobienia w sypialni.

– Mam ci dostarczyć rozrywki? – Poruszył wymownie brwiami.

– To później. Na razie wystarczy malowanie. Pomachasz dla mnie wałkiem?

– Pomacham, czym tylko chcesz – odpowiedział i na chwilę z jego oczu zniknął cień.

Zabrała go do marketu budowlanego i pozwoliła się przeciągnąć przez całą alejkę regałów z farbami, choć wchodząc, była pewna, że wybierze delikatny waniliowy kolor, dokładnie ten sam, który miała w tym momencie na ścianach. Ale dyskusowanie o kolorach i porównywanie próbników tak zaangażowało Rafała, że w końcu kupiła wiadro lawendowej farby i pasującą do niej odcieniem narzutę na łóżko.

W trybie zadaniowym ryś funkcjonował całkiem nieźle, bezczynność doprowadzała go do obłędu.

Niestety co jakiś czas rozmawiał przez telefon i każda z tych rozmów pogłębiała jego frustrację. Anna słyszała ich strzępy i budowała sobie w głowie pełen obraz. Było gorzej, niż myślała. Bo w tej trudnej i bolesnej dla wszystkich sytuacji Tym i Remik traktowali najmłodszego Rudeckiego jak głupie dziecko, które niepotrzebnie się wtrąca. Jak gdyby zniknięcie Tadka nie dotyczyło go w takim samym stopniu jak ich. Jakby znajdował się poza żywym kręgiem rodzinnym. To bolało jej rysia i wyprowadzało go z równowagi.

– Nie martw się, dzieciaku, mamy trop, jeszcze dziś jedziemy po niego i ściągniemy jego wylenią dupę do domu – usłyszała stłumiony głos w komórce.

Jeśli to dłużej potrwa, Rafał nabawi się bruksizmu, pomyślała.

Całą niedzielę malował jej sypialnię. Mamrotał do siebie pod nosem i metodycznie pokrywał ścianę lawendową farbą. Przenosił z Anną meble, osłaniał sprzęty folią malarską, odpowiadał na pytania, ale myślami był w Warszawie.

To tylko kwestia czasu, pomyślała i wiedziała, że nie może go spuścić z oka. Zwłaszcza kiedy po kolacji wymigał się od oglądania filmu, powiedział, że jest zmęczony i dziś położy się wcześniej. Może by uwierzyła, gdyby znów nie był naładowany energią jak piorun kulisty.

II

Czuła, że coś szykuje, choć stwarzał pozory, że to dzień jak co dzień. Jak w każdy poniedziałek pojechała do szkoły swoją żółtą pandą. Pomachał Annie, opuszczając podjazd, a ona poczuła, że włoski podnoszą się jej na karku.

Przez następne godziny ogarniała dom. Podlała rośliny, zabezpieczyła okna, zrobiła dwa wsady prania, by nie wracać do sterty brudnych ciuchów. Wyciągnęła spod łóżka walizkę i ustawiła ją przy drzwiach. Czekała. Nie była pewna na co, dopóki tuż po dwunastej nie usłyszała odgłosu silnika. Podeszła do okna.

Ryś zaparkował na swoim podjeździe i potruchtał do domu. Nawet zerknął przez ramię w stronę jej okien, jakby miał jeszcze szczątkowe objawy zdrowego rozsądku, ale po chwili wyszedł z torbą podróżną, którą wpakował do bagażnika.

Nie czekała dłużej. Wyszła ze swoją walizką na werandę i zawołała:

– Kocie! Nawet o tym nie myśl!

Miał minę chłopca przyłapanego na gorącym uczynku. Widziała, że kusiło go, aby po prostu nacisnąć pedał gazu i odjechać, odwracając awanturę. Stanęła przed jego autem, krzyżując ramiona na piersi.

– Po pierwsze, bierzemy mojego SUV-a. Po drugie, jak planowałeś tam jechać? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Normalnie. Na północ, a potem w lewo – odpowiedział defensywnie i brzmiał zupełnie jak jeden ze swych wychowanków.

Anna przewróciła oczami.

– Ja prowadzę – dodała.

– Nie musisz tam jechać, Wars jest niebezpieczny – wyrzucił z siebie.

Uniosła tylko brew i poszła po auto. Wpakowała walizkę do bagażnika i czekała, aż on przyniesie swoją. Pandą do Warsa, westchnęła w duchu, równie dobrze mógłby jechać rowerem. Niewielkie rozmiary i kolor upodabniały auto do zabawki, a co ważniejsze – miało maleńki bak i musieliby co chwile tankować, a to nie zawsze byłoby łatwe po drugiej stronie.

Anna wpisała w GPS cel podróży. Mieli przed sobą długą jazdę w realnym świecie, a potem nie wiadomo jak intensywny odcinek po minięciu bramy, nim dotrą do Warsa.

Rafał przepakował do SUV-a swoje rzeczy i potulnie usiadł na miejscu pasażera. Wydawał się pogodzony z tym, że jego plan nie wypalił. Prawdopodobnie uznał, że skoro dotrze do Warsa jeszcze dziś, nie musi robić z tego problemu. Bardzo kocie podejście, pomyślała Anna, wycofując z podjazdu.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdybyś naprawdę pojechał na północ i w lewo, wpakowałbyś się na Rubieże? I wjechał do miasta od Sawy strony? – zapytała.

Widząc, jak zbladł, domyśliła się, że nie przyszło mu to do głowy. Był niewinny jak cynamonowa bułeczka. A ona prędzej odgryzie sobie rękę, niż zostawi go samego na łaskę i niełaskę Warsa. Czy też Sawy, bo Juleczek tu akurat nie miał wątpliwości: zaznaczył, że jeśli Anna nie chce szukać sobie nowego narzeczonego, ryś powinien się trzymać z daleka od tej części miasta. Nie chciała szukać. Była w zupełności zadowolona z tego egzemplarza, który znalazła. Może poza tymi momentami, kiedy z rysia wychodził glupek, no ale co poradzić – koty.

*

Trzeci raz wypowiedziała zaklęcie i próbowała przejechać na drugą stronę, jednak jej samochód uparcie pozostawał po warszawskiej stronie bramy. Z frustracją oparła czoło na kierownicy. Dotrą do Warsu dużo później, niż zakładała. Najpierw spowolniła ich ulewa, która złapała ich po drodze, a teraz to... W myślach Anna szybko obliczyła trasę. Jeśli będzie musiała podjechać do najbliższej dużej bramy położonej na północ od miasta, by uniknąć wjeżdżania tam od strony Sawy, czeka ich kolejne sześć godzin jazdy. I to przy przesadnie optymistycznym założeniu, że nie zabłądzą na Rubieżach. Dojadą najwcześniej rano, o ile w ogóle. Była zmęczona. Nie tyle samą jazdą, ile napięciem, które narastało w niej w trakcie podróży. Rafał nie powiedział szwagierkom, że jest w drodze.

– Będą mi to wybijać z głowy, oszczędzam sobie gadania – stwierdził krótko.

No tak, zwali im się na głowę nie tylko on, ale i zmienna wilczyca... Nie pomyślała o tym wcześniej. Mieszkanie w małym mieście oznaczało, że choć istniały pewne podziały, nie miały wielkiego znaczenia. Trudno dzielić miasteczko na terytoria, gdy obok siebie żyją pies i kot, wszystkich karmi sabat wiedźm (członkinie prowadziły najlepszą kawiarnię w miasteczku, restaurację i największy warzywniak), a ostatni wampir umarł trzydzieści lat wcześniej, niewykluczone, że z nudów, więc mieszkańcy upamiętniają każdą rocznicę jego śmierci festiwałem filmów o Draculi i Dniem Nietoperza – ulubionym świętem dzieciaków. Wiedziała, że w dużych miastach jest inaczej i w większości z nich musiałaby się zgłosić do lokalnego stada w ciągu doby od przyjazdu – choć ponoć w Warszawie wilków nie było, a przynajmniej nie miały tu swego terytorium. Miasto stanowiło zbyt duże wyzwanie dla jej rasy, która świetnie sobie radziła na kole podbiegunowym i w Rosji, ale nie tam, dokąd właśnie zmierzali. Na dodatek bez ostrzeżenia zamierzała się pojawić na terytorium rysiów.

Może podświadomie wcale nie chciała, by ta brama się otworzyła? Ha, to miałoby sens. Odetchnęła głęboko, próbując oczyścić umysł. Jeszcze raz wypowiedziała zaklęcie. Uliczka przed nią zamigotała, kolory i światło, których jeszcze sekunde wcześniej nie było, otoczyły portal między miastami. Wjechała w niego z poczuciem triumfu.

Nie pokonali nawet pięćdziesięciu metrów, kiedy magia Warsa ścisnęła ją jak imadło. Na chwilę straciła wzrok, nos odbierał milion nieznanych zapachów. Skuliła się na fotelu, głośno oddychając. Musiała cieknąć, natychmiast! Po omacku złapała za klamkę i wypadła na zewnątrz, po czym gruchnęła ramieniem i biodrem o asfalt. Zwinęła się w kłębek i warczała, czując, jak obca magia prześlizguje się po niej zaczepnie. Oczy rozjarzyły jej się srebrnym blaskiem, a kły pokaleczyły usta.

To minie, to minie, szeptała jak zaklęcie. Z oddali docierał do niej głos rysia, ale nie potrafiła mu odpowiedzieć. Całym wysiłkiem woli powstrzymywała przemianę. Czowała, że tylko tak może zapobiec rozlewowi krwi. Oddychała płytko, czekając, aż ból ustąpi. Nic z tego, o czym mówił Julek, nie mogło jej przygotować na to zderzenie z Warssem. To minie... Julek mówił, że to mija...

I mijało. Powoli. Nie wiedziała, czy upłynęły minuty, czy godziny, kiedy wreszcie nacisk magii na jej mózg ustąpił. Jej zmysły jeszcze przez jakiś czas nie działały tak, jak powinny. W nos wwiercał się dziwny zapach przypraw i rzeczno szlamu. Mięśnie drżały, napuchnięte. Otworzyła zaciśnięte dotąd oczy i zalała ją ostre światło.

Rafał siedział przy niej po turecku, z brodą opartą na zwinętej pięści. Wyglądał zwyczajnie. Najwyraźniej magia tego potwornego miasta nie czuła potrzeby przezołgania go. Koci pieszczołek.

Oddychała już normalnie. Spróbowała usiąść, ale zakręciło jej się w głowie. Miała podłożoną pod nią kurtkę Rafała, czuła jego zapach, który przebił się wreszcie przez dziwną woń Warsa.

– Wracasz? – zapytał spokojnie.

– Na to wygląda. Chyba że umarłam i trafiłam do piekła – odpowiedziała. W ustach czuła suchość, jakby trawiła ją gorączka.

– W piekle nie spotkałabyś takiego przystojniaczka jak ja – stwierdził i mrugnął. A po chwili dodał z troską: – Dalej cię trzyma?

Odepchnęła się od asfaltu i usiadła. Świat się zakolysał, ale obrazy przestały się rozwarstwiać i kolory znów wyglądały jak dawniej, choć wokół rysia widniała niezwykła aureola białego światła.

– Już minęło. Julek mnie ostrzegał, że Wars może się ze mną szorstko obejść. Ale mnie nie zabije. Nigdzie się nie wybieram.

Popatrzył na nią z niepokojem i powiedział:

– Jeśli znów zaczniesz krzyczeć, wyć i świecić oczami, a zęby przestaną ci się mieścić w ustach, wracamy. Nie chcę, by coś ci się stało.

– Z wzajemnością, rysiu. Z tobą w porządku? – upewniła się.

– Czuję jakby łaskotanie. I dziwnie tu pachnie. Ale nic strasznego. Z kotowatymi jest trochę inaczej. Zwłaszcza tymi mniejszymi, bo tygrysy czy lwy to inna bajka. Każde z nas jest alfą i żadne nią nie jest. Ja nie jestem bardziej niż moi bracia. – Uśmiechnął się słodko i wstał. Przeciągnął się, a potem pomógł jej się pozbierać z ziemi. – Myślisz, że możesz coś zrobić z oczami? Mnie to nie przeszkadza, wyglądają nawet seksownie, ale moje szwagierki nie są zmienne, a dom jest pełen dzieciaków, mogą spanikować...

Zerknęła w lusterko. Cholera. Jej oczy jarzyły się jak płynne srebro wypełnione światłem. I były wilcze, nie ludzkie. Kły też nie całkiem zniknęły.

– Może zjem kanapkę, zanim pomyślą, że chcę pożreć maluchy i wyślą na mnie leśniczego – powiedziała.

– Babciu, ależ ty masz wielkie zęby. – Ryś miauknął i machnął wyimaginowanymi pazurami. Jego stan emocjonalny bez wątpienia się poprawił.

Anna warknęła, obnażając zęby. A ten idiota zachichotał i rzucił w nią batonikiem, który wyciągnął ze schowka w drzwiach po stronie kierowcy.

Potrzebowała jeszcze godziny medytacji i obcowania z magią Warsa, by jej oczy znów wyglądały ludzko, ale nawet wtedy czuła wilczycę tuż pod skórą. Trwała spięta i gotowa do błyskawicznej przemiany. Była na krawędzi i całe miasto odbierała jako bezpośrednie zagrożenie życia. Będzie dobrze, pocieszyła ją Anna, niedługo wrócimy do domu. Wilczyca sapnęła z aprobatą. Kochała ich małe miasteczko. Znaną i oswojoną magię. Kontrolę, której potrzebowała, by nie zmienić się w oszalałą bestię.

*

Na Kasztanową dojechali za późno. Zbliżała się północ. Zaparkowali pod domem o numerze, który Rafał miał zapisany na kartce, i przez chwilę siedzieli w samochodzie, nie wiedząc, co zrobić. Czy wypadało dzwonić i budzić wszystkich? Chyba nie. Może lepiej przespać się w aucie i poczekać do rana?

Nagle na ganku zapaliło się światło. Z domu wyszła postawna ciemnowłosa kobieta o pełnych kształtach. Anna wyczuła jej rozczarowanie – nie byli tymi, których się spodziewała...

– To Gloria – szepnął Rafał, wyraźnie zmieszany.

Anna przypominała sobie, że tak ma na imię żona Tyma. Kobieta była blada i wyglądała, jakby ciągnęła resztką sił, bez snu, bez odpoczynku, napędzana nerwami i stresem. Mimo dzielącego je dystansu Anna poczuła pachnący adrenaliną pot, którym przesiąknęła błękitna sukienka z tencelu.

Zrozumieli, że Tadek się nie odnalazł. A co gorsza, Tym i Remek nie wrócili. Trzech zmiennych zniknęło bez śladu? W co oni, do cholery, wdepnęli?

III

Anna przez chwilę nie była pewna, co ją obudziło. Z zamkniętymi oczami, na granicy snu i jawy, składała sobie to, co wydarzyło się nocą. Ciągłe czuła w kościach skutki uboczne zderzenia czołowego z Warssem, teraz jednak były tylko echem bólu, słabym pulsowaniem.

W pokoju panowała zupełna ciemność. Kiedy Gloria ich tu ulokowała, zaciągnęła specjalne rolety. Pokój bez wątplenia należał do nastoletniego chłopca, pachniał dokładnie tak, jak pokoje braci Anny, kiedy ci dorastali. Natomiast pościel wydzielala woń lawendowego płynu do płukania, do tego była mięciutka i lekka. I wibrowała mrużeniem. Co?

Anna otworzyła oczy i spojrzała w stronę źródła dźwięku. Rafał spał mocno, cicho pochrapując, i to nie on wydawał ten odgłos. Mimo braku światła wylapała lekki ruch gdzieś niżej, nie potrafiła jednak rozpoznać kształtów. Wyślizgnęła się spod kołdry i podciągnęła kawałeczek rolety. W smudze światła ukazał się najniezwyklejszy widok, jaki zdarzyło jej się ujrzeć po obudzeniu. Kilka puchatych rudoszarych kulek wtulało się w każdy kawałek śpiącego głęboko Rafała. Naliczyła siedem, choć być może pod kołdrą lub między jej rysiemi a ścianą ukrywało się ich więcej. Wszystkie spały i mruzczały przez sen, emitując przy tym dźwięk przywodzący na myśl małe helikopterki. Na swój sposób była to najbardziej niecodzienna, ale też najśodsza rzecz, jaką w życiu widziała.

Opuściła roletę, by nie zakłócać im snu. Wymknęła się z pokoju i rozejrzała po korytarzu w poszukiwaniu łazienki. Chciało jej się pić, ale wolała nie wpakować się nikomu do sypialni, a wszystkie drzwi wyglądały tak samo. Zeszła na parter, gdzie spodziewała się znaleźć kuchnię. Usłyszała ciche głosy i zamarła. Czuła się jak intruz na cudzym terytorium. Głosy umilkły na chwilę, a potem dobiegł ją miękki głos Glorii:

– Zapraszamy na kuchenny sabat!

Poszła za głosem. Siedziały przy kuchennym stole. Trzy wiedźmy. Anna nie musiała się odwoływać do opowieści Rafała – potrafiła wyczuć niezwykłą mieszankę magii każdej z nich. Nie miała doświadczenia z magią, ale ich mocy nie mogłaby przegapić.

– Rebeka – przedstawiła się kobieta w luźnej czarnej sukience i fioletowym zawoju na włosach. Była szczupła, blada, z cieniami okalającymi jej ciemne oczy. Ani śladu makijażu. Mogła mieć równie dobrze trzydzieści parę, jak i pięćdziesiąt lat i prezentowała ten typ urody, dzięki któremu przez kolejnych dwadzieścia jej wygląd niewiele się zmieni.

– Eufemia – oznajmiła, machając do Anny, trzecia wiedźma. Po trzydziestce, z twarzą o miękkih rysach, wielkich, szarozielonkawych oczach i pełnych ustach. Była w zaawansowanej ciąży, poły szlafroka nie łączyły się na pękatym brzuchu, odsłaniając koszulę nocną z wizerunkiem Klapouchego.

Anna przedstawiła się i powiedziała:

– Właśnie widziałam coś nadzwyczajnego.

– A jesteś w Warsie dopiero kilka godzin! – zauważyła Gloria, unosząc brew.

– Rafał jest całkowicie zakopany pod puchatymi kulkami. Nie jestem pewna, czy to wasze dzieci, czy prawdziwe kotki. Mruczą jak małe motoriki.

Gloria uśmiechnęła się łagodnie.

– Musiały wyczuć, że Rafał pachnie podobnie do ich ojców. Tęsknią za nimi. Chyba go nie obudziły?

– Nie wiem, czy wystrzał by go obudził, je zresztą też. Wszyscy chrapią, mruczą i pomlaskują. Jest bardzo... kocio.

– Przyzwyczajaj się, to dom pełen kotów – zauważyła Eufemia, głaszcząc się po brzuchu. – I ostatni moment, by się zastanowić, czy wiesz, z czym się wiązą kociaki. Bo ostrzegam, to będą kociaki. Geny Rudeckich są niebywale uparte.

– Może to Rafał będzie musiał się doszkolić w kwestii szczeniąt – rzuciła Anna, a potem zaczerwieniła się po czubki uszu, niepewna, skąd w ogóle wzięła się u niej ta myśl. Z całą pewnością nie byli na tym etapie. Postanowiła szybko zmienić temat. – Jeśli wam przeszkadzam, mogę się wynieść do hotelu, na pewno znajdzie jakiś w okolicy. Nie chciałam, by jechał tu sam, ale przecież wtargnęłam na wasze terytorium i rozumiem... Nie chcę robić kłopotu...

Gloria weszła jej w słowo:

- A czemu dokładnie miałybyś nam robić kłopot?
- Obcy wilk na kocim terytorium, do tego w domu pełnym kociąt i tak dalej – tłumaczyła Anna, czując na sobie uważne spojrzenie trzech kobiet.
- Czy mnie się wydaje, czy na terytorium naszego szwagra już od jakiegoś czasu poczynasz sobie całkiem swobodnie? – zapytała Eufemia i znacząco poruszyła brwiami.
- A to taki niewinny chłopiec był – dodała Rebeka.
- Czysty, póki nie zadał się z wilczycą. Już ja znam waszą reputację – dorzuciła Gloria i ściągnęła usta, by powstrzymać śmiech.

Anna westchnęła i opadła na wolne krzesło.

– Skoro drwicie ze mnie bez litości, ani chybi jesteśmy rodziną – przyznała. A potem dodała: – Tylko oszczędźcie mu tego „chłopca”. Gdy bracia go tak traktują, jest to obciążenie wliczone w bycie najmłodszym w stadzie zmiennych, ale jeśli będzie dzieciakiem również dla kobiet, które szanuje, zaboli go to stokroć bardziej. Nie daję mu spokoju, że bracia do tego stopnia nie widzieli w nim mężczyzny, że nie ściągnęli go tu od razu po zaginięciu Tadka.

Gloria westchnęła.

– Taaa, próbowałam Tymowi wyklarować, że jeśli cokolwiek wiem o zmiennych rysiach, to po tej przemowie w duchu „Nie kłopotcz sobie tym pięknej główki, dzieciaku” może się tu spodziewać Rafała w ciągu kilku dni. Mówił, że to niemożliwe, bo jego mały braciszek siedzi w jakiejś sielankowej mieścinie i nawet nie trafiłby do Warsa.

Anna wzruszyła ramionami. Gdyby wybrał się tu sam, rzeczywiście mógłby nie trafić.

– Nie przeszkadza nam, że jesteś wilkiem na kocim terytorium – powiedziała Eufemia. – Poprosimy dzieci, by cię oszczędzały. Dobrze, że nie jesteś dominującą, bo Wars by cię przeczłogał.

– Zwłaszcza że nadciągają czkawki – dodała Rebeka.

Anna nie skomentowała tego, że nie dostrzegły w niej alfy. Zwykle spędzała mnóstwo czasu z ludźmi, nauczyła się nie rzucać w oczy.

– Może zanim się te puchate kulki obudzą, opowiecie mi, na czym stoimy?

Kobiety wymieniły spojrzenia i Gloria powiedziała:

– Tym i Remi już się zajęli problemem. Do jutra powinni wrócić z Tadkiem i to będzie finał tej awantury. Ucieszą się, że Rafał przyjechał, bo nie widzieli go już całe lata. Przekonają się przy okazji, że już nie jest chłopcem.

Pozostałe kobiety pokiwaly głowami. Anna może by im uwierzyła, gdyby nie zastała ich w kuchni o szóstej rano, zżeranych przez stres. Nawet teraz, kiedy Gloria zaklinała rzeczywistość, Eufemia zacisnęła zęby tak mocno, że pobiełały jej usta, a Rebeka uciekła spojrzeniem w stronę okien, jakby miała nadzieję zobaczyć tam Tadka, od którego wszystko się zaczęło. Anna dostała wersję, w którą chciały wierzyć, lecz niemającą nic wspólnego z prawdą. Kogo się wysłała do walki z zagrożeniem, kiedy nie poradzi sobie z nim trójka zmiennych wyszkolonych w jednostkach specjalnych? Nie miała pojęcia, wiedziała jednak, że nie nauczyciela historii i wuefu ze szkoły podstawowej. I była pewna, że nie ominie jej dyskusja z Rafałem na ten temat.

*

Rysięta obudziły się przed ósmą i szybko cały dom wypełniły piskliwym jazgotem. Anna naliczyła dziesiątkę dzieciaków. Myślała, że jej się dwoi w oczach, ale okazało się, że para dziewczynek to bliźniaczki jednojajowe z typową dla rysiów skłonnością do przebiegłości. Najstarszy chłopiec, Marcin, miał piętnaście lat, najmłodsza dziewczynka, Milenka, jeszcze nie wyrosła z pieluch i dopiero stawiła pierwsze kroki na pulchnych nóżkach. Matką obojga była Gloria. Anna starała się zapamiętać, które dzieciaki są Glorii, a które Rebeki i Eufemii, ale skubańce jej tego nie ułatwiały – całe stadko było rude, piegowate i z wystarczającą zawartością rysia w rysiu, by wyglądać jak rodzeństwo, a nie kuzynstwo.

Młode rysie były głośne, mówiły jeden przez drugiego. Rafała potraktowały jak zachwycającą atrakcję. Jedynie najstarsi mieli okazję widzieć go wcześniej, Rafała znała go tylko jako wujka, który wysyłał im fajne prezenty i kartki na wszystkie święta i urodziny.

Anna nalała sobie kubek kawy i wymknęła się na werandę. Nie tylko po to, by choć przez chwilę posiedzieć w ciszy, ale i by raz jeszcze wystawić się na magię Warsa i upewnić się, że radzi sobie z nią lepiej niż w nocy. Na wszelki wypadek.

Usiadła na huśtawce, na rozległej werandzie biegnącej wzdłuż dwóch boków domu, i przymknęła oczy. Czowała, jak magia opływa ją niczym prądy rzeczne, jak ją zaczepia, stoszy futro jej wilczycy, prowokuje. Tym razem Anna potrafiła jej nie ulec, nie skończyła więc na ziemi, w pozycji płodowej, pozbawiona zmysłów. Zawsze to coś. Czytała okolicę jak zapachową gazetę, ale powietrze pachniało obco. Wiatr przynosił zapach czegoś kwaskowego i bez wątpienia trującego, echo woni gorącego żelaza

i magii, z którą nigdy wcześniej się nie spotkała. Nawet rośliny pachniały tu inaczej, wylapywała soczystą, egzotyczną nutę, choć był dopiero marzec. Woń nie pochodziła z trawnika Glorii, choć i ten wciąż miał bladezielony kolor, jakby tej zimy nie widział nawet odrobiny śniegu. Temperatura chyba rzadko spadała tu poniżej zera.

Anna pomyślała, że na swój sposób to fascynujące. Z Kamiennego Potoku do Warsa było stosunkowo niedaleko, a jednocześnie dzieliło te miasta tak wiele. Stanowiły dwa osobne światy.

Była tak skoncentrowana na odbieraniu sygnałów z otoczenia, że dała się zaskoczyć. Na huśtawkę obok niej wdrapał się pięcio- czy sześciolatek chłopiec. Z rudymi kręconymi włosami i mnóstwem piegów wyglądał jak cała reszta, ale dostrzegła w nim, w jego oczach, również coś innego. Knuł. Miała wystarczająco wielu bratanków, by wiedzieć, że zmienne dziecko z takim wyrazem twarzy to gwarancja zamieszania i roboty po łokcie.

– Nie ma sensu siedzieć na huśtawce i się nie huścić – zagaił.

Sam nie sięgał stopami do ziemi, więc zaparła się i rozbijała huśtawkę. Ciężka ławka zakotyła się majestatycznie. Anna przypomniała sobie, że mały ma na imię Michał i jest najmłodszym z synów Glorii. Był beniaminkiem, dopóki nie urodziła się Milenka.

– Znasz tatusia? I wujków? – zapytał cichutko.

– Nie, tylko o nich słyszałam – powiedziała.

– Myślałem, że przyjechałaś uratować wujka. Masz naklejkę strażaków na zderzaku – wyjaśnił.

No tak, już się przyjrzał jej samochodowi.

– Jestem strażaczką – przyznała – a wujka już chyba ratuje twój tata i drugi wujek, nie?

Pokiwał głową i powiedział z absolutną powagą:

– Powinni już wrócić, wiesz? Ale ich nie ma. Myślę, że muszę wysłać po nich kawalerię.

– A skąd weźmiesz kawalerię? – zapytała rozbawiona.

– Znam jedną. Tylko muszę pomyśleć. Mama będzie mi próbowała przeszkodzić. Bo się martwi. A to przecie jest ważne. I ona nam pomoże. Na pewno. Jest super. Nie było jej w domu, jak zaginęła wujek, ale teraz jest. I już chyba się zagoiła.

– Była ranna? – zapytała Anna, choć nie miała pojęcia, o kim mowa.

– Czasami jest. Ale nigdy bardzo. Jest na to za szybka.

IV

Nie wrócili ani nie odbierali telefonów. Nagle w domu przy Kasztanowej pękła fasada pozorowanego spokoju i optymizmu. Szwagierki Rafała przestały udawać, że w pokoju nie ma słońca. Pewność, że Tym i Remi za chwilę wrócą z Tadkiem i tarczą, rozkruszyła się w pył.

Anna obserwowała rozwój sytuacji. Chciała być pożyteczna, ale nie wiedziała, co mogłaby zrobić ani na ile może sobie pozwolić, nie należąc do rodziny. Rozsądek mówił jej, że Rafał nie powinien ruszać z odsieczą. Tylko jak powiedzieć wprost zmiennokształtnemu facetowi, że ma siedzieć na tyłku i czekać, aż zajmie się tym ktoś, kto nadaje się do tego lepiej niż on?

Za to Gloria nie miała problemów z wygarnięciem mu tego w słowach dalekich od delikatnych. Anna rozumiała, że to konieczne, ale serce jej się kroilo, gdy zobaczyła, jakie zrobiło to na nim wrażenie. Michał miał rację, potrzebowali kawalerii. Tyle że Rafał nie myślał racjonalnie. Działał instynktownie – chciał ratować braci. Rozumiała to, bo gdyby to jej rodzeństwo było zagrożone, też czułaby potrzebę, by pędzić mu na ratunek. Ale tu był Wars, a to zmieniało wszystko. Wilczyca w niej była całkowicie przekonana, że należy chronić kota nawet przed nim samym, i podsuwała Annie sposoby praktycznego rozwiązania problemu. Sugerowała na przykład, by związać Rafała jak świąteczną szynkę, wrzucić go do bagażnika i wywieźć z tego obłąkanego miejsca. Zabrać do łóżka i zająć seksem, aż zapomni o czymkolwiek. Same rozsądne pomysły.

Gloria tłumaczyła Rafałowi, dlaczego musi sobie odpuścić misję ratunkową. Bezskutecznie. Im brutalniejsze formy przybierała jej szczerłość, tym mocniej trwał w uporze godnym osła. Kocięta przysiadły na tarasie i trampolinie, obserwując starcie, jakby to była walka MMA. Anna nie wykluczała, że większość dopiero z tej kłótni dowiedziała się szczegółów zaginięcia ich ojców. Matki starały się trzymać je w błogiej nieświadomości, jakby pierwszy raz stykały się ze zmiennymi dzieciakami. Szczeniaki czy kociaki, nie miało to znaczenia, wszystkie były wścibskie, ciekawskie i gdy zatrzaskiwało im się drzwi przed nosem, wchodziły oknem albo spuszczały się na linie kominem.

Cierpliwość Glorii w końcu się wyczerpała i wiedźma syknęła tak ryśio, że dzieciarnia czmychnęła do domu. Kobieta skróciła dystans między sobą a Rafałem, a potem, nie zważając na to, że góruje nad nią wzrostem, zmierzyła go ostrym, matczynym spojrzeniem i kategorycznym rodzicielskim tonem oświadczyła:

– Jesteś nauczycielem! Gdyby chodziło o ogarnięcie kruczaty dziecięcej, rzuciłabym cię w sam środek awantury, ale to jest Wars! Albo Sawa! To coś poradziło sobie z trzema twoimi braćmi!

Anna pokręciła głową. To musiało zostać powiedziane, choć wiedziała, że jej narzeczony przyjmie to fatalnie. Duma i męskość rysia zebrały bęcki.

Michał jako jedyny nie ukrył się przed Glorią. Przycupnął pod stołem i słuchał tak uważnie, że niemal płonęły mu uszy. Dzieciaku, pomyślała Anna, ściągaj tę kawalerię, byle szybko...

Nie wiedziała, że już pół godziny później będzie miała okazję spotkać tych, których Michaś określał tą dumną nazwą.

*

Kiedy przenieśli się z podwórka do domu, kłótnia nie wygasła, wręcz nabierała rozpędu i coraz częściej padały argumenty z rodzaju tych, które trafiają w miękkie. Anna nie wiedziała, jak ją skończyć, by nie wkurzyć obu stron, bo Rafał i Gloria byli w takich nastrojach, że mogliby się zjednoczyć w irytacji i Annie poszłoby w pięty. Więc słuchała, jak się wydzierają na siebie, i modliła się o szybką interwencję bóstw, zanim padną słowa, które na kolejne lata rozbiją tę kruchą w gruncie rzeczy rodzinę.

Gdy rozległ się dzwonek, w pierwszym momencie nikt nie zwrócił na to uwagi.

Ale Anna wiedziała lepiej. Czasem dzwonek ratował sytuację. Dlatego weszła Glorii w słowo, pytając:

– Czy mam otworzyć? Ktoś się dobija.

Jak na zawołanie rozległ się kolejny dzwonek. Michał był już w połowie drogi do drzwi, kiedy Gloria zawołała:

– Ani kroku dalej, kawalerze!

Na chwilę zapomniiała o kłótni i ze zmarszczonymi brwiami poszła otworzyć. Michał odtarńczył taniec triumfu, a Anna była dziwnie pewna, że małe doskonale wie, kto stoi po drugiej stronie progu, i że miał z tym coś wspólnego.

– Hej, kociaku, coś wykombinowałeś? – zapytała cicho.

– To Nikita, jest super. Robin też jest fajny, ale nie tak jak Nikita. Ona znajdzie tatusia i wujków, na pewno! – odpowiedział szeptem, choć całe jego ciało aż drżało z ekscytacji.

Minutę później Gloria wprowadziła do kuchni młodą kobietę, a Michaś rozjarzył się jak stuwatowa żarówka. Jego matka nie podzielała tego entuzjazmu. Patrzyła na Nikitę spod zmarszczonych brwi, jak na kobrę, która nagle pojawiła się w jej domu i nie wiadomo, co zrobi. Gdy kobieta podeszła bliżej, Anna lepiej zrozumiała reakcję szwagierki. Magia nowo przybyłej była niepokojąca, kłębiła się w niej jak burza zamknięta w pudełku. Wilczyca ocierała się o żebra Anny, niespokojna.

Towarzysz Nikity, Robin, był może nie aż tak super, ale całkiem fajny, wedle słów Michasia. Wielki, przypakowany, z brodą, za sprawą której jorzarzył się z szalonym prorokiem. Uśmiechał się przyjaźnie znad misy pełnej mięsa, którą dźwigał bez najmniejszego wysiłku, choć udziac jeleni musiał swoje ważyć. Odstawił naczynie na szafkę niedaleko Anny, a jego magia owinęła się wokół niej. Była potężna i dzika, musowała jak wstrząśnięte piwo. Nagle jej zmysły wypełnił zapach lasu, soczystej zieleni i mchu. Spotkała w życiu paru zielonych magów, jednak Robin był inny. Równie dobrze mogłaby porównywać trawnik z dżunglą.

Czy w Warszawie mieszkają bóstwa? – zastanowiła się, bo nigdy nie zetknęła się z kimś, kto promieniowałby aż taką ilością magii. Cóż, pewnie tak. To miasto zdawało się kochać magię na sterydach i wszelkie odmiany szajby.

Gdyby Wars miał ludzkie wcielenie, Nikita nadawałaby się idealnie. Robin, przynajmniej w wyobrażeniu Anny, mógłby robić za wcielenie Sawy – na pierwszy rzut oka śliczny i zielony, ale w tej zieleni coś dziko pomrukiwało.

Mężczyzna oparł się o szafkę i odruchowo skopiował pozycję Anny, splatając ramiona na piersi. Przekrzywił głowę i zerkał to na Glorię, to na kipiącego wciąż złością Rafała, a potem pochylił się lekko w jej stronę i zapytał:

– O co poszło?

Anna zmierzyla go spojrzeniem. Nadal nie była pewna, co o nim myśleć, jednak doceniała to, że powściągnął swoją magię, kiedy wyczuł jej, Anny, napięcie.

– O definicję głupoty, jak mi się wydaje, ale nie całkiem nadajam za rodzinną dynamiką – odpowiedziała.

– Jakie są wersje? – zapytał Robin z dziecięcą ciekawością.

– Gloria sądzi, że Rafał jest wcieleniem teźe. On może nawet by się zgodził, ale uważa, że i tak powinien zrobić to, co musi – przyznała niechętnie.

– A ty? Jaka jest twoja definicja głupoty w tym kontekście? – zapytał i wydawał się naprawdę zainteresowany.

– Rzucać się w ciemno na nieznaną zagrożenie, które sprzątnęło już silniejszych od ciebie – odparła bez namysłu.

Rafał warknął urażony, ale wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Nie przyznaję racji ani Glorii, ani tobie. Z mojej perspektywy żadne z was nie zachowuje się rozsądnie. Ona przegapiła, że już nie masz piętnastu lat. Ty się zachowujesz, jakbyś faktycznie tyle miał. Jakbyś, nie wiem, skakał na główkę bez sprawdzenia, co jest w wodzie. Co roku wyciągam z rzeki kilku takich chojtraków.

– Nie będę siedział beczynninie, gdy moi bracia potrzebują pomocy! – zagrział.

– Nikt cię nie prosi, byś siedział na rękach – odpowiedziała zniecierpliwiona. – Gdybym stwierdziła, że trzeba ratować dzieci z pożaru, niewątpliwie miałabym rację. Ale gdybym próbowała rzucać się w płomień bez gaśnicy, odzieży ochronnej, maski tlenowej i rozeznania, gdzie te dzieci mogą być, byłabym idiotką. I liczę, że powiedziałybyś mi to, gdyby zabrakło mi rozsądku. Bo żadne z nas nikomu by nie pomogło, będąc martwym.

Zanim odpowiedział, wtrąciła się Nikita, która cały czas obserwowała ich spod zmrużonych powiek.

– Jak zarabiasz na życie? – zwróciła się do Rafała.

– A co to ma do rzeczy? – zapytał z irytacją.

– Jest nauczycielem – warknęła Gloria i uniosła ręce w geście wyrażającym frustrację.

– Co to ma do rzeczy? – powtórzył ryś podniesionym głosem. – Moi bracia wpadli w pułapkę! Nie będę siedział na dupie tylko dlatego, że zamiast iść do woja, zrobiłem magisterkę z pedagogiki i historii!

To, że jestem nauczycielem, nie znaczy, że jestem bezwartościowy! – prawie krzyczał, czerwony na twarzy i z oczami połyskującymi zielonkawo.

Anna miała nadzieję, że ta kobieta do czegoś zmierza, bo jeśli chciała wkurzyć rysia, wychodziło jej to świetnie. A jak każdy wilk wiedziała, że najprostszym sposobem, by nakłonić kota do zrobienia czegoś głupiego, jest wkurzenie go.

Nikita zmierzyła Rafała spokojnym spojrzeniem, a potem powiedziała:

– Oczywiście, że nie jesteś. Ale po to masz takich jak twoi bracia, ja i Robin, by nie obijać sobie kłykci. Bo gdyby to ciebie zabrakło, nie potrafiłabym zastąpić cię w klasie.

– A kto zastąpiłby ciebie? – zapytał, jakby przytomniejszy.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Zawsze się znajdują tacy jak ja. Łęgniemy się na marginesie, tam, gdzie nie dociera światło. Trudniej nas zabić. Jeśli komuś się uda, mało kto za nami płacze. Nie traktuj wątpliwości Glorii jako obelgi, tylko jako wyraz uznania – odpowiedziała spokojnie.

Rafał wyglądał na pokonanego. Złość ulatywała z niego jak z przebitego balonu, zostawała tylko frustracja. Nikita mogła go dobić, ale zamiast tego rzeczowym tonem wyjaśniła:

– Po tym, jak zginął Tadeusz, wyszkolony profesjonalista, wysłaliście na poszukiwania Tyma i Remika, dwóch równie świetnie wyszkolonych zawodowców. To jest naturalny rozwój sytuacji. Eskalacja siły rażenia. Wobec tego posłanie teraz pojedynczego zmiennokształtnego bez specjalnej mocy bojowej nie ma sensu. Etap rzucania w zagrożenie mięsem armatnim mamy już za sobą.

Anna potarła powieki, czując, jak znów wzrasta temperatura w pomieszczeniu, kiedy słowa Nikity dotarły do szwagierek Rafała. Najemniczka uniósła ręce i nie zmieniając tonu, powiedziała:

– Nie mówię, że wasi mężowie byli mięsem armatnim. Bezspornie znajdowali się oczko wyżej. Znam tylko Tyma, i to powierzchownie, ale nie zlekceważyłabym jego umiejętności i doświadczenia. Obstawiam, że Tadek i Remik mieli co najmniej takie same. Jeśli więc z czymś sobie nie poradzili, czas wysłać kawalerię.

– Skąd niby mam wziąć kawalerię? – zapytała głucho Eufemia. Siedziała przy kuchennym stole i stale gładziła się po brzuchu, jakby próbowała uspokoić kocie, które nasiąkało jej zdenerwowaniem.

– Czasem sama staję nam na drodze – odparła Nikita.

Anna zauważyła, że Gloria wzdryga się na te słowa. Mogła się tylko domyślać, dlaczego mimo desperacji wiedźma nie spieszy się z przyjęciem propozycji. Tylko czy mieli inne opcje?

Wrzask, który nagle rozbrzmiał w domu, w ułamku sekundy odpalił matczyne instynkty Glorii i Rebeki. Kobiety natychmiast popędziły na górę. Anna, pozbawiona takich odruchów, bez trudu zauważyła, że ktoś wyreżyserował całą tę sytuację. Miał prawie sześć lat, kręcone rude włosy, milion piegów i ewidentnie czaił się tuż za progiem. Gdy tylko matki zniknęły na schodach, Michał wślizgnął się do kuchni, ściskając pod koszulką jakiś pękaty przedmiot. Stał przed Nikitą z przejętą miną i pociągnął ją za rękaw. Kucnęła, aby mogli sobie spojrzeć w oczy. Anna nie negowała nastawienia Glorii, ale wiedziała jedno – fascynacja i zauroczenie Michasia najemniczką nie były jednostronne. Nikita uśmiechnęła się do chłopca i po raz pierwszy jej uśmiech nie wyglądał, jakby ostrzegała kogoś o rychłe zbliżającej się śmierci. Pochyliła głowę w stronę małego, aż prawie zetknęli się czołami, i przez chwilę rozmawiali, za cicho, by Anna mogła słyszeć słowa z drugiego końca kuchni. Zwłaszcza że do wrzasku na górze dołączył płacz niemowlęcia.

– Zbierałem na nowy rower, ale oddam ci wszystko, żebyś znalazła tatusia – usłyszała, gdy wyciągnął spod T-shirtu ceramiczną świnkę-skarbonkę. Zabrzęczała metalicznie, kiedy nią potrząsnął. – Czekałem, aż znikną ci siniaki...

Znów coś do siebie szeptali, a Nikita pokiwała głową. Ucisnęli sobie ręce w chwili, kiedy Gloria wróciła do kuchni z córeczką na biodrze. Nikita wyprostowała się i powiedziała do gospodyni:

– Uznaj, że właśnie wynajęłaś kawalerię. Więc równie dobrze możesz opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami, zaczynając od początku.

Gloria pokręciła głową.

– Nie stać mnie na Zakon ani na dług wobec niego. Nie stać mnie też na dług wobec ciebie. Mam piątkę dzieci i męża, który być może już nie wróci...

Pobladała, jakby dotarło do niej, że powiedziała zbyt wiele. Jak gdyby wypowiedzenie tych słów uświadomiło jej, że jej mąż może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Na Zakon cię nie stać – przyznała najemniczka. – Dobrze, że już tam nie pracujemy.

Gloria nie była przekonana.

– Ile by nas to kosztowało? Teraz, później? Ile pokoleń spłacałoby ten dług?

Nikita mierzyła się z nią spojrzeniem i chyba nawet nie zarejestrowała tego, że gdy Michaś przysunął się do niej, położyła mu dłoń na ramieniu. Gloria odciągnęła go natychmiast i zasłoniła swoim ciałem.

– Nie dam ci go, zapomnij! – krzyknęła.

Najemniczka zamrugała, wyraźnie zaskoczona.

– Co miałabym zrobić z Michałem?

Doskonale pytanie, pomyślała Anna. Znała tego chłopca ledwie kilkanaście godzin, ale miała już wyrobioną opinię na jego temat.

Gloria pokręciła głową z uporem i powiedziała:

– Nie wiem, ale go nie oddam!

– I słusznie, nie mam w życiu miejsca na psa, a co dopiero na dziecko. Lubię twójego syna, ale nie przyjmę go w rozliczeniu.

– Mamo, ja już jej zapłaciłem – powiedział poważnym tonem Michał, doprowadzając matkę na granicę załamania nerwowego.

– Mam umowę z twoim synem – powiedziała Nikita spokojnie. – Wynajął mnie do odnalezienia jego ojca. I nie martw się, nie sprzedał mi się w jasyr, nie oddał nerki starszego brata ani nie przeznaczył siostry do adopcji.

Napięcie w kuchni można było kroić. Anna, nie wiedząc nic o Nikicie i ufając Glorii, która znała ją lepiej, nie rwała się do negocjacji.

W końcu to Eufemia przerwała milczenie.

– Do jasnej cholery! Skoro zgadzamy się, że wysłanie na poszukiwania Rafika jest bez sensu, to może zgodzimy się, że darowanym najemnikom nie zagląda się w zęby? Chcą pomóc! A ja nie chcę, by moje dziecko, kiedy się urodzi, mogło zobaczyć twarz ojca tylko na fotografii!

Wykrzyzczała to wszystko, a potem wybuchła szlochem. Wypadła z kuchni i z domu, trzasnęły drzwi. Bliźniaczki, które powinny wciąż być na górze, ale podsłuchiwały na schodach, pobiegły za matką.

Atmosfera w kuchni zrobiła się jeszcze bardziej napięta.

Nikita westchnęła i zwróciła się do Glorii:

– Musimy porozmawiać, na osobności. – A gdy ta nie zareagowała od razu, dodała: – Niechętnie ujawniam swoje sekrety i nie potrzebuję do tego świadków. Greckiego chóru też nie.

Wyszły na zewnątrz. Towarzysz najemniczki poszedł za nimi i zatrzasnął drzwi na taras.

– Powinniśmy się martwić? – zapytała Anna, patrząc, jak Gloria maszeruje gniewnie przez trawnik.

– Nikita nie robi mamie krzywdy – zapewnił Michaś. – Mówiłem ci, ona jest super. I znajdzie tatusia. Mamy kontrakt.

Nie słysząc, o czym rozmawiali, Anna mogła tylko obserwować mowę ciała Nikity, Glorii i Robina. Jedynie ten ostatni zachowywał kompletny luz, jakby cała ta sytuacja była jakąś drobnostką lub żartem. Rozmawiali chwilę, aż Gloria cofnęła się, wyraźnie zaskoczona.

– Muszę tam iść, zanim mama wszystko zepsuje – powiedział Michał i spojrzał na mnie wielkimi zielonkawymi ślepiami. – Nikita jest moją przyjaciółką, ale jeśli mama powie jej, że nie może nam pomagać, to posłucha... Kiedy jej powiedziała, żeby nie zostawiać trupów na trawniku, to się bardzo pilnowała i żadnego nie zostawiła!

Anna była pewna, że nie mówił o dekoracjach na Halloween. Nie miała pojęcia, czy charakter Michała jest wynikiem oddziaływania magii Warsa, czy genów Rudeckich, ale jeśli kiedyś postanowi mieć z Rafałem potomstwo, powinna uwzględnić takie ryzyko. Rafał spróbował złapać małego za koszulkę na plecach, ten jednak się wywinął i już biegł przez trawnik.

– Zostaw – poprosiła Anna, widząc, że jej narzeczony rusza za chłopcem. – Potrzebujemy kawalerii. Gloria jest rozsądną kobietą, ale może zbyt rozsądną na tę sytuację.

Jeśli ktoś ma przyprowadzić chłopaków do domu, to najemniczka. Zrobi wszystko, by nie zawieść Michasia.

Kilkanaście minut później cała czwórka wróciła do kuchni w wyraźnie lepszych nastrojach.

Mieli kawalerię.

V

Nazwanie „czkawka” tego, co rozpętało się pod wieczór, było niedopowiedzeniem roku. Anna nie wiedziała, kto wymyślił nazwę tego potwornego zjawiska na granicy magii i anomalii pogodowych, ale ani odrobinkę nie doceniała poczucia humoru jej autora. To jak nazwanie amputacji wszystkich kończyn „draśnięciem”.

Czytała o niej. Juleczek ją ostrzegał. Nawet Nikita dorzuciła własne ostrzeżenie, gdy o dziwo, wyłapała, że wilczyca jest dominująca. Anna przyjęła wszystkie dobre rady z powagą i naprawdę myślała, że wie, czego się spodziewać. Przecież nie mogło być aż tak źle! Kto by tu wtedy mieszkał? Spodziewała się, że czeka ją coś tego kalibru jak jej zderzenie z Warszem po przekroczeniu bramy – nieprzyjemne, bolesne, ale do przejścia.

I wtedy przyszła czkawka. Już sama burza – z wichurą, ulewą, rozrywającymi niebo piorunami i grzmotami przetaczającymi się po okolicy jak lawina głazów – była przerażająca. Ale to magia okazała się czymś, co zmusiło jej wilczycę do skomlenia z podkulonym ogonem.

Gloria, Eufemia i Rebeka uzbroiły dodatkowe kręgi ochronne, zagoniły dzieciaki do domu, a najmłodsze zgarnęły do kąpielni, przewidując, że po awarii prądu (która najwyraźniej była tylko kwestią czasu) braknie ciepłej wody. Przygotowały kolację dla wszystkich, a gdy Anna chciała pomóc, usłyszała, że powinna się zrelaksować, bo za chwilę rozpęta się jej pierwsze piekło. Były przy tym tak naturalne, praktyczne i opanowane, jakby chodziło o wiosenną burzę, a ich największy problem stanowiły dzieci, które mogą być marudne, jeśli zawczasu nie przygotowuje się im przekąsek. To akurat Anna uznalaby za normalne – zmiennokształtne dzieci, a zwłaszcza nastolatki, miały żołądki bez dna. Sytuacja wyglądała na tyle znajomo, że w jakiś niepojęty sposób przypięła w Annie poczucie obcości wobec tego miejsca i zdarzeń.

Na to, co nadeszło, nie była przygotowana. Ale jak się przygotować na ten nacisk w głowie, silniejszy niż najgorsza z migren? Magia ryczała jeszcze głośniejsze niż grzmoty, przetaczała się kolorami po niebie niczym złowroga wersja zorzy polarnej, pełgająca, krwawa, płonąca. Anna drżała na całym cieple, gdy walczyła z tą gwałtowną potrzebą wyjścia na zewnątrz i poddania się przemianie. Czula dzikość, która szeptała do niej pełne pokusy obietnice zaspokojenia głodu, jakiego nie zaznała nigdy wcześniej.

Wcisnęła się w ciemny kąt między ścianą a łóżkiem, owinęła kocem i czekała, aż ucisk minie, aż cofną się te gorące palce, które grzebały jej w duszy. Jakiś głos próbował się przebić przez cały ten jazgot i pulsowanie w jej głowie, ale nie potrafiła go zrozumieć. Czula czyjaś obecność, jednak nikogo nie widziała. Nie była pewna, czy tętniąca czerwień istniała naprawdę, czy to magia rozbłyскиwała jej pod powiekami niczym krwawa latarnia morska. Ktoś ją dotknął, uskoczyła, aż chrupnęło jej ramię wciśnięte w ścianę, bo jej zmysły wydawały się podłączone do wysokiego napięcia i ten dotyk był gorący jak lawa, spalał skórę i mięśnie aż do kości, a przy tym towarzyszył mu tak smakowity zamach, że chciała się wgrzyźć w cudze ciało, zanurzyć w nim zęby, pić gorącą wciąż krew, aż ugasi pragnienie.

– Idź! – wydyszała, a zęby nie mieściły się jej w ustach.

Zasłoniła głowę przedramionami i kołysała się miarowo. Do hałasu w głowie doszły nowe dźwięki, mamrotanie i wysoki pisk, niemal na granicy słyszalności. Dłuższą chwilę zajęło jej zrozumienie, że te odgłosy wydobywają się z jej gardła. Rozsypywała się. Gubiła się w chaosie, który nieustannie naciskał na kręgi ochronne i barierę jej głowy. Nie chciała myśleć, o ile gorsze okazałyby się to doznania, gdyby nie znajdowała się w domu zabezpieczonym przez trzy cholernie utalentowane wiedźmy. Dygotała, zęby obijały się o siebie. Gorączka uderzyła w jej ciało jak kula wyburzeniowa. Każdy mięsień bolał, każde zakończenie nerwowe płonęło żywym ogniem. Umierała z głodu, ssąca pustką w jej trzewiach domagała się zaspokojenia.

Czkawka? Niedopowiedzenie, kurwa, roku.

Bardzo powoli odzyskiwała przytomność. Nie mogła się ruszyć, ale nie czuła się z tego powodu zagrożona. Czuła ucisk, jednak jej ciało rozpoznawało to gorąco i oplątujące ją macki. Serce biło jej równo, oddychała spokojnie. Otworzyła oczy i przez chwilę czekała, aż wróci jej ostrość widzenia. Wcześniej dotarło do niej, że oplątująca ją ośmiornica pachniała Rafałem. W łóżku poza nimi było co najmniej pięć puchatych kulek, wciskały się w każdy wolny kawałek przestrzeni. Jedna leżała tuż przy jej głowie, pochrapywała przez sen i promieniowała ciepłem.

Niewiele brakowało do świtu, godziny, może dwóch. Burza ucichła, magia cofnęła się w swoje otchłanie, przyczajona jak barakuda. A ona przetrwała, ciągle nie mogła w to uwierzyć. Nie pamiętała, jak trafiła do łóżka. Pewnie Rafał ją tu przyniósł, kiedy straciła przytomność, bo to z pewnością nie był sen. Nagle zgasło światło, a ona cieszyła się, że kiedy znów otworzyła oczy, dookoła leżały oddychające stworzenia, a nie stopy ciał.

Potwornie chciało jej się pić, język przysychał do podniebienia. Czuła na zębach posmak starej krwi, a dolna warga była obolała. Zaczęła się wyplątywać z kończyn rysia, ale nie współpracował. Za każdym razem, gdy przesuwała jedną, druga zacierała uchwyt. Posapując, wyslizgnęła się i spadła na podłogę. Na czworakach przemieszczała się w stronę drzwi, kiedy usłyszała za sobą ciche:

– A tak właściwie to gdzie się wybierasz?

Odwrociła się. Rafał patrzył na nią całkiem przytomnie.

– Pić – odszepnęła, nie chcąc budzić dzieci.

Doświadczenie z bratanek nauczyło ją podstawowej prawdy o życiu z dziećmi: nigdy nie śpią dostatecznie długo. Ryś sprawnie wy dostał się z fałd kołdry i spod kłębuszków śpiących rysiat. Zdołał zrobić to tak zżęcznie, że żadne nawet nie mrknęło. Prawdziwy dar!

Znów złapała się na niepokojącej myśli, że jeśli kiedyś im się przytrafi taki kłębuszek, Rafał nie będzie typowym kocim ojcem, ignorującym dziecię przez szesnaście lat, czyli do czasu, gdy w jego oczach stanie się „interesujące”. Dobrze wiedzieć, że rysie są bardziej jak wilki niż jak lwy. Ależ by się nadał za to porównanie... Czkawka ewidentnie ją przeczłogała, skoro jej myśli zapędyły się w takie rejony.

Wymknęli się z pokoju i zeszli do kuchni. Wszyscy jeszcze spali.

Anna ciągle dochodziła do siebie po szoku, jaki jej zaserwował Wars. Wypiła duszkiem szklankę wody, wpatrując się w okno, za którym dało się dostrzec pierwsze przebłyski świtu.

– Nie zrobiłam ci wczoraj krzywdy? – zapytała cicho.

– Niby jak? – odparł, jakby nie pamiętał, w jakim była stanie.

– Nie wszystko pamiętam, to było cholernie intensywne – przyznała.

– Wyżęło cię jak szmatę. Mimo kręgow ochronnych. Nie ma cienia wątpliwości, że jeśli będziemy w przyszłości odwiedzać rodzinę, to nie wiosną. Gloria mówi, że zaczął się sezon czkawek.

Anna zamarała.

– Będzie ich więcej?

– Podobno, z tym że zwykle da się je przewidzieć. Lepiej jednak, byśmy się trzymali blisko domu. Żadne z nas nie zdoła ustawić kręgu na tyle wytrzymałego, by przetrwał czkawkę, ale tu mamy potężne wiedźmy, więc nie jest źle. Ja niewiele czułem, ty nie miałaś tyle szczęścia. Wiemy już, czemu wilki są tu rzadkością.

Kiwnęła głową i wypiła jeszcze jedną szklankę wody, choć w tym momencie nie miałyby nic przeciwko haustowi czystej wódki.

– Podobno w Sawie jest tak cały czas, nawet bez czkawki. A moi bracia najprawdopodobniej tam właśnie poszli – powiedział cicho.

Milczała. Nie miała siły na kolejną odsłonę tej dyskusji. Zwłaszcza po tym, co przeszła.

– Myślałem nad tym w nocy. Kiedy magia cię przeczłogała, ja doznałem objawienia – oznajmił. Zaraz poklepał ją po ramieniu i zapewnił: – Nie martw się, nie zamierzam iść do Sawy. Etap zatrucia testosteronem mam za sobą. Macie rację, nikomu nie pomogę, ginąc w otchłani zielonego piekła. Nie wiem zresztą, czy dotarłbym do Sawy, czy nie dopadłoby mnie coś po drodze. Nie jestem stworzony do życia w tym mieście.

– Żadne z nas nie jest. Wszędzie indziej czuję się silną i kompetentną kobietą. Jestem strażaczką, na bogów, bez lęku wchodzę do płonących budynków. Ale to miasto jest inne. Powiedziałabym, że budzi mój respekt, jednak skłamałabym. Ono mnie przeraża. Nigdy nie bałam się magii, ale czkawka... – Pokręciła głową. – Nie wyobrażam sobie, jak lokalsi układają sobie życie, żyjąc w cieniu takiego koszmaru. Jak funkcjonują, wiedząc w takie ranki jak dziś, że owszem, jedna minęła, ale nadejdą kolejne. Przecież można oszaleć.

Potarł jej plecy w geście pocieszenia. Wiedział, że na długo zapamięta, jak bezradny się czuł, kiedy ona oberwała magią czkawki. Zawołał wtedy Glorię, nie wiedział, czy to normalne. Użyła wobec Anny

znaku widzenia i powiedziała:

– Dominująca wilczyca? Nie lubisz, jeśli życie jest zbyt proste, prawda?

Zapewniła go, że w kręgu Annie nic się nie stanie, choć jest to dla niej ciężkie przeżycie. A potem bardzo obrazowo wytłumaczyła mu, dlaczego nigdy, przenigdy nie powinni narażać się na czkawkę poza domem, a nawet poza kręgiem.

– Gdybyście z jakiegos powodu nie mogli wrócić na Kasztanową, a magia zaczęłaby szaleć, uciekaj z nią na drugą stronę bramy. Bo jeśli tak reaguje na czkawkę wewnątrz naszego kręgu, poza nim jej nie przeżyje – ostrzegła.

Rafał siedział przy Annie przez większość nocy, a gdy straciła przytomność, zabrał ją do łózka i tulił, aż napięcie opuściło jej ciało. Miał nadzieję, że jego bracia szybko się odnajdą, bo nie chciał, by musiała przechodzić ten koszmar po raz kolejny. Był moment, gdy rozważał wpakowanie jej rankiem do samochodu i powrót do domu. Potrzebował jej i nie zniósłby, gdyby przypląciła tę eskapadę życiem.

Teraz uśmiechnął się blado i powiedział lekkim tonem:

– Tak oficjalnie to moi bracia są pojebani. Myślę, że za często upadali na głowę, kiedy byli mali. Mama zawsze potwarzała, że huśtawka w ogrodzie wisi za wysoko. Zanim podrosłem na tyle, żeby się na nią wspiąć, zmieniła sznur na dłuższy, więc mój mózg nie ucierpiał aż tak.

Czy na pewno mogła już odetchnąć? Może i upadał z mniejszej wysokości, ale też znała swojego rysia wystarczająco, by nie podejrzawać go o zupełny brak uszkodzeń płata czołowego.

– Zastanawiałem się, jak mogę pomóc w tej sytuacji, wykorzystując swoje moje i możliwości. I wymyśliłem. Jest jedna rzecz, w której jestem po prostu zajebisty. Dzieciaki. Radzę sobie z nimi. Więc zajmę się całą czeredą, by odciążyc szwagierki. Jeśli nie będą się rozpraszać, jest spora szansa, że zdołają jakoś pomóc chłopakom. Albo Nikicie, która chyba wie, co robi.

– A Gloria i reszta nie będą się sprzeciwiać? – upewniła się.

Pokręcił głową.

– Jesteśmy rodziną. To moi bratanekowie. Ufają mi. A moje szwagierki są praktyczne. Przeprowadziły sporo rytuałów, próbując namierzyć moich braci, ale pewnie mogłyby więcej, gdyby nie rozpraszał ich tłum koty. I to właśnie zrobimy: zdejmujemy ten ciężar z ich barków, by miały wolne ręce do magii i różnych dziwnych rzeczy, które mogą robić jako wiedźmy.

– To brzmi naprawdę rozsądnie – przyznała Anna.

– Nie bądź taka zaskoczona. Rozmawiałem w nocy z maluchami. Jeśli nie będziemy ich mieli na oku, są gotowe zrobić coś głupiego.

– To chyba rodzinne – westchnęła.

– Genów nie oszukasz.

Anna zmarszczyła brwi.

– Czy ty też to słyszysz, czy znów mam halucynacje?

– Ewidentnie coś słyszę – potwierdził.

Zza okna dobiegało ciche dudnienie, dało się też słyszeć wysoki skrzek. Wyszli na podwórko. Lekko mżyło. Niebo podmalowywały delikatne, niemal sielankowe pastele.

Na sąsiedniej posesji trzasnęły drzwi. Nikita i Robin, uzbrojeni i gotowi, by spuścić łomot każdemu, kto będzie się o to prosił, wyszli z domu i przecięli trawnik. Przez chwilę nic się nie działo, jakby wszystko zamarło i zaczęło się odliczanie.

Nagle usłyszeli kroki. Zbliżyły się, ciężkie i powolne, a wraz z nimi narastał odgłos posapywania. Robin i Nikita trwali w oczekiwaniu na to, co nadchodziło śródkiem ulicy.

Chwilę potem rozpętało się piekło. Ogromna bestia zmierzała prosto na nich, a z nieba spadały mniejsze jej wersje, przypominające skrzyżowanie koszmarnych istot żyjących na dnie oceanu z czymś pochodzącym z mrocznych kart mitologii – pierzasto-skrzydlate potwory uzbrojone w najeżone pazurami łapy, ze szczękami nafaszerowanymi milionem zębów.

– Powinniśmy im pomóc? – zapytała Anna zaniepokojona.

– Myślę, że sobie z nimi poradzą. Wyglądają na takich, którzy wiedzą, co robią. Widziałas kiedyś coś podobnego? Wiesz, jak to zabić?

Nie wiedziała. I nie wiedziała. Czy takie bestie w ogóle krwawią?

Krwawiły, choć ich posoka miała barwę zielonkawożółtą. Smród zgniłych ryb stawał się coraz intensywniejszy, więc Anna i Rafał wycofali się w stronę domu.

Hałas obudził dzieciarnię i nagle maluchy były dosłownie wszędzie. Wilczyca zabrała Michała, zanim zdążył pobiec do Nikity, drugą ręką zgarnęła bliźniaczki, które chciały obejrzeć z bliska posiekane przez najemniczkę potwory. Rafał zablokował drogę nastoletnim chłopcom, gdy ci wpadli na równie głupi pomysł jak młodszy. We dwojkę, z niemałym wysiłkiem, zagonili dzieciarnię do domu. Anna nie wiedziała, skąd mieszkańcy Warsa znajdują tyle odwagi, by nie tylko się w tym mieście

rozmażać, ale jeszcze pozwolić potomstwu na przekraczanie progu domu, gdy ni stąd, ni zowąd może spaść na nie z nieba owoc pracy oszalałego doktora Moreau.

Prawie im się udało. Niemal czuła smak zwycięstwa. Hałasy z ulicy cichły, więc uznała, że najwyraźniej zagonienie dziesiątki rysiąt do domu zajmuje mniej więcej tyle czasu, ile wycięcie w pień hordy bestii. Zamknęła za sobą drzwi na taras i przybili sobie z Rafałem piątkę.

Nagle ciszę przesyłał szalony wrzask. Wrzask, który rozpoznawali wszędzie, bo słyszała go już co najmniej raz. W громадce kociąt brakowało Saszy. Pozostała na zewnątrz i krzyczała. Anna porwała ze stojaka największy nóż i wybiegła na taras. I zamarła. Nic, co dotąd przeżyła, nie przygotowało jej na spotkanie z czymś podobnym... Zaciśnęła zęby i ruszyła w stronę potężnej bestii, która ciągnęła Saszę w kierunku muru zamykającego podwórkę. Dziewczynka zapierała się stopami o trawnik, chwytając każdej mijanej rzeczy i wczepiała się w siatkę trampoliny, ani na chwilę nie przerywając wrzasku, który stawał Annie włoski na karku.

Bestia miała dwa metry wzrostu, kiedy stała na tylnych nogach zakończonych ogromnymi kopytami. Przednie łapy, uzbrojone w długie pazury, trzymały mocno Saszę, a ona wiała się i kopała powietrze, wściekła i zdeterminowana, by nie pozwolić się zabrać z podwórka cioci Glorii. Stworzenie wstrząsało łbem o wydłużonym pysku pełnym zębisk, długa grzywa kołysała się na wietrze. Przerażliwy krzyk wyraźnie je drażnił, ale nie było dość bystre, by zostawić hałaśliwą zdobycz i zbiec.

Anna się zawahała. Czy zdoła powalić potwora, zanim ten wbije pazury w ciało dziewczynki? Trwało to może sekundy, ale wystarczyło, by bestia oddaliła się z ofiarą.

Nagle znikąd pojawiła się Nikita. Wybiła się jak zabójcza pchła i wskoczyła stworowi na plecy. Błyskawicznie odchyliła mu łeb, szarpiąc jedną ręką za grzywę, a drugą cięła nożem w poprzek szerokiej jak jej udo szyi. Krew chlusnęła do przodu i zielonkawą strugą zalała głowę Saszy. Bestia wciąż trzymała dziecko, choć światło w czarnych oczyskach zgasło. Robin wyłuskał dziewczynkę z łap o nienaturalnie długich palcach z licznymi węzłami stawów. Bestia opadła na kolana, jakby utrata ofiary była tym, co ostatecznie pozabawiło ją woli walki. Robin odskoczył, nim zaryła pyskiem w trawę.

Sasza, bezpieczna w objęciach Robina, przestała krzyczeć. Jedyne, co nadal jej przeszkadzało, to popzielane posoką włosy; dotykała ich z wyraźnym obrzydzeniem, kiedy Robin przekazywał ją Annie. Mieli już towarzystwo. Rafał, wszystkie rysie, a co gorsza – Gloria i jej szwagierki – stały na tarasie, wstrząśnięte. Bez słowa wpatrywały się w leżącego na trawniku potwora.

– To nie był Tym ani żaden z twoich szwagrów. – Do Anny dotarł głos Nikity.

Dzieci nie powinny słyszeć tej rozmowy, pomyślała Anna. Potwór był wystraszył, prawie porwał jedno z nich, nie musiały jeszcze mieć głów wypełnionych obrazami, w których pod tą potwornością kryje się ukochany tato lub wujek.

Anna mocniej objęła dziewczynkę, czując, jak mała ciasno oplata jej szyję ramionami. Saszka była cichutka, ale jej ciało drżało. Anna posłała Rafałowi wymowne spojrzenie. Czas się zbierać. Zrozumiał ją bez słów i znów zaczął zganiać dzieciaki do domu. Tym razem weszły do środka potulnie, bez cienia protestu.

Rafał kazał im wyjść na górę, na poddasze, gdzie mieściło się bocianie gniazdo, jak nazywały swoją bawialnię. Tam miały szansę na więcej ciszy i mniej drastycznych widoków – bo z okien tarasowych wciąż widziałyby zbyt wiele.

Annie nie umknęło to, jak opanowane, mimo wstrząsającego doświadczenia, są dzieciaki. Jakby mieszkając w Warszawie, przywykły do takich ekscesów. Są wszystkie kończyńy? Nie ma krwi tryskającej na ściany? To po co panikować? Równocześnie – w piżamach, z bosymi stopami lub w skarpetkach – wyglądały na młodsze i bardziej bezbronne. Nawet najstarsze, Marcin, Sara i Szymek, choć zwykle podkreślały, że są już nastolatkami, a nie dziećmi, teraz przytulały młodsze rodzeństwo i było im to potrzebne nie mniej niż maluchom. Rafał nie zamierzał rezygnować z przejętego przywództwa. Pewnym tonem oświadczył:

– Za kwadrans na poddaszu, narada rodzinna – zarządził. – Tylko my, mamy potrzebują teraz spokoju. Czas, żebyśmy przegadali to, co się dzieje. Ubierzcie się, mokre piżamy wrzucicie do prania. Kto ma brudne stopy, niech je umyje, zanim założy ciepłe skarpetki. Anno, kochana, czy możesz pomóc Saszce? Lepiej, by przestała pachnieć jak surströmming, zanim wejdzie do bocianiego gniazda. Ciężko je wywietrzyć.

Owa mieszanina autorytetu dorosłego i czysto praktycznych poleceń była tym, czego dzieciaki potrzebowały, by wejść w tryb zadaniowy. Dziecięca psychika czasem przypominała Annie kauczukową piłeczkę: odbijała się dziarsko od najtwardszej ściany. Sama też poczuła się lepiej, widząc, że Rafał ma plan, że do czegoś zmierzają całą kompanią. Bo alternatywą było skulenie się pod kocem i chłapanie ze stresu.

– Saszka naprawdę capi – powiedział Pawełek, jak zawsze pomocny.

Dziewczynka, która chwilę temu walczyła z potworem i wrzeszczała na niego jak mała banshee, teraz była na granicy płaczu i cichutkim głosikiem wykrztusiła:

– Nie chcę śmierdzieć jak śledzie!

– Zaraz zmyjemy ten śledziowy smrodek – zapewniła ją Anna.

A im mocniej czterolatka się do niej przytulała, tym bardziej smrodek stawał się też jej problemem.

*

Wyszorowanie Saszki z resztek organicznych i pozbycie się woni, którą przesiąkła, zajęło Annie dobrze ponad kwadrans. Włosy dziewczynki wymagały podwójnej porcji szamponu rumiankowego i skrupulatnego wypłukiwania, nim odzyskały miękkość i przyjemny zapach.

W czystym dresiku z bałwankiem z *Krainy lodu* Sasza czekała, aż Anna zmieni śmierdzącą piżamę na legginsy i długą bluzę. Potem zaprowadziła „nową prawie ciocię”, jak ją nazywała, do bocianego gniazda, czyli do strefy dziecięcej. Materace, którymi wyłożona była podłoga, przykrywały kolorowe koce i narzuty, w kącie zepchnięto kilka śpiworów i poduszek. Pod spadzistym dachem było akurat tyle miejsca, by Anna mogła się wyprostować, Rafał musiał się lekko garbić. Trzy niewielkie okna połaćciewo wpuszczały do środka sporo światła, ale to kilka rozciągniętych na ścianach i wzdłuż więzby sznurów lampek choinkowych robiło prawdziwy klimat.

Prawie wszyscy byli już na miejscu, czysti, schludni i skupieni, czekali na Annę i Saszę oraz na Rafała, który wdrapał się po ściąganej drabince z niemowlęciem w chuście. Nawet najmłodszy – sześciolatek Michał, zwykle wiercipięta, i czterolatka Masza – siedzieli po turecku cisi i skoncentrowani.

– Wszyscy na miejscu? – zapytał Rafał, a gdy nie odpowiedzieli, zarządził: – Kolejno odlicz!

Odliczyły do dziewięciu, a na końcu Rafał pomachał pulchną łapką Milenki, mówiąc: „Dziesięć”.

– Jeśli sprawdzasz, czy jesteśmy w szoku albo czy mamy głęboką traumę po potworze i czkawce, to nie mamy. My tu żyjemy na co dzień. To był nieprzyjemny ranek, ale nie odnieśliśmy głębokich ran na psychice i w ogóle – powiedział rezolutny Marcin.

Rafał ukrył uśmiech, całując główkę Milenki. Piętnastoletni Marcin z jednej strony naprawdę był prawie poważnym, silnym nastolatkiem, z drugiej – czasem wychodził z niego dzieciak, który skacze na trampolinie z maluchami, aż zrobi mu się niedobrze. Miał jednak posłuch u młodszych, więc teraz ci też machali lekceważąco rękami i prychnali na tego wcale nie przerażającego potwora i te zupełnie niestraszne bestie, których stopy leżały na ulicy.

– Zwołałem naradę rodzinną, by pogadać z wami o zniknięciu waszych tatusiów – powiedział Rafał spokojnie. – Domyślam się, że sporo podsłuchaliście, ale nie zaszkodzi porozmawiać otwarcie o tym, co się stało, co nas czeka i co możemy zrobić, żeby pomóc.

Zdo był ich uwagę. Anna nigdy nie przestała się dziwić dorosłym przekonany m, że mogą utrzymać trudne sprawy w tajemnicy przed dziećmi. Wszystko słyszały, kłopoty wyczuwały na odległość. Zmienne czy w pełni ludzkie, dzieci były jak gąbki chłnące emocje i atmosferę w domu.

– Na początek wyjaśnijmy sobie jedno – podjął Rafał rzeczowym, zdecydowanym tonem. – Dzięki Michałowi mamy kawalerię. Nikita i Robin będą intensywnie szukać waszych ojców i postawiłbym całą pensję na to, że im się uda. No i są wasze mamy. Będą teraz bardzo energicznie czarować, żeby pomóc Nikicie zlokalizować zaginionych. To będzie mocne i może was trochę przestraszyć. Przyznam, że ja się boję takiej wielkiej magii, bo jestem rysi em, a nie wiedzmą. Ale wszystko będzie dobrze.

– A jak nie będzie dobrze? Taty nie ma już tak długo... A jeśli coś go dopadło? Zjadło? Jeśli spotkał takiego potwora, jak ten, który chciał porwać Saszkę? – zapytała cicho Masza. Patrzyła na wujka wielkimi zielonymi ślepiami i skubała skórki przy paznokciach.

– Wasze mamy przeprowadziły kilka rytuałów magicznych. Tadek, Tym i Remi żyją, na pewno. Nie ma potrzeby myśleć o najgorszym, bo wasze mamy już to wykluczyły. Myślę, że ktoś porwał waszych tatusiów albo w inny sposób powstrzymuje ich przed powrotem do domu. Czyli trzeba będzie ich odbić.

– Mamy Nikitę! – zawołał Michał, unosząc triumfalnie ręce.

– No właśnie, mamy Nikitę. Ona ich znajdzie i odbije. A źli ludzie, którzy ich porwali, pożąają, że zrobili coś tak głupiego – zapewnił Rafał.

Był tak spokojny i pewny, że wszystkie inne wersje wydarzeń wydawały się po prostu niewiarygodne.

– A my? Co my będziemy robić? – zapytał Marcin posępnie.

– Absolutnie nic – powiedział Rafał i na chwilę stracił poparcie gromadki, więc wyjaśnił: – Jesteśmy słabością naszego stada. Nic na to nie poradzimy i musimy wziąć to teraz pod uwagę.

To, że nie powiedział „jesteście”, ale uczciwie „jesteśmy”, wyraźnie trafiło do dzieciaków. Anna czuła, że słuchają i są gotowe ulec argumentom Rafała, jeśli te będą przekonujące.

– Gdybyśmy wpadli w ręce wroga, mógłby zmusić waszych rodziców do zrobienia wszystkiego, czego nie chcą robić. Dlatego naszą najważniejszą misją w tej przygodzie jest nie dać się złapać. Musimy być bezpieczni, by mamy mogły się skoncentrować na czarowaniu. Ja mogę wam zrobić kanapkę czy ugotować zupę, zawiązać sznurowadło czy nakleić plasterek na kolano, mogę nawet urządzić wam turniej gier, ale nie potrafię rozmawiać z wiatrem, by mi zdradził ploteczki, ani nie umiem zakłębem namierzyć zgubionego przedmiotu. Jestem super, ale nie jestem wiedźmą. Całkiem jak wy. To jest więc nasze najważniejsze zadanie: nie przeszkadzać mamom. Zrozumiały? – zapytał Rafał i czekał na reakcję.

Dzieciaki wymieniły spojrzenia, nawet te najmłodsze. W końcu Sara, najstarsza z dziewczynek, powiedziała:

– Zgoda, ale mamy swoje warunki.

– Jakie? – zapytał Rafał poważnie.

– Nie jesteśmy dziećmi. A nawet jeśli niektórzy z nas wciąż są, mamy prawo wiedzieć, co się dzieje. Będziemy z tobą współpracować, wujku, ale nie będziesz przed nami ukrywał informacji. Mama i ciocie myślą, że tak jest lepiej, ale wcale nie jest.

– Jasne, żadnego ukrywania – obiecał Rafał, unosząc dwa palce.

– I nie będziemy przesadzać z tą grzecznością – odezwał się Pawełek. – Żadnego siedzenia na pupie przez dziesięć godzin, bo wybuchnę!

– Jesteśmy zmiennokształtnymi – powiedział Rafał, jakby to wszystko wyjaśniało.

W gruncie rzeczy tak właśnie było.

– Umowa stoi – stwierdził Marcin, a reszta przytaknęła.

Sasza podeszła do wujka i wyciągnęła ręce do góry. Kucnął i mocno ją przytulił.

– Chciałaś coś jeszcze powiedzieć, robaczku? – zapytał, przeczesując jej mokre włoski.

– Chciałam tylko tulinka – odpowiedziała, po czym wróciła na swoje miejsce koło Anny. Położyła głowę na jej kolanie i przysnęła.

I takie właśnie były zmiennokształtne dzieci.

VI

Dom wydawał się za mały dla tych wulkaników energii. Nawet rozległa powierzchnia bocianiego gniazda nie mogła ich pomieścić. Jedno było dla Rafała oczywiste – nie może dopuścić, by się nudziły, bo cały plan weźmie w łeb. Mimo ich woli współpracy, jeśli zaczną się bić, ciągnąc za włosy czy przezywać, szybko zapomną, że miały nie przeszkadzać. Za chwilę będą wołały mamy, by mediowały w sporach i pomagały zaprowadzić sprawiedliwość. I w krótkim czasie zaufanie, którym obdarzyły go szwagierki, przetrze się na szwach.

Miał sprzymierzeńca – trampolinę, ulubiony sprzęt rodziców zmiennych dzieci. Nic nie pozwalało tak dobrze radzić sobie z nadmiarem energii i potrzebą ruchu jak trampolina. Taką samą pamiętał z dzieciństwa. To nie przypadek, że nawet na zimę Gloria jej nie zdemontowała.

– Turniej pasikonika! Zbiórka koło trampoliny – zarządził, kiedy zauważył pierwsze objawy zniecierpliwienia nad układankami i gramami, zajmującymi jego bratanice i bratanków przez ostatnie dwie godziny.

Jeszcze nie znali zasad, nie wiedzieli, co znaczy „turniej pasikonika”, ale już byli na tak. Coś nowego! Pędem zbiegali na dół i wypadali przez taras na podwórko, podskakując z ekscytacji.

Zasady turnieju były proste: wygrywa ten, kto najdłużej zdoła skakać na trampolinie.

– Masz tu chłopców, porzygają się, ale będą chcieli przeskoczyć braci i kuzynów – szepnęła Anna.

– Racja. Najważniejsza zasada – odezwał się głośniej. – Każda minuta to dodatkowy punkt, ale kto zwymiotuje, traci sto punktów.

– Ale to czasem nieuniknione! – zaprotestował Paweł. – Jak się skacze, to śniadanko też skacze!

– Więc jak poczujesz, że jest bliskie wyskoczenia, schodzisz z trampoliny. Może dostaniesz mniej punktów, niż gdybyś sobie jeszcze troszkę poskakał, ale nie stracisz setki – odpowiedział Rafał.

Anna tylko pokręciła głową i na kartce, umocowanej na podkładce, którą jej wręczył, wypisała imiona wszystkich małych Rudeckich, by móc zanotować im czasy. Rafał włączył stoper i zabawa ruszyła.

Żołądek Anny robił fikołki nie mniejsze niż wywijane przez Pawła, Michasia, Szymka i Darka, którzy wdrapali się na trampolinę jako pierwsi. Nie była pewna, czy wkrótce sama nie będzie musiała sobie odjąć stu punktów. Sara i Marcin przyciągnęły ratanowe meble z tarasu, więc usiadła w fotelu i czekała w gotowości, by zapisać wyniki.

W którymś momencie jej uwagę przykuł jakiś ruch i plama ciemniejszego koloru. Czyżby nad domem Rudeckich leciała wiedźma na miotle? A może tutejsza woda jest bogata w halucynogeny?

*

Najwyraźniej jej się nie przywidziało. Nad kominem unosiła się wiedźma, siedząca bokiem na miotle. I to nie jakaś przypadkowa wiedźma, ale całkiem swojska.

– Mama czasem tak robi, jak musi porozmawiać z wiatrem – powiedział Szymek spokojnie. Przysiadł się do Anny na ławce, czekając na swoją kolej na trampolinie.

No jasne, nie ma lepszego sposobu na ucinanie sobie pogawędek z wiatrem niż latanie na miotle kilkanaście metrów nad ziemią. Wiatr z pewnością był rozmowny, bo nagle się wzmógł. Ciepły i zimny, porywisty i łagodny – zdawał się ściągać zewsząd, byle tylko otrzeć się o Głorię jak złakniony głasków kociak. No tak, normalka, pomyślała Anna.

Wiedźma była w swoim żywiole. Szeroka spódnica łopotała na wietrze jak żagiel, kręcone włosy unosiły się puchatą chmurą wokół odrzuconej w tył głowy. Jak zauważyła Anna, gospodyni właściwie nie latała, ale unosiła się w powietrzu niczym zawieszony nad kominem latawiec.

– Długo to zwykle trwa? – zapytała Szymka, starając się nie dać po sobie poznać niepokoju.

– Tyle, ile musi. Jak się dowie wszystkiego, co chce wiedzieć, wylądzuje na trawniku. To jest trochę dziwne, ale można się przyzwyczaić. Ona mówi, że dziwne to jest obrastanie futrem i gonienie własnego ogona, a nie rozmawianie z żywiołami.

Anna kiwnęła głową, ale nie mogła oderwać wzroku od Glorii. Jej instynkt strażacki popychał ją do działania.

– Wszyscy jesteśmy dziwni, jeśli stosujemy bardzo wąską definicję normy – przyznała.

*

Tumiej pasikonika trwał bite dwie godziny, a potem żołądki dzieci przestały robić fikołki i rysięta jednogłośnie orzekły, że są głodne. Rafał i Anna sprawnie przygotowali im posiłek. Ryś zaniósł talerz z kanapkami także Eufemii i Rebecce, które w salonie wertowały księgi i były ledwie przytomne ze zmęczenia.

Gloria wciąż tkwiła nad kominem, a wiatr wznagał się z godziny na godzinę, jakby bardzo chciał dać jej wszystkie odpowiedzi. Anna nie była oswojona z taką ilością magii. Jej przeczulone zmysły odbierały każdy bodziec, z którym się teraz stykała, jako zagrożenie. Co jakiś czas wyglądała na taras i zadzierała głowę, sprawdzając, czy z Glorią wszystko w porządku, choć Eufemia ją zapewniła, że wiedźma znakomicie kontroluje sytuację i dopóki nie sięgnie do linii za głęboko, nie ma powodu do niepokoju.

– A w jaki sposób poznamy, jeśli tak się stanie? – zapytała Anna nerwowo.

– Och, trudno to przewidzieć – odparła Eufemia i wróciła do własnego czarowania.

Początkowo wielkie mapy miała rozłożone na podłodze, ale pełzanie wokół nich z ogromnym brzuchem nie było najłatwiejsze, więc Rafał przesunął jej stół z jadalni głębiej do salonu. Rozłożyła na nim mapy i przeprowadzała jakieś skomplikowane rytuały ze świecami, wahadełkiem, krwią i magnesem.

Rebeka, jako wiedźma kabalistyczna, głównie czytała: stare księgi, zwoje, zakurzone notatniki pachnące dymem i ziołami. Niby nic bardzo magicznego, ale kiedy Anna podeszła bliżej, by podać jej kubek z herbatą, poczuła, jak włoski na ciele stają jej dęba, a żołądek ściska się w supeł, jakby znów nadchodziła czkawka. Poczuli się nieswojo.

Wiedźma spojrzała na nią ciemnymi, mądrymi oczami, które zdawały się widzieć zbyt wiele, i powiedziała:

– Moja magia nie zrobi ci krzywdy. Nawet cię specjalnie nie zaczepia, po prostu jesteś bardzo wrażliwa i jeszcze się z nią nie oswoiłaś. Wars musi być dla ciebie sporym wyzwaniem.

Anna przyznała w duchu, że tak właśnie jest.

– Przykro mi, że nie mogę w żaden sposób pomóc – powiedziała cicho.

– Dzięki temu, że zajmujecie się dzieciarnią, mamy wolne ręce i głowy, by sięgnąć po wszelkie dostępne środki. Nie myśl, że tego nie doceniam. Za herbatę i kanapki też dziękuję – powiedziała i uśmiechnęła się ciepło do wilczycy.

Wiatr wył coraz głośniejsze, jakby nadciągała potężna burza. Anna jako strażaczka na wszystkie intensywne zjawiska pogodowe patrzyła z niepokojem, obliczając ryzyko. Najchętniej ściągnęłaby dzieciaki z trampoliny (Jakim cudem znowu miały na nią siłę? I jakim cudem te kanapki nie wyskakują im z napchanych brzusków?), ale Rebeka, która wyszła na taras i rozciągała zeszytowane mięśnie pleców, powiedziała:

– Wiatr nie zrobi im krzywdy. Wie, że to dzieci i rodzina Glorii. Nawet gdyby rozpętał się huragan, byłyby najbezpieczniejszymi dziećmi w okolicy. Jeśli Gloria nie weźmie za dużo, nie powinno być problemu.

– Co to właściwie znaczy? – dopytała Anna.

– By przeprowadzić rytuał, czerpie z linii magicznych. Linie w tym mieście są nieco... nietypowe. Wiesz o odcięciu?

– Wiem, że w czasie wojny, wskutek potworności, które miały tu miejsce, doszło do skażenia linii magicznej – odparła ostrożnie Anna. Pamiętała co nieco ze szkoły, ale nie pomyślała, by przed wizytą w magicznym mieście zajrzeć do podręczników historii. – Doszło do odcięcia, które zmieniło Warsa i Sawę w to, czym są dziś.

– Tak właśnie. Za sprawą odcięcia tutejsze linie magiczne są inne niż w całym kraju i poza nim. To poniekąd zamknięty obieg. Czerpanie i oddawanie magii podczas rytuałów zwykle przebiega dosyć harmonijnie, ale gwałtownie skoki w jedną czy w drugą stronę wymagają wyrównania ciśnienia. A to nie zawsze idzie płynnie. Między innymi dlatego nękają nas czkawki.

– Czy nadciąga kolejna? – zapytała Anna, czując, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Nie wiem. Tu rzadko można być czegośkolwiek pewnym. Ale sezon wiosenny najwyraźniej już się zaczął. Aktywność Glorii może to zwielokrotnić.

– Jak można tak żyć? – zapytała Anna. Zaciskała i rozluźniała pięści, nie rejestrując tego, że jej ciało szykuje się do walki.

Rebeka uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

– Ryzyko jest spore, ale i nagroda wielka. Z każdym rokiem w Warszawie Gloria jest potężniejsza, magia tego miasta ją kocha i potrzebuje jej mocy. Odwdzięcza jej się po swojemu. To jest relacja, trudna i wymagająca, ale czyż wszystkie relacje, które są czegoś warte, nie są właśnie takie? Wiedzmy znoszą dla magii dużo gorsze rzeczy. Gdzie indziej, by dojść do takiej potęgi, pewnie musiałyby sięgać po czarne zaklęcia.

– Dlatego postanowiłaś się tu sprowadzić? Mimo czkawki, mimo reputacji tego miasta?

Rebeka pokręciła głową.

– Nie planowałam tego. Ale Tadek po przejściu na emeryturę potrzebował impulsu, by znów poczuć się dobrze ze sobą. Wars jest w tym niezły, w wabieniu szansą i obietnicą zmiany. I nie kłamie. Tu jest inaczej.

– Bez wątpienia – szepnęła Anna, wpatrując się w unoszoną podmuchami wiatru Głorię, na której twarzy widziała mieszankę euforii i frustracji.

Wiatr wciąż się nasilał. Na horyzoncie pojawiły się ciemne chmury i ciągnęły do wiedzmy jak opyłki żelaza do magnesu.

*

Choć Rebeka zapewniała Annę, że wiatr nie zrobi dzieciakom nic złego, wilczyca poczuła się spokojniejsza, kiedy kolejną aktywnością, jaką wymyślił dla rysiąt Rafał, był seans filmowy w bocianim gnieździe. Znała już większość piosenek z *Krainy lodu* i była na bieżąco z przygodami Spider-Mana, kiedy usłyszała głos Rebeki wołający ich na dół. Dzieciaki zbiegły po schodach jak stado kucyków i wypadły na taras, gdzie stała wiedzma. Zadzierała głowę i opierała dłonie na biodrach.

– Wszystko w porządku? – zapytała Anna.

Rebeka skrzywiła się lekko.

– Miejcie na nią oko – powiedziała do rysiąt.

Ku zdziwieniu Anny, rysięta nie były ani troszkę zaniepokojone. Jakby robiły takie rzeczy już wiele razy. Obsiadły trawnik i taras, po czym także zadarły głowy i nie bacząc na wiatr, który targał ich rudymi lokami, wpatrywały się w Głorię z cichym skupieniem.

Anna nie wiedziała, na co właściwie czekają. Aż spadnie? Aż porazi ją piorun? Aż sama zacznie rozsiewać pioruny? Niebo pęknie na pół pod naporem tej magii i elektryczności, od której włosy podnosiły się Annie na całym ciele, a wilczyca nerwowo ocierała się o jej żebra?

Cała ta sytuacja daleko wykraczała poza jej strefę komfortu. Tymczasem mieszkańcy Warsa byli niewzruszeni. Jak choćby sąsiedzi Głorii, którzy wyszli przed dom, popatrzyli na wiszącą na niebie wiedznię, po czym niespiesznie zaczęli montować okiennice, które Marcin nazywał „antyczkawkowymi”.

Albo Nikita i Robin – prowadzili śledztwo, wpadali co jakiś czas, wymieniali się informacjami z wiedzmiami przebywającymi w domu, zerkali na Głorię, po czym wracali do swoich zajęć. Jakby nie zauważali wichury i wirujących kłębow magii. Dzień jak co dzień w tym przeklętym mieście! Dopiero pod wieczór wrócili na Kasztanową zaniepokojeni. Jakby, podobnie jak Rebeka, wyczuli coś, co umykało Annie.

Rudecka uznała, że „efekt Głorii”, jak nazywała te dziwaczne zmiany atmosferyczne wokół domu, nie jest zjawiskiem o zasięgu ograniczonym do najbliższej okolicy. I nie, to nie był tylko wiatr. Wiedzma powietrza zaczerpnęła z magicznych linii tak mocno, że teraz trzęsła Warsę i stanowiła dla niego realne zagrożenie.

– Mam nadzieję, że nie rozpętała tej burzy i czkawki nadaremno i znajdzie odpowiedź, których my nie znalazłyśmy – powiedziała Rebeka z niepokojem w oczach.

Instykt Anny podpowiadał jej, że powinny czym prędzej wracać do domu. Wokół Głorii utworzyło się małe tornado, wicher znosił jej kawałki dachówek, deski, połamane gałęzie i strzępy plandeki. Tyle że nikt poza Anną się tym nie zamartwiał. Poważniejszym zagrożeniem było coś, czego nie widziała, ale wszyscy lokalsi wydawali się to jakoś wyczuwać piątym zmysłem – zaburzenia mocy.

Mali zmienni rozumieci, że stawką w tym całym intensywnym procesie jest życie tatusiów. I może nie odziedziczyli po mamach zdolności magicznych, ale zdawali sobie sprawę, jak działa magia sympatyczna, i próbowali zmienić los na korzyść porwanych, odstawiając buzującą od mocy pantomimę, w której pokonywali nieznanego im z imienia złoczyńcę trzymającego ich ojców i wujków. Michał, który wziął na siebie rolę zła, konał teraz w teatralnych konwulsjach, uwalniając rysie ostatnim zrywem woli.

Nawet Anna, nieszczególnie wrażliwa na magię – nie licząc tej warszawskiej – potrafiła wyczuć zmiany atmosfery. Odbierała frustrację Głorii i wiatru, który najwyraźniej nie potrafił dać wiedzmi

odpowiedzi, choć chciał się jej przypodobać. Pioruny rozcinały niebo ostrymi liniami gniewu, a grzmoty przetaczały się, huczące i potężne, jakby w stronę domu zmierzała lawina śniegu i głazów. Apokaliptyczne odgłosy wywabiły wszystkich na zewnątrz, tak jakby instynkt działał u nich całkiem na opak. Nawet Eufemia, z poszarzałą od zmęczenia twarzą, pachnąca krwią i woskiem, wyszła na taras. Ona pierwsza wyczuła zmianę.

– Uwaga! – krzyknęła sekundę przed tym, jak wszystko zamarło.

Miotła spadła na dach i z turkotem potoczyła się na ziemię. Gloria znieruchomiała w powietrzu jak ukrzyżowana czystą mocą i wiatrem, jej głowa bezwładnie zwiślała. Rafał błyskawicznie wspiął się po rynnie na dach. Ten sam facet, który w domu potrzebował drabiny, by wyczyścić rynnę z liści, teraz biegał po dachu, szybki i zwinny. Niestety wciąż był za nisko, by dosięgnąć Glorii, która znajdowała się dobre sześć metrów nad kominem.

Nagle zaczęła spadać. Dla Anny czas zwolnił. Docierały do niej krzyki rysiów, Nikity, Robina przeskakujących przez płot i wiedźm, ale całą uwagę skoncentrowała na Glorii, jakby siłą woli mogła ją zatrzymać, nim uderzy o ziemię.

Wiatr wrócił w ułamku sekundy. Otulił wiedźmę, wydał jej spódnicę jak balon i spowolnił spadanie tak, że spływała ku ziemi niczym jesienny liść. Anna schwyciła ją, zanim sięgnęła gruntu, i nieprzypadną wniosła do domu. Głowa Glorii opadała w tył, odsłaniając trupio bladą twarz i nabrzmiałe z wysiłku żyły na szyi i skroniach.

Wilczyca ułożyła wiedźmę na kanapie i nie wiedziała, co dalej. Gloria oddychała, słabo, ale regularnie, a jej omdlenie było całkowicie magiczne. Szkolenie z pierwszej pomocy nie uwzględniało ratowania wiedźm, które przesadziły, czerpiąc magię ze skażonych linii magicznych. Na szczęście nie była sama. Pewność i opanowanie, z jakimi nieprzypadną szwagierką zajęły się Eufemia i Rebeka, nieco ją uspokoiły.

Na zewnątrz rozpełtało się piekło. Burza przeszła w huragan, pioruny rozcinały niebo, grzechotały o dach i piorunochron, jakby prowokowały Glorię i czekały, aż wyjdzie się pobawić. Potężne grzmoty trzęsły szybami w oknach, a lej wypełniony wszystkim, co wiatr zdołał zebrać, wirował po podwórku i na ulicy. Anna z obawą zerkła w okno. Co zrobi żywioł, jeśli Gloria szybko nie oprzytomnieje? Do domu wkroczyli Nikita z Robinem i od razu się zorientowała, że mają te same obawy.

Gloria powoli odzyskiwała przytomność. Jęczała z bólu, zaciskając dłonie na pulsujących skroniach. Plakała, przelinała i wyrażała bogom, ale żyła. Teraz czekało ją obłąkanie żywiołów.

Rafał dał dzieciakom umówiony sygnał i szybko przeniósł się na piętro. Anna automatycznie poszła za nimi. Była wstrząśnięta i opieka nad dziesiątką młodych rysiów nagle wydała się jej miłym i spokojnym zajęciem w porównaniu z tym, z czym mierzyły się wiedźmy. We wczesnym dzieciństwie żałowała, że ma tylko magię zmiany kształtu. Wyobrażała sobie, jak super byłoby mieć magię ognia czy wody. Ostatecznie została strażaczką, na swój sposób kontrolowała ogień i wodę. Dziś autentycznie się cieszyła, że jedyna magia, jaką w sobie nosi, to magia zmiennokształtnych. Była dużo mniej... żywiołowa niż ta, którą dysponowała Gloria.

– Kolejno odlicz – zarządził Rafał. Musiał się przekonać, czy w powstałym zamieszaniu żadne z rysiąt nigdzie się nie zawieruszyło.

Dzieciaki odliczali od jednego do dziewięciu, a Milenka machała pulchnymi łapkami jako dziesiątą. Anna zauważyła, że jej narzeczony odetchnął z ulgą.

Michał podszedł do Anny, jakby wyczuł jej zdenerwowanie, i pogłaskał ją po ręce.

– Nie martw się, mamie nic nie będzie. Tatuś zawsze mówił, że dopóki klnie, wszystko jest w porządku. Dopiero kiedy jest cicho, są powody do niepokoju.

– To nie był pierwszy raz? – zapytała.

– No co ty – pokręcił głową – wiedźmy powietrza tak mają.

– I tak lepsze powietrze niż woda – dodała poważnym tonem Sara. – Mama mojej koleżanki, żeby rozmawiać z wodą, musi się prawie utopić. Jej asystent stoi ze stoperem przy wannie, żeby ją wyciągnąć, zanim jej mózg umrze. Magia jest pokrecona.

Anna zamruwała w szoku. Nawet biorąc pod uwagę to, jak jej wilczycę czochrała magia Warsa, najgorszym, co mogło ją spotkać, była niekontrolowana przemiana.

Kiedy wiatr ucihł, a burza przeszła w miękką deszcz, który uderzał teraz rytmicznie o dachówki, dzieciaki wiedziały, że sytuacja jest opanowana, a Gloria dogadała się z żywiołem. Rafał zszedł na dół na przespziegi. Wrócił po dłuższej chwili i powiedział:

– Mamy mają poważną naradę, więc im nie przeszkadzajmy i nie nadstawiamy ucha. Co powiecie na tosty i zupę pomidorową na kolację?

I najwyraźniej to było wszystko, czego rysięta potrzebowały do szczęścia. Zjadły we względnej ciszy i najedzone wróciły na poddasze. Ogłosiły dzień trolla i odmówiły wieczornego mycia. Wkrótce

pokładały się do snu, ukołysane szumem deszczu i bajkami, które starsze dzieci czytały młodszym.

Anna była wykończona. Każdy dzień w Warsie zdawał się trwać tydzień i to nie opieka nad dziesiątką młodocianych zmiennokształtnych dawała jej w kość najbardziej!

Nie zeszli z Rafałem do przydzielonej im sypialni. Nie miało to sensu, skoro i tak dzieciaki w nocy przyszyby do nich w futrzanej formie. Rafał przyniósł na poddasze ich poduszki i kołdrę, po czym ułożyli się na jednym z materaców.

Anna mimo zmęczenia nie potrafiła zasnąć. Dzięki temu odkryła, że rysięta zasypiały w ludzkiej formie, ale potem nawiedzały je koszmary i wszystkie zaczynały przerażone jęczeć i pisać przez sen, po czym puff! – zmieniały się w puchate kulki. Nawet nastolatki. Marcin, Sara i Szymek, choć za dnia wydawali się nieźle radzić sobie ze stresem, przed trzecią w nocy wtulali się w Rafała w swojej futrzastej, kociej postaci.

Serce jej się kroilo. Czuwała, by cała ta rysiowa klika była bezpieczna. Poczula, że z bratankami Rafała łączy ją autentyczna więź. I gdyby którykolwiek z dziecięcych koszmarów zmaterializował się i przyszedł po dzieciaki, trwała tu, by go rozszarpać na strzępy. Pochrapywanie Rafała i kociąt nagle okazało się melodią, której brakowało w jej dotychczasowym życiu.

To miasto ją zmieniało, co do tego nie miała wątpliwości.

VII

Do trzynastej siedemnaste Anna była przekonana, że radzą sobie z czeredą kociaków znakomicie. Jak nic przyznałaby sobie i Rafałowi maksymalną liczbę punktów w kategorii „opieka nad stadkiem rysiów”. Dzieci były czyste, najedzone, bawiły się świetnie. Rafał okazał się niewyczerpanym źródłem pomysłów na gry, quizy, poszukiwanie skarbów. Żonglował potrzebami nastolatków i maluchów, nosząc Milenkę w chuście. Gdyby nagle wyrosły mu dodatkowe ręce albo hydrauliczne macki, jak w komiksach, Anna nie byłaby zaskoczona.

O trzynastej dwadzieścia jej ocena w kwestii ich sprawnej opieki ostro zapikowała i wyrznęła nosem w podłogę. Nie mogła się doliczyć dzieciaków. Brakowało Pawelka. Lat dziesięć, metr pięćdziesiąt trzy, prawie pięćdziesiąt kilo wagi, rude kręcone włosy, piegi, zielone oczy. Ostatnio widziany około południa. Ubrany w zielone spodnie od dresu, bluzę z kapturem w czarno-czerwone paski, czarne adidasy. Podstawowe fakty, gdyby musiała je podać policji.

Koło południa, kiedy Anna po raz ostatni liczyła rysięta, był, skubaniec mały. A teraz wyparował. Próbowала sobie przypomnieć, czy rzucił jej się w oczy w trakcie minionej godziny, ale nie potrafiła przywołać żadnego obrazu. Co samo w sobie wydało się jej podejrzane, bo Pawełka nie dało się nie zauważyć – klasyczne zmienne dziecko, żywiołowe, głośne, nader skore do psot i łobuzerki.

Przepyтали z Rafałem dzieciaki – bez rezultatu. Wydawały się szczerze, gdy mówiły, że nie wiedzą, gdzie jest Pawełek ani czy coś planował. Bo tego właśnie obawiała się Anna – że młodemu odbiło, jak wcześniej Rafałowi, i postanowił iść poszukać taty i wujów. Sara i Mania wykluczyły taką opcję, wiedziałyby, w końcu były jego siostrami! Anna dyskretnie wzięła na stronę Darka i Szymka, zbliżonych wiekiem do Pawelka. Zaklinali się, że gdyby miał taki plan, zabrałby ich ze sobą. W desperacji podpytała też Michała, bo ta mała cholera wydawała się mieć oczy dookoła głowy i uszy wielkie jak słoń. Ale tym razem cokolwiek się stało z Pawelkiem, umknęło Michasiowi.

Wszyscy byli zgodni co do jednego – jadł z nimi drugie śniadanie (ukradł pikla Saszy i dziabnęła go widelcem), ale czy po nim wrócił ze wszystkimi do bocianiego gniazda? Nie potrafili stwierdzić z całą pewnością.

– A jeśli porwał go ten sam pan, który zabrał tatusia? – Oczy Mani się zaszklily.

– Nic na to nie wskazuje, znajdziemy go, nie ma co się martwić na zapas – zapewnił Rafał.

– Powiemy mamie? – zapytała cicho Sara i popatrzyła na Annę z napięciem.

– Myślę, że nie ma co im teraz przeszkadzać, magia to nie przelewki. Nie ma sensu jej martwić, skoro nie wiemy, czy po prostu się nie schował – powiedziała Anna. Od rana omijała salon, w którym urzędowały wiedźmy, bo powietrze było tak gęste od magii, że zaczynała się trząść jak osika. Była niemal pewna, że wylapała aromat siarki i dymu, choć nie widziała śladów ognia.

– Mógł się schować! – podłapał Marcin.

– Schował się i zasnął, nawet nie wie, że się martwimy – podrzucił Szymek.

– Dobra, zanim zaczniemy panikować, przeszukajmy cały dom – zarządził Rafał.

Byli bardziej skrupulatni niż policja w czasie rewizji domu barona narkotykowego. Szafa, schowek, łóżko, skrzynia, piwnica, stos poduszek czy jakiegokolwiek pomieszczenie w domu – nic nie zostało pominięte. Lecz po Pawle nie było śladu. Jakby się rozplynął.

Było jeszcze coś, co Anna mogła zrobić. Nie uśmiechało jej się to – byli przecież w Warszawie – ale nie widziała innego rozwiązania. Zawołała Rafała do ich sypialni.

– Zmienię się i spróbuję go wywąchać – oświadczyła, ściągając buty i skarpetki.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zapytał cicho.

Och, wiedziała, że to fatalny pomysł. Magia tego miasta nieustannie ją podrażniała. Nie było co prawda tak źle jak pierwszego dnia, ale cały czas czuła, jak na nią naciska, napiera, ociera się o nią szorstkim jeżorem.

– Mamy lepszy? – odpowiedziała pytaniem. – Jeśli poszedł szukać ojca, wywącham go. Jeżeli ktoś wszedł na nasze terytorium albo wywabiał chłopca poza jego granice i go porwał, wyniucham obce zapachy.

Rafał niechętnie przyznał jej rację. Patrzył, jak rozbiera się szybko i metodycznie, a potem klęka na dywanie i zaczyna przemianę. Nie była piękna ani łagodna. Wilczyca bała się, że ugrzęźnie w połowie, bo cała ta cholerna magia napierała na nią nieustannie i paliła jej zmysły żywym ogniem. Anna zaciskała zęby, by nie skowyczeć z bólu i nie straszyć dzieciaków, dla których nie było nic łatwiejszego niż przemiana – puff i mają futro. Jej zajęło to długie minuty bólu i potu. Po wszystkim leżała dłuższą chwilę na podłodze, a jej mięśnie wciąż drżały z wysiłku. Popiskiwiała, ciężko oddychając. Wreszcie dźwignęła się na nogi, podeszła do Rafała, który siedział po turecku z zatroskaną miną, i szturchnęła go nosem.

– Wszystko w porządku? – szepnęła.

Pokiwała głową i postukała łapą w podłogę. Musieli iść!

– Potrzebujesz jego ubrania jako tropu zapachowego? Cholera, mogłem zapytać o to wcześniej!

Kiwnęła głową z wyraźnym rozbawieniem. Rafał otworzył drzwi do pokoju i zastał na progu całą chmurę rysiąt. Wpatrywały się w Annę z płonącymi ciekawością oczami.

– Jak prawdziwy! Tylko większy! – powiedział z zachwytem Michaś.

– Potrzebujemy czegoś, co nosił Paweł, czegoś, co pachnie tylko nim – oznajmił Rafał. – Czyli odpadają rzeczy z kosza na pranie.

Mania zniknęła w jednym z pokoiów, po czym wróciła, niosąc piżamę z Kapitanem Ameryką i parę zwiniętych w kulkę zielonych skarpetek.

– Jakby on kiedykolwiek wrzucił swoje ciuchy do kosza na pranie – prychnęła.

Rafał podetknął Annie ubrania pod nos. Przez chwilę zapamiętywała zapach, dzieliła go na warstwy i poszczególne części składowe. Był podobny do zapachu dzieci, które ją otaczały, ale wystarczająco odmienny, by mogła go zidentyfikować. Obeszła dom, obwąchując każde miejsce, które pachniało Pawelkiem. Potem zeszła na parter i stanęła przed drzwiami frontowymi, czekając, aż Rafał je otworzy. Nie chciała porysować ich pazurami.

– Czemu Anna jest wilkiem? – usłyszała za sobą zaniepokojony głos Glorii. Choć od rana siedziała zakopana w grumiarach, musiała usłyszeć stukanie pazurów o drewniane stopnie.

– Taką się urodziła. Jej rodzice byli wilkami, staram się nie brać tego za złą monetę – odpowiedział Rafał.

Szwagierka zmierzyła go spojrzeniem, wyraźnie sygnalizując mu, że nie jest tak zabawny, jak mu się wydaje.

– Chciałem zobaczyć wilka! – zawołał ze schodów Michaś. – Jest śliczna, prawda?

– A teraz będziemy jeździć na wilku! – dorzuciła podekscytowana Masza.

– Tylko na podwórku, żeby się nic nie stłukło – dodała Sasza.

Anna wywaliła język i posapywała rozbawiona.

– Czyli to nie magia ją do tego zmusiła? – upewniła się Gloria.

– Chyba że magia rysia – odpowiedział Rafał i nacisnął klamkę, wypuszczając Annę na zewnątrz.

– Lepiej, by nie opuszczała naszych kregów ochronnych w tej formie. Nie wiem, jak zareaguje na magię miasta – dorzuciła Gloria i wróciła do lektury.

Rafał myślał podobnie, choć nie był pewien, czy nie zostaną do tego zmuszeni. Nie przyznał się, ale miał naprawdę złe przeczucia.

*

Zapisany w jej głowie zapach był świeży i wyraźny. Doszła do furki i bramy, obwąchała je starannie, nawet polizała klamkę, a potem nacisnęła ją łapą, zwalniając mechanizm, by móc powąchać wejście z drugiej strony. Ani śladu zapachu Pawelka.

Wyczuwała liczne warstwy, wyraźniejsze i mniej wyraźne, głównie starsze, ale Paweł na pewno nie naciskał tej klamki ani nie przelazł przez ogrodzenie w ludzkiej ani zwierzęcej formie. Sapnęła rozczarowana.

Zawróciła na podwórko i zaczęła obwąchiwać ziemię centymetr po centymetrze. Rafał trzymał rysie na dystans, by nie mieszały jej tropów. Tu odnalazła sporo śladów zapachu Pawła, tyle że okazały się starsze. Zostawione już po deszczu i burzy, raczej rano niż w ciągu godziny.

Wilczyca skupiała się nie tylko na nim, ale też na wszelkich obcych zapachach. W pewnej chwili zatrzymała się na trawniku za tarasem, wsadziła nos w przywiędłą trawę i kichnęła. Poczowała ukłucie niepokoju. Nie potrafiła sklasyfikować zapachu, ale uznała go za zagrożenie.

– Kelpie – przypomniała jej Anna. – Tu się wykrwawiał.

Po tym, jak wywlekli truchło na ulicę, skąd kilka godzin po czkawce zabrały je wraz z resztkami pozostałych potworów służby miejskie, Rafał splukał trawnik szlauchem, jednak została kwaskowata woń krwi i nieznannej magii, rozcieńczona, ale rozpoznawalna jako coś obcego.

Wilczyca kłapnęła zębami. Nie lubiła potworów. Anna wyczuła jej tęsknotę za ich miasteczkiem, znanymi zapachami i zagrożeniami, z którymi radziła sobie z łatwością. Obwąchiwała taras i huśtawkę, meble ogrodowe i zabawki porzucone na trawniku. Gdy doszła do trampoliny, znów kichnęła. Obeszła ją, wcisnęła łeb pod pas plandeki, otaczający stalową podstawę i naciągi. Tym razem kichnęła jeszcze mocniej. Tu było. Złe, kwaśne, z wody!

– Kelpie? – podpytała Anna w myślach wilczycę.

– Nie to. Inne. Podobne – odpowiedziała i ponownie kichnęła. Magia potwora oblepiała jej nos i wilczyca potarła go łapami, by pozbyć się lepkiego osadu.

Teraz bez trudu wywęszyła na trawniku ślady intruza. Skradał się, chował za trampoliną i wysoką siatką, przeciskał się między szopą na narzędzia a ogrodzeniem. I wykopał dziurę!

Otwór był wystarczająco duży, by zdołało się przecisnąć sporych rozmiarów stworzenie. Biegający od niego przekop prowadził w kierunku muru oddzielającego posesję Glorii od tej znajdującej się przy równoległej ulicy, o czym świadczyły kopczyki ziemi leżące po obu jego stronach.

Wilczyca odstłoniła zęby i głośno warknęła, wyczuwając drugi zapach. I trzeci, który sprawił, że najeżyła się i głuchy warkot się wzmógł. Krew.

Rozpoznanie dotarło i do Anny. Wilczyca bez namysłu wsadziła głowę w tunel i zaczęła przechodzić na drugą stronę, kiedy ktoś zacisnął pięść na jej futrze i wyciągnął ją z powrotem. Kłapnęła zębami i w tym samym momencie rozpoznała zapach Rafała. Partner, nie gryźć. Próbowana się wyslizgnąć z jego uchwytu, ale trzymał ją mocno, jakby od tego zależało jego życie. Warknęła, on jednak pokręcił głową i powiedział:

– Nie mozesz tam iść.

– Nie rozumiał! Tam był potwór! I miał kociątko! Wyczuła zapach krwi i futra! Musiała iść, zabić potwora, odzyskać dzieciaka! Znów kłapnęła zębami i pisnęła, by pojął, że to ważne.

– Tam są magiczne pułapki! Właściciel jest szalony i nie znosi obcych na swoim terytorium. Dzieci mówią, że jeśli nie zabiją cię pułapki, to on cię zastrzeli.

Zesztywniała w jego uchwycie.

– Musimy to zaplanować, a nie odstawiać akcję „Wilk kamikadze rzuca się na terytorium strasznego czarownika” – tłumaczył, głaszcząc ją między uszami wolną ręką.

Nie wrywała się. Wcale nie uśmiechało jej się umierać. Nie zostawi partnera samego w tym mieście. Musiał bezpiecznie wrócić do domu. Tu Anna i wilczyca były zgodne.

*

Przemiana z powrotem w dwunożne stworzenie zabrała jej więcej czasu niż zwykle i kosztowała sporo wysiłku. Jakby robiła coś niezgodnego z naturą. W końcu jednak leżała na dywanie w sypialni w swej ludzkiej postaci, naga, spocona i drżąca. Oddychała ciężko i z zamkniętymi powiekami czekała, aż magia przestanie iskrzyć się na jej ciele, a bijące jak u spłoszonego królika serce się uspokoi.

Rafał przykrył Annę miękkim kocem i powstrzymywał dzieci przed dotykaniem jej, póki cały proces się nie skończy. Wiedział, że dla wilków przemiana jest bardziej brutalna niż dla rysiów, dłużej utrzymuje się nadwrażliwość zmysłów, więc nawet zwykły dotyk może sprawić ból.

W końcu Anna głęboko odetchnęła i wykrztusiła:

– Ja pierdołę.

Otworzyła oczy, spojrzała na Saszę i Maszę i zagroziła:

– Powtórzcie to mamie, a wyprę się wszystkiego i powiem, kto zalał soki kanapę i przykrył płamę poduszką.

Dziewczynki zachichotały i przyłożyły paluszki do ust, po czym wykonały gest przekręcania kluczyka.

– Dobrze się czujesz? – zapytał zatroskany Rafał.

– Na ile to możliwe w tych okolicznościach. Wrzątek na gołą skórę i obdzieranie z niej żywca, nic, czego nie dam rady znieść – odpowiedziała i wyszczerzyła się w nieco szalonym, jego zdaniem, uśmiechu. Pomyślał, że są już w Warszawie nieco za długo.

– Więc co wyniuchalaś? – zmienił temat na bezpieczniejszy.

– Potwora. Takiego jak to kelpie, które przyszło po czkawce, ale to inny osobnik. Myślę, że wtedy przyszły dwa. Gdy Nikita dopadła samca, samica ukryła się pod trampoliną i czekała na okazję. Przekopała się pod murem i porwała Pawełka. Walczył. Czulałam krew jego i bestii. A potem mały przemienił się w rysia, na murze został strzępek futerka.

– Bystry chłopiec – przyznał Rafał. – W kociej formie jest twardszy i szybciej się goi. Ale jeśli jego obrażenia będą duże, zaśnie.

O tak, Anna wiedziała o tym doskonale – gdy Rafał dał się pobić i dźgnąć nożem, dosłownie leciał przez ręce.

– Krwi znalazłam niewiele, nie sądzę, by został poważnie ranny. Jest tam od niedawna, więc minęło około pół godziny. Musimy iść za tropem, póki jest świeży – naciskała.

– Zrobimy tak: zaczniemy od sprawdzenia, czy trop ciągnie się z drugiej strony terytorium czarownika. Dzięki temu dowiemy się, czy nadal tam są – zaproponował Rafał.

To miało sens.

– A jeśli nie opuścili domu? – zapytała. – Nie możemy liczyć na miłe stosunki sąsiedzkie?

Marcin pokręcił głową.

– Nie z nim. Gdy tylko się wprowadziliśmy, wybudował mur na granicy posesji, a kiedy zamieszkała tu Nikita, pociągnął go też wzdłuż jej działki. Nie lubi sąsiadów. I strzela na dzień dobry. Nawet listonosz przerzuca mu paczki przez płot bez wchodzenia na jego teren – wyjaśnił.

– Uroczy człowiek, ciekawe, co ukrywa – mruknęła Anna. Owinęła się kocem jak sarongiem, po czym zwinęła dresowe spodnie i bluzę w rulony i spakowała je do plecaka, który miał nieść Rafał. Dorzuciła majtki, skarpetki i buty. Bez stanika mogła się obejść, ale nie znosiła noszenia butów na gołe stopy. – Dobra, zmieniam się z powrotem i idziemy poniuchać. Jeśli Pawełek jest tak bystry, jak myślę, powinien zostawić nam trop.

Szykowała się na bolesną przemianę, ale tym razem poszła całkiem sprawnie i szybko, jak gdyby Wars wolał ją w wilczej formie. Strząsnęła z futra resztki magii i potruchtła do drzwi. Obróciła się w stronę rysiów i parsknęła ponaglająco, bo gapiły się na nią, jakby nigdy dotąd nie widziały wilka.

*

– Gdzie się wybieracie? – dopadło ich w progu pytanie Eufemii. Stała za nimi, obejmując dłońmi wielki ciężowy brzuch.

– Na lody – zaimprovizował Rafał. A taką miał nadzieję, że się wymkną niepostrzeżenie!

– Mamy za niski poziom cukru – dorzuciła Sara.

– I dostajemy klaustrofobii – dodał Marcin.

– Po prostu chcemy lodów – oznajmił rezolutnie Michaś, a Mania rzuciła ostateczny argument:

– Wujek stawia.

Eufemia uśmiechnęła się ciepło do szwagra.

– Dziękuję – powiedziała bezgłośnie.

Rafał zarumienił się po czubki uszu, bo kłamstwo natychmiast zaczęło mu ciążyć. Michaś ścisnął jego rękę i jakby czytając mu w myślach, szepnął:

– Jeśli po wszystkim pójdziemy na lody, to wcale nie będzie oszustwo.

Rafał spojrział na niego z nową uwagą. Może powinien zacząć odkładać kasę na kaucję? Ten dzieciak jak nic będzie ich kiedyś potrzebował!

VIII

Zgodnie z planem zamierzali dotrzeć do posesji czarownika okrężną drogą. Wilczycy zabrało chwilę przywyknięcie do magicznych zapachów, które kręciły ją w nosie. Dawno uprzątnięto ciała zalegające tu po czkawce, ale ona ciągle czuła ich zdegenerowaną, jakby rozkładającą się magię. Czuła zapachy mieszkańców ulicy i ostrzegawcze drżenie mijanych kręgów ochronnych, jak gdyby to ona była najgroźniejszym stworzeniem w okolicy.

Jednak najgorszy był zapach dziczy – zielony, gorący, kuszący. Wiatr przynosił go falami, a wtedy wyraźnie dominował nad zapachem rzeki, ziemi wilgotnej po deszczu i dymu unoszącego się z kominów. Musiała otrzeć się kilka razy o udo Rafała, żeby odegnać nęcącą woń zieleni i łowów i pamiętać o najważniejszym – tu jest jej partner i kocięta, które musi obronić. Frustrowało ją, że oddalają się od tropu, ale wkrótce skręcili w wąską, niezabudowaną uliczkę obsadzoną szpalerem kasztanowców. Za zakrętem znajdowała się ulica równoległa do tej, przy której mieszkali. Niskie domy, kręgi ochronne, ogrodzenia pachnące magią, drzewa. Mało psów. W dwóch posesjach mieszkały koty, które wilczyca wyczuła z daleka.

– To tu, szukaj – powiedział Rafał, kiedy dotarli do wysokiego ogrodzenia z poprzecznych desek i murowanych podpór. Całość gęsto obrastały krzewy, których bezlistne gałęzie przeciskały się między deskami.

Prychnęła na niego. Jakby mogła nie rozpoznać zapachu terytorium czarownika! Z nosem przy ziemi szukała woni bestii i Pawelka. Co jakiś czas wsadzała też nos między deski, próbując ich wywachać. Może wciąż znajdowali się po drugiej stronie?

W poszukiwaniach przeszkadzała jej woń przedziwnej, kwaśnej magii, ale nauczyła się ją oddzielać od pozostałych i ignorować. Zapach czarownika. Jej futro stroszyło się, gdy go czuła. Nie wiedziała, czym się zajmował ani jakiej używał magii, ale bardzo nie chciała, by dostał w łapy małego rysia.

W końcu złapała zapach Pawelka, a po chwili znalazła na ogrodzeniu kilka kropli krwi. Szczeknęła na Rafała, by zwrócić jego uwagę.

– Opuścili teren czarownika? – zapytał.

Sapnęła i wróciła do obwąchiwania chodnika, aż znów wychwyciła woń szlamu i rozkładu. Bestia – była tu. Po wydotaniu się zza ogrodzenia przeszła przez ulicę i przycupnęła w kępie drzew przed domem naprzeciwko. Tu jej zapach był gęstszy, zostawiła za sobą więcej potu i piżma. Czy wiedziała, że na nią polują? Pachniała strachem, jak ścigana zwierzyna.

Trop zapachowy prowadził wilczycę jak po sznurku. Biegła truchtem, z nosem przy ziemi, by go nie zgubić. Szybko, zanim wywietrzeje, zanim spadnie deszcz i go zmyje. Najchętniej puściłaby się pędem w pościg, ale wstrzymywała ją troska o kociątka i partnera. Zmusiła się do wolniejszego tempa, by za nią nadążyli i nie zostali sami w tym szalonym mieście.

Z każdą minutą zapach się nasilał, a to oznaczało, że są coraz bliżej Wisły.

*

Rafał wiedział, że zabranie ze sobą dzieciaków było błędem. Gdyby jednak je zostawił, nawet tylko Milenkę i bliźniaczki, szwagierki zaczęłyby coś podejrzywać. Oderwałyby je od ważnej roboty. Intensywnie pracowali nad odnalezieniem jego braci i nie chciał ponosić winy za rozproszenie tego wysiłku i koncentracji. Zabrali więc wszystkie i teraz szedł za wilczycą, otoczony dzieciakami, z Milenką popiskującą z ekscytacji, bo gdy przyspieszał, podskakiwała w chuście, a jej pulchne nóżki kołysały się jak serdelki.

Bogowie, miał nadzieję, że znająd Pawła całego i zdrowego... Wolał nie myśleć, jak poradzi sobie ze świadomością, że na jego warcie jeden z jego bratanków został skrzywdzony. Albo gorzej... Nawet jeśli Anna złapała trop Pawelka, nie musiało to oznaczać, że mały żyje. Chował te myśli głęboko, ale nie chciały go opuścić.

Właśnie, Anna. Jej ostatnia przemiana była tak błyskawiczna, że musiały w tym maczać palce jakaś forma magii. Nie wspominał nic na ten temat, ale wiedział, że dzieciaki też to zauważyły. Wilczyca była

teraz większa, jej futro, zamiast szaroczarne, jak przy pierwszej przemianie, stało się srebrzyste, a do tego dłuższe. No i oczy. Nie bursztynowożółte, jak w wilczej formie, ale tak jasne, że jarzyły się niczym zamarznięte jezioro w blasku księżyca. Nie wiedział, czy to minie, czy magia Warsa zmieniła Annę w jakiś sposób, jednak go to niepokoiło. Czy wyczuła te zmiany?

Trąciła go łbem w biodro. Dotychczas sięgała głową do połowy uda.

Miał mętnik w głowie, ale robił to, co zwykle robią dorośli w takiej sytuacji – dobrą minę do złej gry, by nie niepokoić maluchów.

Opuścili Wierzbową i skręcili w stronę Topolowej. Wiedział, że mają kłopoty, kiedy na tabliczce zamiast nazwy pochodzącej od nazwy drzewa zobaczył słowo „Tataraki”. Nie znał rozkładu miasta, ale czuł zapach przynoszony przez wiatr.

– Idziemy w stronę Wisły – powiedział Marcin. – Za chwilę skończy się Przylepka i zacznie Powiśle.

– To zła wiadomość, prawda? – zapytał Rafał ściszym głosem.

Marcin skrzywił się i przyznał:

– Przylepka jest względnie bezpieczną dzielnicą.

Nie musiał dodawać, że Powiśle już nie.

*

Nagle wyrósł przed nią mur. Skupiona na tropie, prawie zaryła w niego nosem. Był zbudowany z czerwonych cegieł pokrytych zielonkawymi porostami i śliskim mchem. Na szczycie – dobre dwa i pół metra nad ziemią – rozciągał się drut kolczasty, stary, pordzewiały, w kilku miejscach zerwany.

Nie było mowy, by wdrapała się na niego w wilczej formie. Potrzebowała rąk. Wilczyca doskonale rozumiała, na czym polega jej przewaga nad Anną i odwrotnie. Nie walczyły ze sobą, uzupełniały się. Zaczęła więc przemianę. Ból rozsadał jej ciało i wydała z siebie przeciągły skowyt.

*

Rafał widział, że coś jest nie tak. Czuł magię przemiany, którą wymuszała wilczyca, ale futro nie zniknęło.

– Czy można się dostać na drugą stronę inaczej niż górą? – zapytał Marcina.

Chłopak przechylił głowę, jakby się zastanawiał, ile może powiedzieć dorosłemu. Rafał uniósł dwa palce jak do przysięgi. Marcin westchnął i powiedział:

– Moglibyśmy iść przez starą przetwórnnię rybną, tylko to jest teren prywatny i mają psy. Nie zakradniemy się tam całą chmarą.

– Kto tam mieszka?

– Starsza kobieta, mówią na nią Wydra.

– Ma powody, by do nas strzelać albo rzucać kłętami? – zapytał Rafał cierpliwie. Czuł, że dzieciak o czymś mu nie mówi.

– Strzelać to nie... kłętwy chyba też nie. Ale jest jakaś dziwna... Wyprowadza swojego psa na bulwarze, spędza całe dnie, gapiąc się na Wisłę. To nie całkiem, no wiesz, normalne. – Marcin wzruszył ramionami w typowy dla nastolatka sposób, który rodziców doprowadza do szału, ale na wujków nie ma tak druzgoczącego wpływu.

– Lekka szajba to coś, z czym sobie radzę codziennie w szkole. Spróbujemy szczęścia, prowadź – powiedział Rafał zdecydowanym tonem, a potem zawołał do Anny: – Idziemy inną drogą!

Podniosła się na cztery łapy, drżąc na całym ciele. Otrzeпаła się z magii niby z wody, pisańla i podbiegła do Rafała, po czym otarła mu się głową o biodro. Czy zawsze był taki niski? Nie miała pewności. Poglaskał ją za uszami i zaraz poczuła się lepiej. Prawie zapomniała, że nie mogła się zmienić.

*

Stara przetwórnia znajdowała się może trzydzieści metrów w górę muru, za przylegającym doń z jednej strony murkiem z białych cegieł, zza którego wychylało się kilka drzew owocowych o poskręcanych i nagich gałęziach. Prześwitywał spomiędzy nich duży budynek z czerwonej cegły, z miedzianym, pozieleniałym dachem. Wielkie kiedyś okna i drzwi były teraz częściowo zamurowane, nowe cegły różniły się kolorem.

Zanim jeszcze Rafał pociągnął za łańcuszek dzwonka, w progu pojawiła się kobieta. Nieufna, z zacieniętymi w białą linię ustami i potarganymi, krótkimi włosami, które wyglądały, jakby obcięła je sobie nożyczkami do paznokci. Patrzyła na Rafała wyzywająco ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami

i w milczeniu czekała, aż wytłumaczy się z tego, że chce wejść na jej terytorium. Prawdopodobnie była zmiennokształtna, ale nie umiał przypisać jej do konkretnego gatunku.

– Przepraszam, musimy się dostać na drugą stronę muru. Bestia... – zaczął Rafał swoim najmiłszym głosem.

Kiwnęła ręką, żeby weszli.

– Wiem, wiem, miał ten wasz drobiazg ze sobą, przelał mi przez posesję, prosto jak po sznurku na bulwary – powiedziała ochryplym, niskim głosem.

– I pani go nie zatrzymała?! – krzyknął z oburzeniem Szymek.

– Mam się rzucić na przeobrażenca? Bękartą Wisły, Sawy i czkawki? A co ja, głupia jestem? Albo szalona? – odpowiedziała.

Anna ruszyła pierwsza. Magia kręgu ochronnego załaskotała ją, ale nie zmusiła do zatrzymania się. Rafał przeszedł za Anną, a gdy nic mu się nie stało, zawołał dzieciaki, które, zbite w kupkę jak wystraszone gołębie, czekały na chodniku na zielone światło.

– Pewnie już za późno i wciągnął go pod wodę – zaskrzeczała kobieta i dodała: – One tam mają gniazdo. A wszystko, co przeobrażone, wraca do domu. Na wiosnę zwykle mają młode.

Anna ruszyła biegiem. Rafał i dzieci nie mieli szans jej dogonić. Sądziła ogromne susy, błyskawicznie pokonała podwórkę i przeskoczyła nad murkiem oddzielającym teren kobiety od bulwarów Powiśla.

Bestia mignęła jej jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na bulwarze. Bez wątplenia zmierzała w stronę wody. Była wysoka, zgarbiona, biegła niezbornie, jakby jej kończyny miały niewłaściwe proporcje. Wilczyca pomyślała, że potwór jest albo ranny, albo nienawykły do poruszania się na tylnych nogach. W przednich łapach trzymał kocię, które wymachiwało łapkami, ale pysk bestii znajdował się poza zasięgiem pazurków.

Z gardła wilczycy wyrwał się wściekły warkot. Bestia odwróciła się, zatrzymała w pół kroku, na moment zamarła i wydała z siebie wysoki ryk. Wilczyca przyspieszyła. Skracała dystans, ale wiedziała, że nie zdąży. Monstrum rzuciło się w odmetę Wisły. Kociak zaczął się zmieniać w jego łapach, gdy tylko zrozumiał, co się dzieje. Bystrzak. Człowiek pływa lepiej niż kot czy wilk, a rysie potrafiły się zmieniać szybciej niż większość zmiennych.

Anna sięgnęła po magię raz jeszcze, bez wielkiej nadziei, ale musiała spróbować, zanim bestia wciągnie chłopca pod wodę.

– Anna! Ratunku! – darł się Pawełek, gdy jego blade ciało uderzyło o lodowatą powierzchnię wody.

Wilczyca poczuła magię, która nagle szarpnęła jej ciałem, silniejsza niż kiedykolwiek. Nie pachniała jak jej magia przemiany, lecz jak coś potężniejszego, zielonego, coś z drugiej strony Wisły! Poczuła, że magia chwytą ją, zgniata, formuje w jakiś nowy kształt. Trwało to ledwie ułamek sekundy, krócej niż kiedykolwiek, ale oto miała ręce i nogi! Bez namysłu wskoczyła do wody.

W przebłysku zrozumienia dotarło do niej coś jeszcze. Miała zwierzęce pazury i zęby, a jej ciała nie pokrywała gładka skóra, narażona na zimno odmetów, lecz gęste srebrne futro. Była szybka i silna jak nigdy dotąd. Z jej gardła wyrwał się nieludzki warkot, kiedy dopadła bestii i uczepliła się kelpie pazurami. Wbiła je w szyć i szarpnęła bez opamiętania. Gorąca, kwaśna posoka trysnęła z tętnicy, zalewając twarz Anny.

Stworzenie wypuściło z łap chłopca, odwróciło się gwałtownie i ryknęło boleśnie. Wierzało i wymachiwało łapami o długich szponach, ale nie były to skoordynowane ruchy drapieżnika. Odepchnęło się od wilczycy, kopiąc ją w brzuch kopytem. Rżało głośno i robiło, co w jego mocy, by uciec, odpłynąć od tej brutalnej kobiety uzbrojonej w pazury. Gwałtownymi ruchami ramion zwiększało dystans między sobą i Anną, a potem zanurkowało, ukrywając się w falach.

Anna nie zamierzała go gonić. Rozglądała się, szukając Pawełka. Zniknął! Przecież widziała go jeszcze parę minut temu!

– Pawe!!! – wrzasnęła i wydawało jej się, że słyszy bulgotanie w wodzie na lewo.

Zanurkowała. Bogowie, jaka głęboka była ta cholerna rzeka! Jaka ciemna! Gdyby nie wilcze zmysły, nie zauważyłaby go. Dostrzegła błysk bieli. Chłopiec opadał, mimo gwałtownych ruchów rękami i nogami. Był za słaby, by walczyć z prądem i ciężarem wody. Szybko tracił ciepło i siły. Policzki nadymał mu ostatni złapany oddech. W jego oczach widziała przerażenie. O nie, nie na jej warcie!

Otoczyła go ramieniem pod pachami i zaczęła holować ku górze. Chłopiec był lodowaty w dotyku, ruszał się coraz wolniej... Płuca paliły ją od wstrzymywania powietrza. Czas im się kurczył! Rzeka próbowała mieszać jej w głowie, zaburzyć jej orientację w przestrzeni, ale Anna zdała się na instykt strażacki i odruchy wyrobione ćwiczeniami. Nie walczyła z prądem, dała mu się ponieść, skupiona tylko na tym, by wypłynąć na powierzchnię.

Wynurzyła się z głębi i głośno złapała oddech. Pawełek rozkaszał się w jej uchwycie, jego palce kurczowo zaciskały się na włochatej ręce. Doholowała go do brzegu i podsadziła, by zdołał się wdrapać na betonowy stopień, a potem sama się podciągnęła i wydostała z rzeki. Leżała, głośno dysząc. Pawełek kasłał, pluł wodą, ale oddychał i podzwaniał zębami.

Słyszała głosy Rafała i dzieci, ale dobiegały z oddali, jak gdyby przez przypadek wyłynęła po niewłaściwej stronie Wisły. Nie zrobiła tego, prawda? Gwałtownie otworzyła oczy, gdy dotarło do niej, że była pod wpływem dzikiej magii Sawy. Spłynęła na nią ulga, gdy rozpoznała betonowe płyty bulwaru.

Poczuła ciężar płaszcza, który narzucił na nią Rafał. Klęczał obok niej i powtarzał:

– Już dobrze, jesteś cała, to minie, to minie...

Co minie? – pomyślała.

– Co jej się stało? – usłyszała głos Mani.

– Sawa ją zmieniła – odpowiedział Szymek.

– Już taka zostanie? – zmartwił się Darek.

– A widziałeś kiedyś, żeby wilkołaki zmieniły się z powrotem? – zapytał Szymek.

– Nikita będzie musiała ją zabić – powiedział zmartwiony Michałek.

Do jasnej cholery, o czym oni mówią? – zastanawiała się i próbowała usiąść, by mieć lepszy ogłąd sytuacji.

Wtedy dotarło do niej to, co w jakimś przeblysku wiedziała już wtedy, w trakcie przemiany, kiedy jej ciało uderzyło o powierzchnię wody. Magia Sawy zmieniła ją w coś innego. Nie stała się ani człowiekiem, ani wilkiem, tylko czymś pomiędzy. Dotykała twarzy – albo pyska, nie wiedziała, które z określeń pasowało bardziej. Miała szczęki pełne ogromnych zębów, większych niż wilcze. Było ich za dużo. Płaski nos prawie nie odstawał od szerokiej twarzy pokrytej sierścią. Jej dłonie były większe, zakończone pazurami i pokryte pręgowanym, srebrnoczarnym futrem. Stała się wilkołakiem! Tyle że one przecież nie istniały! Była zmiennokształtną, kobietą, wilczycą, nie miała formy pośredniej. Coś poszło nie tak!

Spróbowała się zmienić, wrócić do swojego kształtu, jednak coś całkowicie przytłumiło jej magię. Nie wiedziała, czy to magia Warsa, czy już Sawy, ale czuła, że otacza ją niczym kokon.

Usłyszała w głowie szept. Cichy, kuszący, słodki i pełen czułości. Sawa przemawiała do niej jak do dziecka. Ulepszyła ją, dała to, czego potrzebowała. Anna stała się silniejsza, potężniejsza, jedyna w swoim rodzaju. I mogła taka pozostać. Kto chciałby się zmieniać w zwykłego wilka czy ułomnego człowieka, kiedy może mieć mocne strony obu i żadnych słabości? Wiedziała, że Sawa chce, by z nią została. Że zabolí ją, kiedy odejdzie. W jakiś niepojęty sposób czuła się ukochana i otoczona opieką...

Zajęło jej dłuższą chwilę sformułowanie sprzeciwu. Uświadomienie sobie, jaką zapłaciłaby cenę. Przymknęła oczy i skupiła się na głosie Rafała, ważniejszym niż szept Sawy. I na głosach dzieci. Oddychała spokojnie i szukała swojej magii w kokonie magii Sawy. Była tam, przecież nie straciła jej tylko dlatego, że Sawa namieszala w jej przemianie.

Anna była pewna: nie mogła stracić swojej magicznej mocy, wplecionej przecież w jej DNA. Potrafiła się zmieniać od urodzenia. Przychodziło jej to naturalnie. Jako szczeniak robiła to przez sen, gdy śniło jej się, że biega za królikiem. To sedno tego, kim była. Sawa nie mogła tego zmienić, nie mogła zabrać jej magii!

Odszukała ją, tę srebrzystą nitkę, bez porównania węższą od gęstego, magicznego kokonu, ale przecież tak swojską i własną. Pachniała jak rodzina. Dzika zieleń Sawy była kusząca, oznaczała jednak samotność. Bez bliskich. Bez Rafała. Nie takiego życia Anna pragnęła dla siebie. Uchwyciła się srebrnej nitki, która pachniała jak dom.

Zaczęła przemianę. Czuła zawzięty opór Sawy, która nie chciała, by jej zdobycz znów stała się człowiekiem. Więc Anna zaczęła się zmieniać w wilka. Bolało, choć mniej, niż gdy próbowała w drugą stronę. Trwało to długo, ale się udało. Oto stała na czterech łapach i machała ogonem, bardzo z siebie zadowolona.

Rafał nie pytał, czemu nie zmieniła się w kobietę. Założył płaszcz i otulił jego połamami Milenkę. Marcin wepchnął za pazuchę kurtki puchaty kłębek, w który przemienił się drżący z zimna Pawełek.

– Zbierajmy się, zanim coś jeszcze wyjdzie z Wisły – zarządził Rafał.

Dzieciarnia ochoczo przytaknęła. Wszyscy chcieli skończyć tę przygodę i wrócić do domu. Prąd zniósł Annę i Pawła spory kawałek w dół rzeki i teraz musieli wrócić do posesji Wydry, która czekała na nich na bulwarze, kilkadziesiąt metrów dalej, ze starym i wyjątkowo brzydkim psem kręcącym się nerwowo wokół jej nóg. Gdy się do niej zbliżyli, popatrzyła na Annę z rezerwą, ale nic nie powiedziała.

Pozwoliła im przejść przez swoje podwórko, nie zaproponowała jednak, by weszli i rozgrzali się w jej domu. Gościnność w Warsie miała swoje granice. Rafał nie żałował, że tego nie zrobiła – wątpił, czy powinni wchodzić do domu kogoś, kto mieszka tak blisko rzeki, i czy faktycznie mają do czynienia tylko ze starą kobietą z brzydkim psem. Nie zamierzał sprawdzać.

Patrzyła za nimi, kiedy zamknęli za sobą furtkę i ruszyli ulicą. Szczupły facet, stadko kociąt i wilczyca, która chwilę wcześniej była czymś zupełnie innym. Wydra nie wątpiła, że miała w tym udział magia Sawy. Czy powinna była ich ostrzec? Nie, to nie jej sprawa, wystarczająco im pomogła. Lepiej pilnować swojego nosa, zanim coś go odgryzie. Na przykład wilczyca, która może nie chcieć przyjąć do wiadomości, że magia Sawy rzadko akceptuje „Nie” jako odpowiedź, więc najpewniej to jeszcze nie koniec tej przygody.

– I dlatego, Pafnucku, nie pozwalam ci ganiać za kelpie, a w czasie czkawki musisz siedzieć grzecznie w domu i sikać na matę, żadnych spacerków – powiedziała do psa, a on wyszczerzył do niej podwójny komplet zębów w psiej wersji uśmiechu. Kiedyś nie miał ich aż tyle. Cóż, chwila nieuwagi.

Sawa szturchnęła ją zachęcająco macką swojej magii. Robiła to od lat, ale stara kobieta nie była w nastroju do przekomarzań.

– Aj, daj spokój – warknęła. – Gdybyś nie zmieniła tych kelpie w środku sezonu godowego, nawet by nie pomyślały, by leżać tak daleko od Wisły i porywać kociaka. Mogłaś poczekać, aż odchowają młode i hormony przestaną im mieszać w głowie. Ale ty nigdy nie potrafiłaś czekać, co? Cóż, na mnie sobie poczekasz.

Wróciła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. Magia zagrzecotała, dopełniając jej krąg. Zawiedziona Sawa dmuchnęła w stronę domu. Szyby zadygotały. Stara kobieta uniosła w kierunku okna uniesiony środkowy palec.

– Ja ciebie też, Sawo – mruknęła i poszła zaparzyć sobie herbaty.

*

– To teraz lody – powiedział Michał poważnym tonem, kiedy wrócili w bezpieczniejsze objęcia Przylepki. – No, żebyśmy nie musieli kłamać mamie!

Rafał nie zaprotestował i pozwolił dzieciakom poprowadzić się do lodziarni. Cieszył się, że po tym cholernie stresującym doświadczeniu myśleli o lodach, a nie o potworach, bliskiej śmierci czy tym, co przytrafiło się Annie.

Nie dawał tego po sobie poznać, ale był przerażony. Widział, że Anna próbowała przybrać swą ludzką formę, ale z jakichś przyczyn się jej nie udało. Poza tym nadal wyczuwał na niej gęstą, obcą magię. Bał się myśleć, co jeszcze może się wydarzyć. Jeśli utknęła w wilczej postaci, to z jego winy. To on ją przywiózł do Warsy. To on pozwolił, by tu z nim przyjechała, i narażała się dla jego bliskich.

*

Gdy zadzwonił telefon, dzieciaki kończyły właśnie dokładkę lodów. Rafał lewą ręką wygrzebał z kieszeni komórkę. W prawej trzymał łożek waniliowy dla wilczycy.

– Tak, Glorio?

– Gdzie jesteście? – zapytała szwagierka. W jej głosie usłyszał napięcie.

– W lodziarni na Topolowej, powoli się zbieramy.

– Świetnie, świetnie. Wracajcie prosto do domu.

– Co się stało? – zaniepokoił się.

– Nie, nic nowego. Po prostu dotarło do mnie, że dzieci mogą być celem. Nie daję mi to spokoju.

– Będziemy za dwadzieścia minut – zapewnił.

Wilczyca sapnęła z akceptacją. Słyszała wszystko, co powiedziała Gloria, więc znów weszła w tryb nadopiekuńczy. Wraz z Rafałem dopilnowała, by dzieciaki sprawnie opuściły lodziarnię. Te nie dyskutowały. W normalnych okolicznościach zmienne dzieci mogły być najbardziej rozbrykanymi łobuziakami, ale w chwili, kiedy dorośli ogłaszali alarm bezpieczeństwa, reagowały jak kadeci. Starsze natychmiast zgarniały młodsze, nikt się nie ociągał. Marcin i Sara wzięli bliźniaczki na barana, Szymek niósł Pawełka, wciąż będącego w kociej formie, i dwanaście minut później przekroczyli granicę kręgu Glorii. Rafał nie umiałby w tym momencie powiedzieć, co ucieszyłoby go bardziej i co uznałby za większy sukces niż szczęśliwy powrót w komplecie.

*

Anna wymknęła się z kuchni, w której gromadka zmiennych i trzy wiedźmy opychały się kanapkami. Czowała się wykończona. I wciąż była na czterech łapach. Bała się spróbować zmienić, bo co, jeśli nadal nie mogła albo jeśli nie zdoła tego odkręcić? Przemiana była tak podstawową umiejętnością, tak naturalnym procesem, że zmiennokształtne dzieci często zaliczały pierwszą przemianę jeszcze w kołysce. Trochę wstydziła się tego, że ma z tym problem.

Wślizgnęła się do sypialni i wdrapała na łóżko. Ułożyła się na miękkiej pościeli, zwinęła w kłębek i przykryła nos puszystym ogonem. Była taka zmęczona. Odpocznie chwileczkę, a potem się zmieni. Tak, to dobry plan.

Obudziło ją skrzypnięcie drzwi. Otworzyła oczy. W progu stał Pawełek, nieco spłoszony. Machnęła zachęcająco ogonem. Wszedł cichutko, na paluszkach. Wdrapał się na łóżko i przytulił do jej miękkiego futra.

– Dziękuję, że po mnie przyszedłeś i z nią walczyłaś. Mam nadzieję, że Nikita nie będzie musiała cię zabić – wyszeptał jej do ucha. Polizała go po mokrym policzku. – To było naprawdę straszne – dodał. – Myślałem, że mnie utopi. Było mi tak zimno...

Wilczyca owinęła się wokół chłopca, dzieląc się swoim ciepłem. Po kilku minutach oddech Pawełka zwolnił. Mały wkrótce zasnął, zaciskając pięść na grubym futrze. Anna oparła łeb na plecach chłopca i westchnęła. Powieki jej ciążyły. Ciche pochrapywanie rysia podziało na nią jak kołysanka. Wkrótce zasnęła.

*

Przez chwilę nie wiedziała, co ją obudziło. W pokoju było ciemno, nie czuła żadnych obcych zapachów. Pawełek zajęczał, zaczął kopać i odpychać ją od siebie przez sen. Zrozumiała, że to nie był kolejny koszmar związany ze zniknięciem taty. Przemieniła się, tak po prostu, bez intencji, bez bólu i szarpania się z magią Warsa i Sawy.

– Ciii, wszystko dobrze, Pawełku, jesteś bezpieczny, jesteś w domu. Nie ma tu żadnej bestii – powtarzała, kołysząc go w ramionach i gładząc po włosach. Uspokoił się i zapadł w głęboki sen.

Odczekała, a potem wstała i ubrała się w dresy i koszulkę. Była obolała, jakby przesadziła z ciężarami i pilatesem. Cóż, walkę z kelpie i pływanie w Wiśle można było uznać za wyczerpujący trening.

Zeszła do kuchni. Potwornie chciało jej się pić i chyba miała lekką gorączkę. Zegar na ścianie pokazywał kilka minut przed szóstą. Ciemność za oknem rozjaśniły na chwilę reflektory samochodu wyjeżdżającego z sąsiedniej posesji.

Cały dom jeszcze spał. Podeszła do zlewu i wypila duszkiem dwie szklanki wody. Nie czuła się na siłach, by nastawić czajnik i zrobić sobie gorącą herbatę. Wyjęła z lodówki paczkę kabanosów i opadła na kanapę. Powinna iść na górę, żeby Pawełek nie obudził się sam w pustym pokoju. I lepiej, by Rafał nie szukał jej, przekonany, że Sawa ostatecznie wygrała i przywołała ją do siebie. Ale nie miała siły wstać. Przeżuwała kabanosy. Przymknęła oczy, tylko na chwileczkę...

*

– Nie sądziłem, że ktoś poza Nikitą ma aż tak bliską relację z jedzeniem. – Usłyszała nad sobą znajomy, niski głos.

Robin? Skąd on się tu wziął?

– Czy ona tuli do piersi kabanosy? – Rozpoznała głos Glorii.

Anna usiadła i przetarła twarz. Cholera, faktycznie, tuliła kabanosy. I zasnęła z nimi na kanapie.

– Wszystko w porządku? – zapytała gospodyni.

– Tak, jasne – zapewniła Anna.

Gloria wbiła w nią typowe matczyne spojrzenie. Z pewnością pękały pod nim małe rysie, ale wilczyca nigdy nie przejmowała się analogicznymi spojrzeniami własnej matki, przy której Gloria wydawała się puchatą owieczką.

– Co tu robisz? – Gładko postawiła Robina w centrum uwagi.

– Potrzebuję kierowcy. Pomyślałem o Glorii, ale jej samochód został w Sawie...

– Jedziemy – powiedziała Anna, podrywając się z kanapy. Lekko zakręciło się jej w głowie, jednak nie dała tego po sobie poznać. Założyła buty, złapała kurtkę i wyszła przed dom. Robin podążył tuż za nią.

– Gdzie dokładnie jedziemy?

– Niedaleko. Nikita coś wykombinowała i chyba jesteśmy bliżej niż dalej odbicia Tadka, Tyma i Remiego – odpowiedział i wyjaśnił, jak ma jechać.

– Świetnie – rzuciła, siadając za kierownicą SUV-a. Wyciągnęła kluczyki ze schowka w podłokietniku.

Robin usiadł na siedzeniu pasażera i znów wbił w nią to swoje nieznośnie świdrujące spojrzenie. Anna poczekała, aż Gloria otworzy im bramę, a potem wyjechała, próbując go ignorować. Udało jej się to jakąś minutę. W końcu nie wytrzymała i warknęła:

– Co?! – Kłapnęła przy tym ostrzegawczo zębami, przypominając, że jej pasażer nie jest zmiennym i może nie czytać sygnałów niewerbalnych.

– Co robiłaś w ciągu ostatnich parunastu godzin, moja droga? – zapytał niemal radosnym tonem.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Nic, o czym miałabym ochotę mówić. I radziłabym ci nie zaczynać tematu przy moich prawie szwagierkach.

– Pachniesz magią Sawy. Lubi cię – powiedział Robin, jakby to było coś oczywistego.

– Bez wzajemności, jeśli mam być szczerą.

Przez chwilę milczała, nie wiedząc, ile może mu zdradzić. Jednak potrzebowała znać odpowiedź i wołała zapytać tego wścibskiego, ale sympatycznego gościa, a nie szwagierki, które miałyby PYTANIA.

– Czy to minie? Ślad jej magii? I to, co mi zrobiła? – zapytała cicho.

– Raczej tak. To zależy. Jak daleko zaszła jej interwencja?

Anna nerwowo przygryzała wargę.

– To zostaje między nami, rozumiesz?

Z powagą skinął głową.

– Nie chciała, żebym wróciła do ludzkiej formy. I zmieniła mnie w coś, co nie istnieje.

Znów pokrywał głowę i przyglądał się jej, jakby dostrzegał coś więcej niż to, co widziała ona, patrząc w lustro.

– Sawa nie przepada za ludźmi, ale kocha potwory – powiedział w końcu. – Myślę, że jako zmienna i dominująca wilczyca możesz być w jej typie. A jednak nie zламаła cię, nie zmusiła, byś poszła za jej wezwaniem. Jak na nią to całkiem powściągliwe działanie. Obiecywała ci coś? – zapytał rzeczowo.

– Mnóstwo rzeczy. Nic, czego bym chciała.

– Tak, ona nie zawsze rozumie ludzką psychikę. Ale jest szczerą. Postępuje trochę jak szalony naukowiec, choć zwykle ma dobre intencje. Nie jest zła, tyle że nie zawsze pojmuje stawiane przez nas granice.

– Ciebie też zmieniała? – zapytała cicho Anna.

– Nie, ale czasem słyszę jej szepty. Myślę, że nic ci nie będzie. Gdyby chciała, nigdy byś się nie zdołała zmienić w ludzką formę. Możliwe, że im dalej będziesz od Warsa i Sawy, tym szybciej osłabnie jej magia i znów staniesz się sobą. Do tego czasu bądź ostrożna. Unikaj ściągania na siebie jej uwagi.

– Mówisz o niej, jakby była żywą osobą.

Czuła dyskomfort na samą myśl.

– Słyszałaś ją. – Wzruszył ramionami.

– Jak unikać ściągania na siebie jej uwagi? – zapytała w końcu.

– Nie rób nic ekscytującego. Bądź bardzo nudnym potworem. Najlepiej wstrzymaj się od walki. I jeśli dasz radę, również od przemiany. Jako człowiek jesteś dużo bezpieczniejsza – powiedział spokojnie.

– Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić. – Uśmiechnął się słodko.

Poczułaby się znacznie spokojniej, gdyby nie uderzył jej w nos zapach rosnącej w nim magii, niepokojąco podobnej do magii Sawy. Z ulgą zauważyła stojącą na podjeździe furgonetkę z zapalonymi światłami. Po drugiej stronie ulicy zaparkowano małe wiśniowe auto, to samo, które wcześniej widziała na podjeździe sąsiadów. Zza furgonetki wyszła Nikita. Wyszczyrzyła się do nich i pomachała. Jeszcze zanim Anna otworzyła drzwi SUV-a, wyczuła smród krwi i adrenaliny.

IX

Sprawy posuwały się naprzód w zawrotnym tempie. Im bliżej Nikita była odbicia zaginionych, tym jaśniejsze się stawało, że należało ukryć dzieci w bezpiecznym miejscu. Według najnowszych informacji mieli do czynienia nie tylko z czarną wiedźmą, ale też z demonem. Bezcielesnym i starym, którego imienia nie znali i nad którym nie mieli żadnych szans przejąć kontroli. Dzieci były dla niego cenne, mógł im ukraść ciała bez pytania o zgodę. Nikita znalazła miejsce, w którym miały być bezpieczne.

Przewóz dziesięciorga kociąt, Anny, Rafała i Eufemii (najmniej zachwyconej ewakuacją, ale jej zaawansowana ciąża stawiała ją w grupie osób będących w centrum zainteresowania demona) oznaczał dwie rundy wypakowanym do oporu samochodem, z całkowitym pogwałceniem zasad bezpieczeństwa, na co Anna się zżymała, a wszyscy pozostali zdawali się mieć wywalone.

Bezpiecznym miejscem okazało się stare kino. Mieściło się w masywnym budynku bez okien, z niekompletnym neonem „Kino Świ_t”, („a” odpadło bogowie wiedzą jak dawno). Drzwi otworzył im postawny facet pachnący dziwną magią, od której Annę zakręciło w nosie. Bez słowa zaprowadził wszystkich do ogromnej sali kinowej.

Było po niej widać wiek i zniszczenie, ale też czyjś wysiłek, by na powrót uczynić ją miejscem czystym i przyjemnym. Zdjęto wykładzinę, uszkodzone czerwone fotele zastąpiono innymi, w kolorze zielonym, z wyższymi siedzeniami. Ekran był idealnie czysty i gładki, nowszy od reszty wyposażenia. W kącie stały wielka, lśniąca nowością maszyna do robienia popcornu, dystrybutor napojów gazowanych i uroczy saturator.

– Dziękuję, że to dla nich przygotowałeś – powiedziała Anna do mężczyzny, który przedstawił się jako Ilija.

– Nie zrobiłem tego dla nich. Ale jeśli dzięki nim ona też skorzysta... – Wzruszył ramionami.

Kilka minut później zjawiła się młoda kobieta, którą najwyraźniej miał na myśli: drobna gotka w czarnej tiulowej spódnicy, czarnym golfie, pasiastych, czerwono-czarnych rajstopach i ciężkich, ozdobionych milionem klamerek butach. Aż zaklaskała, widząc zgromadzony w sali kinowej tłumek.

– Czyż to nie fantastyczny dzień na mały maraton filmowy?! – zawołała zachwycona.

Anna zapamiętała, że Nikita nazywała ją Karmą i mówiła, że jest geniuszką komputerową, co brzmiało zaskakująco, biorąc pod uwagę dzierżący wygląd gotki – z krótką czerwoną grzywką, czarnymi kitkami, wyrazistym makijażem i mnóstwem srebrnych pierścionków i kolczyków wyglądała na szesnaście czy siedemnaście lat. Nie umknęło też Annie, że Ilija nie spuszczał Karmy z oka, był czujny i spięty, gotów zasłonić ją własną pierśią, nawet jeśli najgorsze, co mogło ją czekać ze strony gości, to obsłużenie przez Milenkę, gdyby ta zdołała się wy dostać z objęć Rafała, albo kłopotliwe pytania ze strony Michała czy Pawełka.

Nikt nie obraziłby Karmy i Ilii, naruszając zasady gościnności. Przyjęli ich pod swój dach, a to w Warszawie naprawdę nie było oczywiste ani proste. I co nie mniej ważne – dostarczyli dzieciakom wrażeń, które pozwały im na jakiś czas zapomnieć o traumatycznych wydarzeniach. Zaginięcie ojców, wieści o demonach i czarnych wiedźmach, brutalne porwanie Pawełka przez przeobrażone kelpie i mierzenie się z magią Sawy – wszystko to stanowiło dla kociąt potężną dawkę przeżyć. Poza tym znały stawkę tego, co miało się wydarzyć, kiedy oni ukrywali się w starym kinie. Starsi zachowywali się ciszej niż kiedykolwiek. Młodszy byli nieco rozdrażnieni i o byle co wybuchali małe sprzeczki. Na przykład o to, gdzie które ma siedzieć – jakby nie mieli tylko dla siebie sali na dwieście foteli. Większość dzieciaków krążyła po pomieszczeniu i przysiadła na próbę, patrząc w stronę ekranu, aby znaleźć – jak powiedział Szymek – „idealną perspektywę”.

Eufemia przejęła od Rafała Milenkę, by mógł ponakładać porcje popcornu. Ilija zniknął w kabinie projekcyjnej. Ekran rozbłysnął, a chwilę potem pojawiły się na nim symbole kontrolne z początku szpuli. Dzieciaki umilkły, by nie uronić choćby sekundy z filmu.

Anna usiadła z tyłu, bliżej wyjścia. Była wyczerpana. Kiepsko dziś spała, a podczas śniadania nie potrafiła nic przełknąć. Od rana lekko ją mdlilo, a zapach gorącego popcornu i masła tylko nasilił dolegliwości. Prawie nigdy nie miewała bólów głowy, a teraz czuła się, jakby zbliżała się migrena

stulecia albo dopadł ją zaległy kac z czasów studenckich. Umościła się w wygodnym fotelu, wyciągnęła przed siebie skrzyżowane w kostkach nogi i zamknęła oczy. Pomyślała z nadzieją, że może wystarczy się przespać, żeby wszystko wróciło do normy. W głębi duszy wiedziała jednak, że będzie dobrze dopiero wtedy, kiedy opuści to miasto. Nie było mowy, by się do niego przyzwyczaiła, by przestało ją przyprawiać o gęsią skórkę całą tą magią, z milionem piętrowych warstw, które mieszały jej w zmysłach.

Już na podstawie wyglądu Karmy Anna powinna przewidzieć, że czeka ich maraton z dreszczykiem. Gotka przygotowała solidny zestaw – od *Koraliny*, przez animowane filmy Burtona, po *Coco*. Gdyby się okazało, że muszą tu siedzieć dwa dni, będą mieli co oglądać. Choć lepiej, by to nie trwało aż tyle, bo przyjdzie moment, gdy zmienne dzieciaki zgłodnieją, a wtedy żadna ilość popcornu nie wypełni ich żołądków bez dna.

Kinkiety na bocznych ścianach zamigotały i zgasły, a sala pogrążyła się w ciemności. Jedyńm źródłem światła był ekran jarzący się perłową bielą. Niebawem wypełniły go przygody dziewczynki w żółtym płaszczku przeciwdeszczowym, a Anna zsunęła się niżej na fotelu. Powieki robiły jej się coraz cięższe. Nie walczyła z tym. Ku własnemu zdziwieniu musiała przyznać, że czuła się tu bezpiecznie.

Może sprawiła to obecność stadka kociąt, Rafała i Eufemii, może była to zasługa gospodarzy, a może stare kino przywołało sentymtalne echa z dzieciństwa, kiedy spędzała niedzielne poranki w lokalnym kinie na pokazach dla dzieci. Siedziała z młodszymi braćmi blisko ekranu, podczas gdy starsi obściskiwali się z dziewczynami w ostatnim rządzie, kompletnie niezrażeni tym, że na ekranie hasał Kubuś Puchatek czy Miś Colargol.

*

Kiedy znów otworzyła oczy, na ekranie śpiewała dziewczyna w patchworkowej sukience. Anna spała przynajmniej godzinę – o ile między *Koraliną* a *Miasteczkiem Halloween* nie było czegoś jeszcze.

Czuła się nieswojo. Jakby jej ciało stało w płomieniach. Język przysychał do podniebienia, usta całkowicie spierzchły. Musiała znaleźć łazienkę. Cicho, by nie przeszkadzać zapatrzonym w ekran dzieciakom, wymknęła się ze swojego rzędu i po omacku, odnajdując w ciemności oparcia kolejnych foteli, znalazła wyjście z sali kinowej. Zderzenie ze światłem było bolesne. Wszystko wydawało się zbyt ostre, przedmioty w zasięgu wzroku otaczała niezwykła poświata. Anna rozglądała się za oznaczeniem drogi do toalety, ale nigdzie go nie dostrzegła. Ruszyła więc wzdłuż korytarza, przyglądając się mijanym drzwiom.

Coś było nie tak, ale nie potrafiła tego nazwać. Wokół niej przepływały smugi magii, niczym kłaczki waty cukrowej. Czy to były duchy? Małe, duże, złociste, srebrne, błękitnawe... Nie wyglądały jak ludzie ani jak duszki z kreskówek, bardziej jak ogniki świętego Wita, ruchliwe, pulsujące i w jakimś sensie żywe.

Szła chwiejnie, podpierając się ręką o ścianę. Czuła ciężenie i pulsowanie w głowie i musiała przysłonić oczy wierzchem dłoni, kiedy uderzył w nie złoty blask, wibrujący i żywy. Nie знаła tej magii, nie potrafiła nawet powiedzieć, jak ją odczuwa. Szła za świecącym śladem na podłodze. Wydawał się śliski i nieregularny, jakby zostawił go ogromny, zmutowany magiczny ślimak. Zaśmiała się na samą myśl. Zmutowany magiczny ślimak... Jeśli gdzieś takie są, to właśnie w tym mieście, prawda?

Podążała za tropem aż do końca korytarza. Na lewo znajdowały się uchylone drzwi do pomieszczenia przypominającego skrzyżowanie windy i staromodnej szafy z bezpiecznikami, ale to nie tam zmierzał magiczny ślad ślimaka. Skręcał w przeciwnym kierunku i docierał do litej ściany. Anna zatoczyła się lekko, kiedy spróbowała jej dotknąć. Gdy tylko jej palce zetknęły się z obdrapaną tapetą, poczuła pod nimi chropowatą powierzchnię drewnianych drzwi. Odnalazła i nacisnęła klamkę, a złota magia uderzyła w nią jak wiosenna burza. Anna zachwiała się i upadła na tyłek, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem. Cokolwiek było po drugiej stronie, przyciągało ją, wołało po imieniu, obiecywało potęgę. Czemu wszyscy chcieli jej dawać potęgę? Gdyby jej na tym zależało, byłaby alfą swojego stada, a nie samotną wilczycą w szalonym mieście rządzącym się niezrozumiałymi dla niej regułami.

Nie tylko ją przyciągały te drzwi. Duszki, ogniki – jak zwał, tak zwał – ściągały stadami i pozwalały się pochłoniąć złotej poświacie, która połykała je jak dzieciaki popcorn. O nie, Anna wcale nie chciała być połknięta! Wyszczrzyła zęby i głośno warknęła. Jakaś część jej istoty pragnęła się zmienić w wilczycę, ale rozum czy jego resztki będące jeszcze na swoim miejscu podpowiadały jej, że nie powinna. Cofała się na czworakach, jak najdalej od głodnych drzwi. Już nic jej nie obiecywały, po

prostu próbowały przyciągnąć i pożyć! Uderzyła w coś plecami i pomyślała, że to ściana, ale poczuła szarpnięcie, gdy ktoś silny złapał ją pod pachy i postawił do pionu.

Ilia był wściekły. Oczy połyskiwały mu niesamowitym fioletowym blaskiem.

– Co tu robisz?! Czego tu szukasz?! Kto cię przysłał?! – wyrzaskiwał pytania i potrząsał nią jak lalką.

– N-nie wiem, o czym mówisz – wyjąkała niewyraźnie. – Złota poświęta mnie tu przyciągnęła, ale nie możemy iść za drzwiami, one są głodne... Widzisz? Zjadły te wszystkie duszki, one już nie wróciły...

Ilia zamilkł. Złość chyba mu nie minęła, lecz Anna domyśliła się, że właśnie kalkuluje: co z nią zrobić, jak ją uciszyć, czy zauważa, kiedy zniknie?

– Ilia, daj jej spokój, nie widzisz, że coś jest z nią nie tak? – Usłyszała głos zza jego pleców. Wyrzekała i zobaczyła drobną gotkę o zmartwionych oczach.

– Niby skąd wiesz? – warknęła.

– Czy ktoś, kto nie jest bliski śmierci, zdołałby otworzyć drzwi? – zapytała cicho.

Zaklął i puścił Annę. Nie była na to przygotowana. Nogi ugięły się pod nią i grzmotnęła o ziemię jak worek kartofli.

– Czy jesteś ranna? – zapytała Karma, pochylając się nad nią ze słodką, zatroskaną miną.

– Nie wiem, chyba nie – odpowiedziała, choć jej ciało pulsowało bólem. Głowa pękała, żebra paliły żywym ogniem, oddychała za szybko, za płytko. Racjonalna część jej głowy, ta, która pamiętała o szkoleniach z pierwszej pomocy, podpowiadała jej, że jeśli nie spowolni oddechu, zacznie hiperwentylować. Spróbowała, ale gdy zaczęła więcej powietrza, ból niemal rozsadził jej lewy bok. Jęknęła i odruchowo sięgnęła do bolesnego miejsca.

Poczuła zimne palce na skórze, a potem usłyszała wiązankę przekleństw.

– Z kim walczyłeś, Anno? – zapytała Karma, która znów się nad nią pochylała.

– To sekret – odpowiedziała i spróbowała położyć palec na ustach. – Szszsz, ani mru-mru.

– Mnie możesz powiedzieć, nikomu nie zdradzę, słowo honoru. Ty nie powiesz o drzwiach, a ja o walce, zgoda? – przekonywała Karma.

Anna zastanowiła się nad tym. O, tak, mogła się na to zgodzić, to dwa duże sekrety, jeden do jednego.

– Nie powiem nikomu o drzwiach – zapewniła. Jej powieki opadały, chyba znów będzie musiała się przespać.

– Nie zasypiaj, kochana, powiedz mi, z kim walczyłeś?

– Z kelpie – przyznała cicho wilczyca. – Ale nie takim zwyczajnym, tylko z przemienionym czkawką... Choć tak naprawdę to chyba Sawa go zmieniła. Ona lubi potwory. Nie chciałam z nim walczyć, ale miał kociątko, musiałam wskoczyć za nimi do wody. To było głupie. Nie powinno się skakać do wody, o której nie wiesz, jak jest głęboka i co w niej siedzi... Nie mogłam jej pozwolić zabrać kociątko. To było na naszej warcie, rozumiesz?

– Co to była za woda? Wisła? – dociekała Karma.

Wilczyca pokiwała głową i natychmiast tego pożałowała, bo pod czaszką rozbłyły jej nowe ogniska bólu. Słyszała, jak Ilia przeklina, więc znów położyła palec na ustach i powiedziała:

– Ciii, jeśli bliźniaczki podłapią to słownictwo, mamy przekichane – zachichotała.

– Idiotka – zamruczał Ilia, podnosząc ją z podłogi.

– Nie jest stąd, nie wiedziała, że każda rana zainfekowana przez magię Sawy czy Wisły to prośenie się o kłopoty – odparła spokojnie Karma. – Nie rozdajemy przy bramie wjazdowej poradników, jak sobie radzić z tym miastem.

Anna czuła, że Ilia gdzieś ją niesie. Nie miała siły się klócić czy wołać Rafała na pomoc. Jej głowę wypełniał ból i dziwne, rytmiczne pulsowanie. Poczuła woń wybielacza i sztucznie sosnowy zapach środków czystości. Zdołała otworzyć oczy i uderzyła w nią wszechobecna biel kafelków.

– Połóż ją najpierw na ławce, trzeba oczyścić te rany. Nie tylko magia może tam zerować.

– Jaki normalny człowiek zostawia magiczne rany bez opieki? – burczał Ilia.

– Mogła nawet nie zauważyć, to było niewielkie skaleczenie, zanim wdała się infekcja – tłumaczyła Karma.

Anna słyszała ich jak z drugiego pokoju. Chciała otworzyć oczy i zapytać, jaka infekcja, u diaska, ale nie mogła wydusić słowa. Kołysała się, a pod powiekami rozbłykiwały jej złote kłaczki.

Była świadoma, że Karma rozcina jej bluzkę, a potem zabolęła, gdy dotykała jej żeber. Poczuła zapach alkoholu i czegoś chemicznego, później zapiekło ją żywym ogniem, ale paskudne doznanie minęło po kilku sekundach. I było lepiej! Och, było lepiej! Ulga zalała ją jak wiosenna ulewa.

– Nie ciesz się, jeszcze nie skończyłam – usłyszała Karmę i zrozumiała, że musiała coś powiedzieć na głos. – Byłoby dobrze, gdybym mogła cię rozebrać, rozumiesz? Musimy cię dokładnie zdezynfekować,

żeby wytepić obcą magię, która się w tobie zaległa i żeruje na twoim ciele. Dasz radę to zrobić? – Gotka mówiła powoli i wyraźnie, jakby przemawiała do dziecka albo osoby pijanej.

Anna odepchnęła się od drewnianej ławki, usiadła chwiejnie i ściągnęła z siebie resztki koszulki, potem spodnie, buty i skarpetki. Została w samych majtkach – ich nie zamierzała się pozbywać.

– Możesz wstać? Przejść kilka kroków, o tu? – pytała cierpliwie Karma. Podała Annie ręce i pomogła jej się wyprostować, a potem dostać się do komory.

Wilczyca spodziewała się strug wody, jednak zamiast tego uderzył w nią silny podmuch zimnego powietrza. Jakby stanęła na wprost nawiewu klimatyzacji. Skuliła się, ale Karma powtarzała spokojnie:

– To tylko kilka minut, wytrzymasz, jesteś bardzo dzielna.

Anna nie czuła się dzielna. Była zagubiona. Nie potrafiła zrozumieć, co się z nią działo, wiedziała tylko, że coś niedobrego. Żałowała, że nie może zawołać Rafała, ale jeśli to coś zrobiło jej krzywdę, mogłoby skrzywdzić też jego i rysięta. Drżąc w lodowatym podmuchu, opierała się plecami o nierówną powierzchnię z kryształów i miedzi.

Myślała już trochę trzeźwiej. Rozpoznała urządzenie. Mieli w remizie podobne, choć dużo mniejsze, tańsze i mniej wypasione. Używała się go, gdy doszło do skażenia magicznego. A więc była skażona. Poczwała ulgę, gdy dowiedziała się, co jej dolega. To wszystko wyjaśniało. Ból głowy, gorączkę, halucynacje...

– Bo to były halucynacje, prawda? – ostatnie zdanie wypowiedziała na głos.

– Oczywiście, że halucynacje. Duszki, drzewi, złota poświata, ale tylko przywidzenia. Magia Sawy miesza ci w głowie – odparła Karma.

Anna nie miała nic przeciwko, by w to uwierzyć. Alternatywa była dużo bardziej złowroga.

*

Stała w komorze jakieś piętnaście minut, zanim wywąchał ją Rafał. Wpadł do łazienki niczym Zorro, gotowy pojedynkować się na szpady z Ilią, Karmą i wszystkimi świętymi.

Anna czuła się już lepiej. Gorączka minęła, czy to po usunięciu z jej organizmu trującej magii, czy po kwadransie w lodowatym nawiewie. Myślała już całkiem jasno.

– Zanim zrobisz coś głupiego... Uratowali mi życie – powiedziała na powitanie.

Coś mignęło w oczach Rafała. Doceniła, że potrafił zachować zimną krew.

– Nie zauważyłam, że kelpie mnie drasnęło, i nie oczyściłam rany, za to wytaplałam ją w Wiśle. Myślę, że byłoby dobrze wsadzić tu też Pawełka, tak na wszelki wypadek. Był w tej wodzie równie długo jak ja, a wcześniej bestia przeniosła go w pazurach przez pół miasta – powiedziała Anna spokojnie.

Rafał kiwnął głową i zniknął za drzwiami.

– Widzisz, to nie tak, że żaden z was nie potrafi słuchać. To ty po prostu nie chcesz. – Karma wbiła szpilkę Ilii.

Pokazał jej środkowy palec i nie zaszczycił odpowiedzią.

– Możemy sprawdzić, czy już wszystko zeszło, czy muszę odmrażać tu sobie tyłek do jutra? – zapytała wilczyca, otaczając się ramionami.

Ilią wyciągnął z szafki mały skaner ręczny i przejechał nim kilka razy wzdłuż ciała Anny. Odczyt wyraźnie go uspokoił.

– Możesz wziąć ciepły prysznic – powiedział, wskazując głową w stronę mniejszej kabiny po drugiej stronie łazienki. – Zobaczę, co z tym małym – dodał i wyszedł z pomieszczenia.

Nie musiał powtarzać dwa razy. Anna umyła się kilkakrotnie i wyszła z kabiny, owinięta świeżym czarnym ręcznikiem. Był ogromny, otulał ją jak gruby kokon. Założyła z powrotem majtki i spodnie dresowe. Koszulka była w strzępach, więc na razie musiał wystarczyć ręcznik.

Karma zniknęła na chwilę i wróciła ze świeżą bluzką. Czarna, z czerwonymi raglanowymi rękawami, przypominała koszulki sportowe, miała nawet na piersi czerwony numer zawodnika, 66, a na plecach nazwę drużyny – Hell's Kitten. Anna podziękowała i założyła ją szybko, by nie namokła od jej mokrych włosów. Nie mogła ukryć uśmiechu. Była wyższa od Karmy, więc koszulka sięgała jej ledwie do wysokości pępka, a rękawy do połowy przedramion.

– Urocza! Oddam po wszystkich Nikicie, by na pewno do ciebie wróciła – zapewniła wilczyca.

– Nie ma sprawy, mam ich więcej. To koszulka mojej drużyny derby.

– Jęździsz na wrotkach? – zapytała zaskoczona Anna.

– Ja niekoniecznie, moja postać w grze i owszem. Nie opłacało się zamówić jednej, więc kupiłam dwadzieścia.

Logiczne, pomyślała Anna, przeczesując mokre włosy palcami.

Rafał przyprowadził Pawełka. Dzieciak wyglądał zdrowo – żadnych halucynacji, szklenia się ślepek czy odwodnienia. Mimo to na wszelki wypadek sprawdzili go skanerem. Był czysty. Anna raz jeszcze odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej mieli więcej szczęścia niż rozumu. Może to wszystko, czego potrzeba, by przeżyć w tym mieście?

– Wracamy? – zapytał Pawełek. – Zaraz się zacznie *Coco*.

– Nie możemy tego opuścić! – zawołała Karma. – A potem pomalujemy sobie twarze w *bella muerte*, co wy na to?

Anna i Rafał wracali za nią i chłopcem na salę kinową.

– Wiesz, bardzo doceniam, że u nas się zwykle nic nie dzieje – powiedział cicho, obejmując Annę ramieniem.

– Ja też. Przygody są przereklamowane. Ciągłe mamy do obejrzenia chlebowy odcinek *Bake off* – dodała.

– Drzę z ekscytacji na samą myśl. – Wyszczerył się w uśmiechu.

Dwie godziny później, przed seansem *Pogromców duchów*, zawibrował telefon Rafała.

– Są bezpieczni, Nikita ich wyciągnęła! Wszystko jest dobrze – powiedział, gdy odczytał wiadomość.

Ułga, którą poczuli, była nie do opisania. Wśród dzieciaków rozgorzała wrzawa, zaczęły skakać, piszczeć, obejmować się nawzajem i tańczyć taniec radości.

– Mówiłem, że Nikita da radę! – entuzjazmował się Michaś, triumfalnie unosząc pięści.

– Trzeba to opić! – zawołała Karma. Rafał już miał zaprotestować, jak przystało na nauczyciela i wujka, ale zobaczył etykietkę trzymanej przez nią butelki.

Wznosili toast brzoskwiniowym piccolo. Za zdrowie tatusiów. Za Nikitę i Robina. Za nudę i błogosławione życie bez przygód.

X

Pozwoliła mu prowadzić. Była zmęczona i nie miała nic przeciwko temu, by obniżyć oparcie fotela i drzemać część drogi. Najważniejsze, że wracali do domu. Nie mogła się już doczekać, aż dotrą do Kamiennego Potoku, do swojego przewidywalnego, spokojnego życia, bez potworów, szepczącej w głowie magii i tych cholernych czkawek. Miała nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiała się mierzyć z tą pieprzoną anomalią.

Może po wszystkim zostaliby dłużej, nacieszyli się wspólnymi posiłkami z rodziną, czasem z dziećkami, a Rafał spędziłby więcej czasu z odzyskanymi braćmi. Ale zaraz po śniadaniu, ledwie dzień po tym, jak Nikita i Robin wydostali z niewoli Tyma, Remiego i Tadka, Gloria wspomniała, że muszą wyciągnąć okiennice z piwnicy. Czemu? Bo zbliżała się czkawka. DUŻA. Najwyraźniej ta, którą Anna wcześniej przeżyła, nie była duża. Była ledwie SPORA, ale nie na tyle poważna, by zakładać okiennice.

Nie musieli nawet tego ze sobą uzgadniać. Niemal jednocześnie powiedzieli:

– Na nas już czas.

Pół godziny później byli spakowani. Gloria zapewniała, że mają mnóstwo czasu, spokojnie mogą zostać do obiadu, ale żadne z nich nie chciało ryzykować.

Pożegnali się ciepło. Dzieciaki wyściskały ich tak, że na pewno zostawiły na nich parę siniaków, plam z nutelli i być może więcej niż trochę śliny. Rafał zaprosił wszystkich na wakacje do Kamiennego Potoku. Anna nie wykluczała, że przynajmniej część z nich skorzysta z zaproszenia. Zwłaszcza Rebeka była zafascynowana ich opowieścią o najnudniejszym miasteczku świata, w którym kompletnie nic się nie dzieje, nie ma żadnych groźnych potworów, a dzieci bawią się na podwórkach, ulicach i w parkach bez kręgów ochronnych.

– To musi być miłe – powiedziała i spjrzała wymownie na Tadka.

Anna nie wątpiła, że jego przygoda z Warssem dobiegała końca i jeśli odbyli jakąś dyskusję o tym, czy powinni się wyprowadzić, Tadek przegrał ją z kretesem.

Odjeżdżając, zatrąbiła i pomachała Nikicie i Robinowi, którzy siedzieli na stopniu swojego domu i popijali piwo. Nie oceniała ich. To było miasto, w którym strach pić, ale na trzeźwo też ciężko żyć.

Tym razem przejechali przez bramę bez przeszkód. W jednej sekundzie byli w Warszawie, w następnej w całkowicie normalnej Warszawie. Na korki i kierowców Anna narzekała wcale nie mniej niż na dziwną magię alternatywnego miasta. Dopiero gdy opuścili miasto i zatrzymali się na pierwszym MOP-ie przy autostradzie, poczuła, że schodzi z niej część napięcia.

Kupili sobie kawę i hot dogi na dalszą podróż, a Anna nie mogła przestać się uśmiechać. Pozwoliła Rafałowi prowadzić, choć w innych okolicznościach pewnie by tego nie zrobiła. Jej narzeczony nie był złym kierowcą, ale dotychczas jeździł autem o połowę mniejszym i węższym, więc nie wykluczała, że ucierpią lusterka boczne i zderzaki SUV-a. Trudno.

*

Po dotarciu do domu zapomniła zadzwonić do mamy, jednak wieści szybko się rozeszły. Anna westchnęła, ale odebrała już po drugim dzwonku. To było nieuniknione.

– I jak tam, kochana, słyszałam, że wróciłaś? Jak rodzina Rafałka? – zaświergotała w słuchawce Zuzanna, a świergotała na tyle rzadko, że córce od razu zapaliły się lampki alarmowe.

– Rodzina cudowna, intensywna, bez dwóch zdań – odpowiedziała, domyślając się, do czego zmierza matka. I faktycznie, ta nie zwlekała z ciosem:

– A dzieciaczki? – dopytywała.

– Plotki nie kłamały, są przesłodkie.

– Już się cieszę, że ich wszystkich poznam na waszym weselu. Bo chyba przyjadą? Myślisz, że mają już plany na sierpień?

– Czemu akurat sierpień? – zapytała podejrzliwie Anna.

– Bo ma w nazwie R – odpowiedziała jej matka cierpliwie, jakby tłumaczyła oczywistość małemu dziecku.

– Podobnie jak październik czy grudzień – odcięła się Anna.

– Wolicie październik? To taki ładny miesiąc... W Podkówcze na szczęście mają jeszcze wolny termin na trzeci weekend. Tuż przed Halloween, mogłabyś mieć wesele tematyczne!

– A kto powiedział, że chcemy wesele w październiku? – odbiła piłeczkę, choć wiedziała, że tylko podaje ją matce do ostrej ściny. Nie myliła się.

– Wesele w grudniu to za duże ryzyko, Anulku. Pamiętasz, jak zasypało nas wszystkich u twojej kuzynki? Tydzień śnieżycy! Wykarmienie tyłu zmiennych przez tydzień kosztuje fortunuuunę. Ale oczywiście jeśli chcecie bożonarodzeniowy ślub, nie ma problemu, przecież nie będę oszczędzać na weselu swojej jedynej córeczki!

Anna poczuła, że wraca jej migrena. Może nie tak paskudna jak ta, kiedy struła się magią Sawy, ale niewiele słabsza.

– Mamo, nie będziemy rozmawiać o weselu. Nie będzie żadnego wesela w tym roku – powiedziała z całą stanowczością, na jaką było ją stać.

– A co z młodymi? Oczywiście to już nie jest dziewiętnasty wiek, ale możesz się spodziewać krzywych spojrzeń od co starszych członkiń rodziny...

Anna zaczęła tracić cierpliwość.

– Mamo, jakie młode? Przecież ja nie jestem w ciąży. I nie zamierzam być w najbliższym czasie.

– Ale myślałam... – Zuzanna ugryzła się w język, gdy dotarło do niej, że za bardzo odsoniła karty.

Anna zaśmiała się cicho, przyciskając telefon do koca, tak by mama nie słyszała.

– Jedno jest pewne: wilcze szczenięta w porównaniu z rysiętami to aniołki. A ja na dłuższy czas mam dosyć małych.

Matka stęknęła, jakby Anna wetknęła jej pod żebra rozpalony pogrzebacz.

– Bo ty się, kochana, za bardzo przejmujesz. Zmiennokształtne dzieci radzą sobie same całkiem dobrze. Może nie w Warszawie, bo to jednak przeklęte miejsce, ale tu, w Kamiennym Potoku, właściwie można je puścić samopas i całe miasto pomoże je wychować. Wcale nie musiałabyś rezygnować z wielu rzeczy. Nie ma co dramatyzować – przekonywała.

– Powiedziałaś mi to, gdy moi bracia ogolili mnie na tyso.

– Oj, bo włosy odrastają!

– Ogolili mi też sierść, kiedy byłam w wilczej formie. Pół roku wkręcali dzieciakom w szkole, że jestem zmutowaną odmianą pół wilka, pół sfinksa.

– Widzisz? Wasze szczenięta czy kocięta na pewno nie będą gorsze od twoich braci. Nie rozumiem, czemu się tak opierasz.

– Dobranoc, mamo – pożegnała się, zanim powiedziałyby coś, czego Zuzanna nie zapomniałaby jej przez najbliższe dwadzieścia lat.

– Widzę was w niedzielę na obiedzie, żadnej dyskusji! – zażądała matka tonem alfy.

Anna zgodziła się, bo jeśli czegoś się nauczyła o swojej matce, to tego, że czasami nawet małe zwycięstwa odwracały jej uwagę od prowadzonej przez nią wielkiej kampanii.

– Halloweenowy ślub brzmi świetnie – wymruczał Rafał, wtulając się w jej plecy.

– Zamknij się, kocie, bo obudzisz się łysy. – Parsknęła śmiechem i umościła się w jego objęciach.

– Jesteś po prostu podła. Kocham cię – szepnął jej w ucho.

– Teraz, gdy znam twoich braci, wnioskuję, że to rodzinna patologia, wiesz?

– Niewykluczone – przyznał i dmuchnął jej w kark.

Nie mogła wbić mu szpileczek, gdy był taki rozanielony. Zepsuł ją, do szczętu.

CZYM KARMIE
SWOJE DEMONY



I

Nic nie zapowiadało umierania. Nie postawiłabym złotówki na to, że jeszcze tego dnia odwiedzę Valhallę. Byłam całkowicie skoncentrowana na tym, by posłać Bohdana Kruka do piekła. Od ponad miesiąca, od chwili, kiedy wydoszłam się z płonącego domu Stelli Kruk, żył pożyczonym życiem, oddychał powietrzem, na które nie zasługiwał. Musiałam się zdobyć na więcej cierpliwości. Brynjar nie miał jej ani odrobiny i każdy dzień zwłoki traktował jak osobistą zniewagę. Bo jaki to problem rozszarpać kanałię na strzępy? Przez ostatnie tygodnie był tak nabuzowany wściekłością i zniecierpliwiony, że – na jawie i w snach – przedstawiał mi obrazowo, jak dokładnie miałoby to wyglądać. Przypominał przedszkolaka, który uparcie rysuje psa w serduszkach i pokazuje je mamie, aż ta załapie subtelną aluzję.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym nic już nie mogło nas powstrzymać. Wszystko zostało drobniaczko zaplanowane. Stella była kryta, nikt nie miał powodów, by łączyć śmierć Bohdana z nią, nie groziły jej żadne konsekwencje. Oficjalnie nie miała z tym wyrównywaniem rachunków nic wspólnego.

Zadbała o mocne alibi. Dwa tygodnie temu ostatecznie wyjechała z Warszą i liczni świadkowie mogli to potwierdzić. O zabójstwo na zlecenie też nikt nie będzie jej podejrzewał, bo który zabójca zrobiłby to za darmo? W ciągu ostatnich tygodni z jej osobistych i firmowych kont nie dokonano żadnej podejrzanej wypłaty. Sporo kosztowało ją zatrudnienie firmy rozbiórkowej, która miała uprzątnąć zgłiszcząca domu i przygotować działkę pod nową budowę lub sprzedaż, ale wszyscy znali jej podwykonawcę – spółka była zbyt praworządna, by na boku załatwiać mokrą robotę.

Owszem, Stella zapłaciła mi pięć tygodni temu, ale to żadna tajemnica, że ochrona w tak ekstremalnych warunkach kosztuje majątek.

Nikt by nie kupił tego, że nie tylko zrobiłam to gratis, ale jeszcze dorzuciłam z własnej kieszeni honorarium dla najemników, których potrzebowałam przy tej robocie. W końcu ja i Bohdan nie mieliśmy żadnych powiązań osobistych ani finansowych, a przecież Cienie nie pozwalają sobie na takie ekscesy jak darmowe usługi. Cóż, już nie byłam Cieniem.

Zabrałam na robotę Jurija i Ezrę. Z pierwszym zdarzyło mi się pracować i miał jedną niesamowitą zaletę: nie wkurwiał mnie, jak większość najemników. Drugiego chciałam sprawdzić w kontrolowanych warunkach, bo widziałam w nim potencjał na członka swojego przyszłego zespołu. Ezra był dyskretny i prostonolinijny, nawet jeśli czasem brutalnie szczery.

– To pojebane – stwierdził, gdy bez podawania nazwisk i detali wyjaśniłam mu, co zamierzam zrobić.

– To znaczy, że nie jesteś zainteresowany? – dopytałam. Staliśmy przed domem jego babki, która zerkała na nas zza firanki.

– E, nie, tylko mówię, że to pojebane. Gdyby „pojebane” mnie zniechęcało, nie znalazłbym w tym mieście żadnej roboty – odpowiedział. – Połowa płatna z góry. Jakby coś się spierdoliło, babcia będzie miała trochę forys na zaś.

Zgodziłam się. Ciekawiła mnie jego magia. Mówił, że ma „troszkę po babce”, wiedźmie balistycznej. Okazało się, że był pieprzonym snajperem, który trafiłby cel z zamkniętymi oczami i w pół kichnięcia. Miał lepsze oko niż ja, mimo że przeszłam kompleksowe szkolenie i spędziłam w cholerę czasu na strzelnicy, trenując do upadłego. On się taki urodził i „czasem bywał na strzelnicy”.

Kiedyś poszłabym na Bohdana sama. Wślizgnęłabym się do jego domu pod osłoną nocy, zabiła go cichutko i dyskretnie. Tym razem potrzebowałam czegoś bardziej widowiskowego. Jeśli załatwię to dobrze, wszyscy będą winili ifryta albo jego ziomków. Miałam swoje powody. Nie wiedziałam, jaki kontrakt podpisał Kruk z Zakonem, ale jeżeli zapłacił im z góry za zemstę, żaden trop nie mógł ich doprowadzić do mnie i do Stelli. Jeśli natomiast podrzucone okruszki naprowadzą Zakon na nadprzyrodzonego i potężnego przeciwnika, organizacja nie będzie nadstawiać karku bez dodatkowych opłat.

Prawnik Stelli nie wiedział, co planuję, okazał się jednak więcej niż pomocny. Bardzo sprytnie poprowadził kwestię odszkodowania za spalony dom. Nie zgłosił tego jako wypadek, ale jako podpalenie z winy współwłaściciela. W pierwszym przypadku Stella dostałaby wyższe odszkodowanie,

w drugim – adwokat musiał złożyć zeznanie wyjaśniające. I wyjaśnił: Bohdan Kruk wszedł w konszachty z ifrytem, jednak nie dotrzymał swojej strony targu, więc w ramach zemsty tamten spalił mu dom. Do dziś cały Wars znał już historię pazernego jubilera, który próbował się dogadać z arabskim demonem, ale przestrzelił i jego żona ledwie uszła z życiem.

Prawnik był wart każdych pieniędzy, które płaciła mu Stella. Dopisał nawet sprawę układu Kruka z ifrytem jako okoliczność będącą jednym z podstawowych powodów do rozwodu, o który wystąpiła. „Realny lęk o własne życie” przekonał sędzię i zanim jeszcze podpisał decyzję o rozwodzie, Stella dostała formalną ochronę. Bohdan i bezimienny ifryt mieli zakaz zbliżania. W praktyce był wart funta kłaków, ale wieści szybko obiegły miasto i stały się wodą na młyn lokalnych plotkarzy. A plotki czyniły moje życie łatwiejszym. Przynajmniej tym razem.

Kiedy się rozejdzie, że dziś nad ranem spłonął nowy dom męża Stelli, z nim i jego ochroną w środku, większość założy, że to finał rozgrywki jubilera z ifrytem. Ognisty demon vs. Bohdan Kruk, dwa do zera, jak było do przewidzenia. Tylko idioci próbują pogrywać z dżinami, a ifryt to ich bliski krewny. O tym, jak źle się to kończy, krążą tyle legend, że mieszkańcy Warsa jedynie pokiwają głowami i spluną przez ramię, by nie kusić złego. Żona Bohdana już dawno zniknęła z obrazka i moja w tym głowa, żeby nikt jej nie dorysował w ostatniej chwili.

*

Wszystko zaczęło się od starej kopalni srebra. Nieczynna jeszcze przed wojną, kuśiła Kruka obietnicą bogactwa. Nie interesowały go plotki czy legendy o przyczynie jej zamknięcia. Wysłał ludzi, aby oczyścili zawalone wybuchami chodniki. Robotnicy zaczęli znikać, ale Kruk miał dość forsę, by posyłać do kopalni kolejnych i kolejnych. A im głębiej przekopywali się przez gruzowisko, tym częściej snił o ogniu i bogactwie. Nie zapaliły mu się lampki alarmowe, kiedy zaczął słyszeć w głowie podejrzane szept.

Karma sprawdziła dla mnie papiery tej kopalni. Chciałam wiedzieć, czy była warta tego całego zamieszania, a co ważniejsze – czy czało się tam coś, z czym będę musiała się uporać po zlikwidowaniu Kruka. Na przykład ktoś w rodzaju rodzeństwa ifryta, któremu Bohdan oddał ciało Astrid, babki swojej żony, wiedząc, że ten ją nie tylko opęta, ale i zabije.

Kopalnia okazała się bezsensowną inwestycją, niewartą złamanego grosza. Jedyne, co przynosiła, to śmierć górników. To dlatego ją zamknięto. Właściciel wysadził tunele, zasypał szyb kopalniany i zniknął, pozostawiając znajdujących się w środku ludzi. Najwyraźniej tak było taniej niż próbować ich wyciągnąć. W 1932 roku facet odpowiedział za to przed sądem.

Nie wzięliśmy, czy ifryt mieszkał tam już wcześniej, czy któryś z uwięzionych robotników miał wystarczająco wiele magii, by śmierć uwolniła jego niszczycielską moc. Może to on odpowiadał za liczne zgony wśród górników? A może brak przestrzegania zasad BHP? Obie wersje wydawały się prawdopodobne.

Bohdan tak mocno wsłuchał się w podszepty i ogniste sny o bogactwie, że zainwestował w zawaloną kopalnię fortunę. Nawet kupił opuszczoną dziewiętnastowieczną plebanię położoną raptem kilometr dalej. Zamieszkał w niej po wyprowadzce od Stelli.

Właśnie tam miała go dopaść sprawiedliwość.

Żadnych sąsiadów, żadnych świadków. Miał liczną ochronę, ale Jurij i Ezra zapewnili jej tyle rozrywki, że nikt mi nie przeszkaźał, kiedy wślizgnęłam się do domu i szukałam Bohdana. Słyszał strzały i schował się w zabezpieczonym magicznie refektarzu. Złamałam zaklęcia i obca magia ledwie mnie musnęła, za to gdy przekroczyłam próg, uderzyła we mnie jak młot. Wszystkie ściany były obwieszone półkami i gablotami wypełnionymi przez magiczne artefakty, głównie biżuterię i naczynia liturgiczne, ale też rzeźby, obrazy, sztylety. Bohdan lubił się otaczać magicznymi rupieciami. Traktował je jako zapasowe źródło magii. Sam nie miał jej od urodzenia zbyt dużo, jednak przez lata flirtował z czarnoksięstwem, więc nie był niewinną owieczką. W swojej pracowni w domu Stelli zostawił niewiele, ale i tak czułam w niej opary czarnej magii. W tym pomieszczeniu odczuwałam ją stokroć mocniej, jakby Kruka przyciągały same splamione krwią artefakty. Może właśnie dlatego kopalnia stała się dla niego tak kusząca.

Nie rozumiał, co się dzieje. Próbował mnie przekupić.

– Możesz wziąć każdy z tych przedmiotów, są warte majątek – zapewniał, machając rękami w stronę gablot. – Ilekolwiek ci zapłaciła, mogę to przebić!

Przebicie zera nie byłoby szczególnie skomplikowane...

Nie mogłam podejść, coś otaczało go barierą ochronną. Nie wiedziałam, czy pas, czy naszyjnik, które nosił, bo oba promieniowały silną magią.

– Jest jedno możliwe zakończenie tego wieczoru. Przedłużasz nieuniknione i tylko mnie wkurwiasz – powiedziałam, kreśląc na podłodze przed nim sygiłę przełamania bariery.

Gloria nauczyła mnie, jak ją rysować i nasączać mocą. Ledwie skończyłam i posłałam impuls magii tak silny, że zdreptały mi palce, bariera Kruka zaczęła wibrować w nieharmonijny sposób i kwestią czasu było, jak pęknie. Nie musiałam się spieszyć. Na górze robiło się coraz ciszej, dobiegały mnie jeszcze pojedyncze strzały czy dźwięk spadających na podłogę przedmiotów, ale Jurij i Ezra powoli kończyli swoje zadanie.

– Jesteś zdany na siebie, robaczku. Możesz umrzeć spokojnie albo będzie rzeź. Osobiście wolałabym to drugie, bo mam potwora do usatysfakcjonowania. Czekał cały miesiąc, wpakowanie ci kulki w łeb zostawi go sfrustrowanym i głodnym – powiedziałam, podchodząc bliżej, gdy warstwy jego osłony zaczęły znikać.

– Czego chcesz? – Był wściekły, ale jeszcze nie rezygnował z targów.

– Od ciebie? Niczego. Kompletnie niczego. – Uśmiechnęłam się i pozwoliłam berserkowi wyjrzeć na wierzch.

Kolejna warstwa bariery rozbiła się w żółty pył, który oprószył podłogę. Nie zwróciłam uwagi na kolor ani na zapach. Nagle między mną a Bohdanem pojawiła się bestia. Tego się nie spodziewałam! Ponad metr w kłębie, masywne umięśnione cielsko, czarne, jakby poskładane z grud węgla. Jej łeb zwieńczały potężne baranie rogi. Z trojgiem głęboko osadzonych oczu, wystającymi żółtymi zębiskami i długimi na dobrych piętnaście centymetrów kolecami wzdłuż grzbietu stworzył bynajmniej nie wyglądał, jakby Bohdan przygarnął go z miejscowego schroniska. Śwąd siarki i palący dotyk czarnej magii jednoznacznie wskazywały na pochodzenie bestii. Z kim się dogadał, by zapewnić sobie taką ochronę?

Po ogarze piekielnym, z którym ostatnio walczyłam, czułam respekt przed podobnymi mu stworami. Ich ugrzyzenia bolały jak cholera, goiły się tygodniami i nawet antybiotyki nie chroniły całkowicie przed infekcją. Strzeliłam kilkakrotnie, ale bestia ruszyła na mnie jak taran, a kule zrykoszetowały o jej kolczastą szyję. Uskoczyłam, jednak nie dość szybko, bo potężny róg zaczeplił o mój bok, na chwilę wyciskając mi całe powietrze z płuc.

– Teraz – powiedziałam do Brynjar. Miał dużo lepsze kwalifikacje do siłowania się z piekielną rogacizną.

Przemiana poszła błyskawicznie, jakby berserk był gotowy i tylko czekał na zielone światło. W rozbłysku magii zmienił moje ciało w jego krwiożerczą wersję. Zaczynał olbrzymie dłonie na rogach bestii i szarpnął, odrywając ją od podłogi. Stworzył wół się i próbował zarzucić ciężarem ciała tak, by wbić w berserka kolce, połykując zaraz wilgocią i najprawdopodobniej zatrute, ale Brynjar był na to zbyt silny i zbyt szybki. Skręcił mu kark i szarpnął tak mocno, że oderwał rogatą głowę od kolczastego cielska. Odrzucił obie części w przeciwne strony pokoju, strącając kilka artefaktów ze ścian.

– Teraz ty – wycharczał do Bohdana. – Idę po ciebie.

Kolejna warstwa osłon rozpadła się i osypała na podłogę. Wokół Kruka wibrowało już tylko pojedyncze pole siłowe, a kiedy upadło i ono, Brynjar dopadł go, z pięściami, pazurami i zębiskami, zanim czarnoksiężnik zaprosiłby na imprezę kolejnego koleżkę.

W kilku potężnych ciosach berserk zamienił głowę Bohdana w miazgę. A potem uderzał jego zwłokami o podłogę, jakby pragnął zabić go bardziej, jeszcze raz, mocniej, jeszcze trochę, do końca. Nie przerywałam. Nie usłyszałby mnie.

Gdy uznał, że starczy, odsunął się od szczątków rozmazanych po kamiennej podłodze i oddał mi stery. Bez słowa. Był rozczarowany, ale nie wiedziałam czemu.

– Ty dalej – powiedział i nasze ciało zalała fala przemiany. Teraz to ja stałam w piwnicy nad zmasakrowanymi zwłokami.

– Nikita, kończysz? Ustawiamy zapalniki! – usłyszałam głos Jurija dobiegający z góry schodów do piwnicy.

– Już wychodzę! – odrzyknęłam.

To koniec. Nie czułam satysfakcji, choć osiągnęłam cel. Może kiedy wszystko zeżre ogień, poczuję, że faktycznie postawiłam kropkę nad i?

Choć było to absurdalne w obliczu zadanych obrażeń, sprawdziłam, czy zezwłok ma puls. Nie ufałam kanałii. Dla bezpieczeństwa obciąłam trupowi głowę i ułożyłam ją między jego stopami.

Rozejrzałam się po wibrującym mocą pomieszczeniu. Nie zamierzałam niczego dotykać ani zabierać. Przeklęte artefakty. Może i były warte fortunę, ale jak widać, nie ochroniły właściciela przed własną głupotą i cudzą siłą.

Opuściłam piwnicę z dziwną mieszaniną zmęczenia i zawodu. Czegokolwiek się spodziewałam, nie nastąpiło.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jurij, patrząc na mnie spod byka. Miałam poszarpane po przemianie ubranie, skąpane we krwi.

– Taaa, na ostatniej prostej przywołał coś z piekła – powiedziałam wymijająco.

– Z tobą nie można się nudzić, co? – Wyszczrzył się i dodał: – A teraz spierdalamy, zanim się zagotują banieczki.

Spierdaliśmy w podskokach. W przypadku ognia salamandry nie dało się precyzyjnie ocenić, ile mieliśmy czasu – za dużo zmiennych. Nawet te magiczne kłamoty w piwnicy mogły wpływać na akcelerację reakcji i szklane bańki wypełnione magicznym ogniem, które Jurij strategicznie porozkładał w całym budynku, mogły wypalić szybciej niż w czasie testów. Właśnie dlatego wołałabym bardziej przewidywalne ładunki wybuchowe – plastik, napalm czy stary, dobry dynamit – ale Jurij mnie przekonał, że gdyby Zakon jednak wysłał jakichś śledczych na pogorzelnisko, wyniuchaliby je na kilometr. Ogień magicznego pochodzenia był bardziej spójny z wersją wydarzeń, którą chcieliśmy przeforsować. Wkurzony ifryt i duże bum.

Nie usłiśmy nawet dziesięciu metrów od budynku, gdy pierdolnęła pierwsza banieczka, uwalniając reakcję łańcuchową. Podmuch powalił nas na ziemię i szybko odpedził nas poza zasięg płomieni. Stara plebania zmieniła się w płonąca niebieskawo-pomarańczową kulę, ogniste jęzory przybierały na niebie kształty zwinnych jaszczurek.

– Się, kurde, nie spieszyliście – burknął Ezra, schodząc z drzewa ze swoim karabinkiem.

– Tęskniłeś? – zapytał Jurij. Był w znakomitym humorze.

– Taaa, za drugą połową honorarium. Zdjąłem sześciu, zapracowałem na tę forszę.

Zostaliśmy do końca, by się upewnić, że ogień nie przeniesie się na zabudowania gospodarcze i las za nimi, ale tego dnia nawet wiatr mi sprzyjał. Jakbym wypełniała wyroki Norm, a one wspierały mnie we wszystkim, co robiłam.

Gdy ze starego, drewnianego domu zostały już tylko kikuty kamiennych fundamentów, wreszcie poczułam ślad satysfakcji. Sprawa była oficjalnie zamknięta.

Miałam nadzieję, że wszystko wróci do normy.

– Już jej nie skrzywdzi – szepnęłam w myślach do Brynjara.

Szykowaliśmy się do odejścia, gdy jakiś stłumiony stukot przykuł moją uwagę. Rytmiczne „łup, łup” dochodziło z zabudowań gospodarczych.

– Słyszysz to? – zapytałam Jurija. Nie byłam pewna, czy nie mam omamów słuchowych.

Kiwnął głową, wyciągnął broń z kabury i poszedł sprawdzić. Chwilę potem usłyszałam barwną, dwujęzyczną wiązkę przekleństw. Dołączyłam do niego w progu kamiennego budynku, który kiedyś zapewne służył jako przydomowy warsztat czy spiżarka, za to teraz... Kurwa strzelista na chuju złamanym!

Przy ścianie, przykuty do niej łańcuchem, stał chłopak, za oko niespełna osiemnastoletni, choć wysoki i umięśniony. Był brudny i obdarty. Powietrze w komórce cuchnęło odchodami. Staliśmy pod światło, więc nie widział nas wyraźnie, ale zaciskał palce na kawałku rury, którą przed chwilą walił w stalowe oczko wmurowane w ścianę. Przechodziły przez nie opasujące go łańcuchy.

Przed atakiem obserwowaliśmy dom wiele godzin i nic nie wskazywało na to, że poza Bohdanem i ochroną jest tu ktokolwiek.

– Teraz mnie zabije? – zapytał głucho młodzień. Pochylał się w naszą stronę, jakby szykował się do walnięcia nas z główki.

– Czemu tu jesteście? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Odpowiadaj, nie mamy całego dnia – warknął Jurij.

– Niech sobie w dupę wsadzi te rytuały! Prędeż zdechnę, niż będę z nim współpracował! – wyrzucił z siebie chłopak.

Zaczęło mi coś świtać.

– Od jak dawna tu siedzisz? – zapytałam.

– Nie muszę ci nic mówić – burknął.

– Nie musisz. W każdej chwili mogę zamknąć te drzwi i odejść w siną dal. A ty sobie dalej wygrywasz więziennego bluesa na kajdany i rurkę – odpowiedziałam i zaplotłam ręce na piersi.

Jurij przesunął się przede mnie, częściowo zasłaniając mi widok. Szturchnęłam go, a on tylko parsknął.

– Pomyśl, jak wyglądasz – odciął się i zwrócił się do chłopaka: – Jeśli to Kruk cię tu zamknął, to naprawdę powinieneś chcieć się z nami dogadać. Bo zanim ktokolwiek cię tu znajdzie, zdechniesz z głodu albo z odwodnienia.

– Taaa, gdybym miał tyle szczęścia i przestałoby tu przylądzić – burknął więzień.

– Martwi nie przyjdą, nie?

Jurij, mistrz subtelności, maestro dyplomacji, wirtuoz wycucia.

– Są martwi? – Chłopak zamrugał zaskoczony.

– Ostatecznie i na zawsze – przytaknął Jurij.

– To czemu mnie nie uwolnicie?

Prychnęłam.

– Bo z zasady nie uwalniam ludzi przykutych do ściany, dopóki się nie dowiem, czemu są przykuci – odparł Jurij. – Może jesteś wendigo albo kanibalem?

Tak, to naprawdę były jego pierwsze skojarzenia.

– I myślisz, że gdybym był, przyznałbym się do tego? – dociekał chłopiec.

Bogowie, możemy tu siedzieć do jutra. Albo do czasu, gdy ktoś jednak zauważy ślup czarnego dymu i przyjedzie sprawdzić, czy plebania aby przypadkiem nie płonie.

– Jesteś przed czy po rytuale? – zapytałam.

Odruchowo uciekł spojrzeniem w stronę zwoju łańcuchów pod drugą ścianą.

– Dobra, czyli przed. Ale ktoś miał mniej szczęścia, prawda?

– Mój brat – przyznał w końcu.

– Wiesz, gdzie go trzymają?

Skinął głową.

– Jeśli go kochasz, zabijesz go, zanim się przebudzi. Inaczej będzie zbyt potężny, byś dał mu radę – powiedziałam.

– Skąd wiesz? – zapytał cicho.

– Bo już się z tym gównem spotkałam. Lepiej się pogódź, że twój brat nie żyje, a jego ciało próbuje opętać ifryt, potężny i wściekły po latach uwięzienia.

Cholera, nawet nie pomyślałam, że kiedy zabiłam Astrid, a potem opętanego Cienia, to kurestwo się uwolniło i Kruk zdołał je wszczepić komuś innemu. Może zresztą było ich w kopalni więcej?

Jurij podszedł do ściany i rozpiął łańcuchy, uwalniając więźnia.

– Macie ładunki wybuchowe? – zapytał chłopak.

– Czy woda jest mokra? – odparował Jurij.

– Umiesz się nimi posługiwać czy potrzebujesz pomocy? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Zajmę się tym. Ta kopalnia powinna zniknąć. Od stu lat nic dobrego z niej nie wylazło – powiedział, masując pocięte i spuchnięte nadgarstki.

Jurij spojrzął na mnie pytająco. Kiwnęłam głową. Na kopalnię nie było mi szkoda plastiku, w końcu od niej wszystko się zaczęło.

– Chodź, dzieciaku, zrobimy bardzo duże bum – zwrócił się najemnik do chłopca i poklepał go po plecach.

– I pamiętaj, nie widziałeś nas, nie znamy się, nic nie wiesz, w ogóle cię tu nie było. Albo będę musiała cię znaleźć – zaznaczyłam, kiedy mnie mijali.

– Nigdy cię na oczy nie widziałem. Nawet w koszmarach cię nie rozpoznam – zapewnił i uniósł zawadiacko brew.

Prychnęłam i wróciłam do Brzydala, zaparkowanego w ustronnym miejscu w lesie. Obok niego stał poobijany czerwony pick-up. Ezra opierał się o niego bokiem i dopalał papierosa. Dbał o swój wizerunek żyłastego kowboja ze starej reklamy Marlboro.

– Koniec na dziś? – zapytał.

Przytaknęłam. Ściągnęłam przez głowę poszarpaną i zakrwawioną koszulkę i cisnęłam ją za siedzenie Brzydala. Czystym ręcznikiem zmoczonego wodą z butelki wytarłam twarz, szyję, ramiona. Żebra z lewej strony miałam posiniaczone i tkliwe. Założyłam czystą koszulkę i przeczesałam włosy palcami. Portki ciągle były brudne, ale nikt ich nie zobaczy, póki będę w aucie.

Z plecaka wciśniętego pod siedzenie wyciągnęłam kopertę z drugą połową honorarium i rzuciłam ją w stronę Ezry. Złapał forszę w locie. Zajrzał, przeliczył i powiedział:

– Albo nie umiesz liczyć, albo jesteś hojną pracodawczynią. W obu przypadkach polecam się na przyszłość – dodał i uchylił mi wymyślnego kapelusza.

Wsiadł za kierownicę i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Mój ulubiony typ współpracownika. Żadnych pytań, żadnej konieczności tulenia go po robocie i zapewniania, że to było konieczne i że ciągle jest dobrym chłopcem. Od tego miał babcię.

Kolejne dwadzieścia minut siedziałam w samochodzie, czekając na Jurija. Nie zabrał swojego auta, bo uznał, że za bardzo rzuca się w oczy. No raczej, kurde. Płomienie wymalowane na karoserii z reguły zwracają uwagę.

W końcu wrócił. Sam. Wsiadł i poklepał deskę rozdzielczą ze słowami:

– Spierdalamy, moja panno.

Ujechaliśmy może trzy kilometry, kiedy ziemią wstrząsnął huk. Nawet w aucie poczułam wstrząs. Jurij się uśmiechnął, bardzo z siebie zadowolony.

– Lepiej, żeby ten dzieciak biegał tak szybko, jak twierdził, że biega. Proponowałem mu podwózkę do domu, ale chyba nie budzisz zaufania.

– Skąd go zgarnęli? – zapytałam.

– Z Rubieży.

Parsknęłam. Taaa, to ja nie budziłam zaufania. Nawet Wars wypada lepiej w porównaniu z Rubieżami.

Prowadziłam spokojnie, by nie zwracać na nas uwagi, gdy zbliżaliśmy się do rogatek Warsa. Milczałam. Próbowałam zaczeplić berserka na poziomie mentalnym, ale trafiałam w pustkę, jakby całkiem zniknął. Niepokojące.

Byłam zawiedziona. Jeszcze rano miałam nadzieję, że wszystko wróci do normy, gdy zakończymy całą tę chryję i Bohdan Kruk zniknie ze świata w kuli ognia. Nic się jednak nie zmieniło. Było wręcz gorzej. Nie wyczuwałam już po skórą nadąsanego nastolatka, nie czułam nic poza mętlikiem w głowie.

Co jeszcze mogłam zrobić?

To nie tak, że dostajesz w genach berserka, a potem księgę jego obsługi i serwisowania. Coś się posypało, a ja nie wiedziałam, jak to naprawić. Jeżeli wkrótce to się nie naprostuje, znów będę musiała wybrać się do Norwegii i pogadać z Frigg. Teoretycznie Brynjar mógł mnie z nią skontaktować na odległość, tyle że musiałyby być aktywne i chętne do komunikacji.

Jurij błędnie zinterpretował moją minę i powiedział:

– Nie przyzwyczajaj się, ale jeśli chcesz podzielić moje honorarium na raty, nie ma sprawy.

Parsknęłam krótkim śmiechem i wyciągnęłam spod siedzenia drugą kopertę. Odliczone, z małą premią. Jurij odprężył się na fotelu i uśmiechnął, jakby wychleptał miskę śmietanki. Może jego biznes wcale nie szedł tak dobrze, jak twierdził?

Podrzuciłam go do domu. Pierwszy raz, odkąd odszedł z Zakonu, odważył się na stały adres, dwie przecznice od mieszkania Robina, trzy od mojego lokum. Zabrał z bagażnika swoją torbę ze sprzętem i machnął ręką na pożegnanie. Wykręciłam na podjeździe i ruszyłam do siebie.

*

Miałam wyciszony telefon, ale poczułam go, gdy zaczął wibrować i uderzać o moje obite zębra.

– Co tam? – zapytałam, widząc na wyświetlaczu numer Robina.

– Pojechałaś beze mnie! – powiedział z wyrzutem.

– To tylko malutkie sprzątanie. Nie chciałam cię odrywać od roboty.

– Jakiej znowu roboty? – Wciąż był naburmuszony.

– W samo południe, czyli za niecałą godzinę, wpadnie do ciebie hydraulik – wyjaśniłam.

– Po co mi hydraulik? – zdziwił się. – Przecież z wodą i kanalizacją wszystko jest dobrze.

Namówiłam go na kupno domu naprzeciwko mojego. Zwolnił się w dosyć drastycznych okolicznościach, po wyjątkowo upiornej czkawce, więc cena była nader korzystna. Mój samochód kosztował więcej. Niestety, jak każdy dom wymagał pracy i osławiania. Poprzedni właściciele gównó wiedzieli o Warsie, byli też aroganckimi dupkami, co miało swoje konsekwencje.

– Musisz odbudować wodny krąg wokół domu, jeśli chcesz zakotwiczyć solidne osłony. Ci idioci odciepli rury od zasilania. Potrzebujesz hydraulika, Bielski jest najlepszy i zna się na magii wody.

– To się nigdy nie skończy, prawda? – zapytał przygnębiony Robin.

– Co konkretnie?

– Naprawy – jęknął.

Trochę dramatyzował. Owszem, musiał wymienić uszkodzone okna, zamienić niepraktyczne rolety na mocne, antyczkawkowe okiennice, w miejsce rozdartych pazurami loup garou futki i wsporników ogrodzenia wstawić nowe, ale w porównaniu z tym, czego wymagał mój dom, kiedy go kupiłam, to czysta kosmetyka. W środku wszystko było w dobrym stanie, nawet jeśli w kiepskim stylu.

– Witamy w szczęśliwym gronie posiadaczy nieruchomości. Ciesz się widokiem z okien, wolną hipoteką i szafami wnękowymi. Wynagrodzą ci resztę zmartwień z nawiązką. Poza tym jeżeli to za dużo zachodu, zawsze możesz odebrać swoje mieszkanie gryfom. Najlepiej zanim zaczną sezon godowy.

Mruknął coś wulgarnego na temat mojego poczucia humoru i się rozłączył. Sądząc po słownictwie, zadomowił się już w Warsie na dobre.

Gdy parkowałam przed domem, on i Bielski wciąż debatowali, skupieni na rurach i nieistniejących przyłączach.

Mdliło mnie. Nawet w czystej koszulce roztaczałam zapach dymu. Tym razem nie byłam poparzona, nie przypaliłam włosów, ale woń dymu wywoływała u mnie reakcję stresową. Odkąd wyszłam z płonącego domu Stelli, smród spalenizny zwalniał mi w głowie jakąś zapadkę i zaczynałam się zapętleć. A później przychodziły koszmary.

Najpierw kąpiel, potem coś zjeść, pomyślałam, ściągając z siebie ciuchy w łazience. Weszłam pod gorący strumień wody. Żel pod prysznic pachniał grejpfrutem i rozmarynem. Mocny zapach przyćmił woń dymu, którą przywlokłam do domu na skórze i włosach.

Wyszłam po kilku minutach. Gdy się wycierałam, poczułam, że coś jest nie tak. Zakręciło mi się w głowie i musiałam się oprzeć o umywalkę, żeby nie wyrznąć twarzą o podłogę. Nagły ból sprawił, że nogi się pode mną ugięły.

I raptem, tak po prostu, patrzyłam spod sufitu na moje skręcone na kafelkach ciało. Próbowałam do niego wrócić, ale coś szarpnęło mnie w górę. Mamrotałam przekleństwa, kiedy wokół mnie rozbłysły iskry, a moja dusza rozpoczęła wędrówkę Tęczowym Mostem do Valhali.

Co przegapiłam? – myślałam gorączkowo. Czyżby bęcki w zebra uszkodziły wątrobę lub trzustkę? Nie bolało aż tak! Może gdy Brynjar rozrywał barana, otarł się o trujące kolce? Albo umknęła mi jakaś klątwa na Bohdanie i jego śmierć odpaliła reakcję łańcuchową? Kurwa!

Co za idiotyczny pomysł, umierać! Na pusty żołądek! Trzeba było jednak coś zjeść, zanim weszłam pod prysznic.

II

To nie była moja pierwsza wizyta w Valhalli, ale pierwszy raz prawie oficjalna, brakowało jedynie dzwonów. Wcześniej dostawałam się tu tylnym wejściem, rzucając się z norweskiego fiordu, albo furtką w snach, gdy wciągał mnie tu mój brat Ture.

Tym razem kraina przodków rozwinęła przede mną swój odpowiednik czerwonego dywanu – Tęczowy Most. Szłam jak na skazanie, choć właściwie wyrok już zapadł, skoro magia mostu trzymała mnie w kurczowym uścisku i mogłam się poruszać tylko w jednym kierunku.

Powiedzieć, że nie byłam zachwycona, to nic nie powiedzieć. Pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna czułam, że mam po co żyć. „Ja bym po tobie płakał”, usłyszałam w głowie cichutki głosik Michała. Odchodziłam za wcześnie. Na ziemi czekało mnie jeszcze mnóstwo sernika od Glorii. I ledwie poznałam to ciepłko zadomawiania się gdzieś, zapuszczania korzeni, czucia się częścią czegoś większego niż ja sama. No chujowo po prostu.

Na końcu mostu czekał na mnie Brynjar, z bardzo nieszczęśliwą miną.

– Przykro mi, że spieprzyłam – powiedziałam na powitanie i mocno go objęłam.

Mieliśmy za sobą upiorny miesiąc. Od sprawy Stelli nie był sobą. Po fali gniewu przyszła fala depresji, a potem ciszy. Aż do dzisiejszej pustki.

Może to nie piekielny demon mnie załatwił, ale moja niezdolność do naprawienia tego bałaganu? Cóż, w księżce telefonicznej próżno było szukać terapeuty specjalizującego się w leczeniu traumy u berserków. Większość z nich miała poziom emocjonalny gumki recepturki – wystarczyło naciągnąć, by trzasnął z hukiem. Lecz Brynjar był inny.

– To ja – powiedział z taką miną, jakby się spodziewał, że się wkurzę.

Może kiedyś rzeczywiście bym się wkurzyła. Lecz teraz etap gumki recepturki miałam za sobą.

– Co się stało? – zapytałam miękko.

– Chciałem zrozumieć... Przyszedłem do Frigg.

Miał w oczach ten wyraz zagubienia, który łamał mi serce. W Valhalli radził sobie z komunikacją dużo lepiej. Nawet po rytuale splatania, przez który przeprowadziły nas volvy, na Ziemi jego możliwości były bardziej ograniczone. Posługiwał się prostymi i krótkimi komunikatami, nie zawsze znajdował odpowiednie słowa, często polegał na obrazach i przeblyskach emocji. Valhalla uwalniała go od władzy adrenaliny.

Ostatnia komunikacja między nami miała miejsce prawie trzy tygodnie temu, w dniu, w którym uwalnialiśmy rysie z rąk czarnej wiedźmy i zderzyliśmy się z bezcielesnym i morderczo niebezpiecznym arabskim demonem. Nie mogłam z nim walczyć, więc kupiłam sobie czas jedzeniem i opowieścią. Żeby to zadziało, historia musiała być prawdziwa i trafiać do serca. Z demonem się udało. Gorzej, że jeszcze bardziej rozdrapałam rany Brynjara. Zamilkł. Nawet koszmary zniknęły, jakby odchodząc, zabrał je ze sobą.

A teraz unikał patrzenia mi w oczy, jak gdyby bał się, że go odrzucę za coś, co zrobił.

– Prawie na pewno nie umarłaś – powiedział cicho.

„Prawie na pewno”. Fajnie. A procentowo jak to wyglądało?

– Frigg nam pomogła. Źle się czułem, zimny. Zawołałem ją. Bałem się, że zrobię ci krzywdę. Pomogła mi. A teraz pomogła ci się tu dostać.

– Chciałeś porozmawiać? – domyśliłam się.

Kiwnął głową, zgarbiony, jakby ciągle coś go bolało. Objęłam go ramieniem. Choć zwykle był jak żywioł, potężny i nieugięty, teraz wyczuwałam jego splątane emocje i coś kruchej, czego wcześniej u niego nie dostrzegałam.

– Znajdźmy spokojny kąt, zanim wypatrzy nas Ernst albo Odyn – zaproponowałam. Jak gdyby tych dwóch wciąż było moim największym zmartwieniem.

Zaprowadził mnie do małej furtki, za którą rozciągał się sad Frigg. W oddali widziałam jej dom stojący na pagórku spowitym białą mgłą, z której bogini tkła chmury. W sadzie rosły głównie jabłonie. Typowe dla Ziemi okresy wegetacji ich nie ograniczały. Niezależnie od ziemskiej pory roku, tu zawsze jedno drzewka kwitły, inne owocowały, jeszcze inne miały jabłka dojrzające do zbioru. Jako mała

dziewczynka zakradałam się tu z bratem i podbieraliśmy owoce. Potem uciekaliśmy przed walkiriami, jakbyśmy naprawdę wierzyli, że przyjaciółki babci mogłyby nam zrobić krzywdę.

Sad był najspokojniejszym miejscem w Valhalli. Powietrze pachniało tu słodko i świeżo. Brzęczenie pszczoł i szmer liści były jedynymi dźwiękami, jakie docierały do moich uszu. Filtrowane przez liście światło padało na trawnik, tworząc konstelacje złotych plam. Na Ziemi zaczynała się wiosna, tu trwał szczyt lata, choć gdyby bogini chciała, byłoby inaczej.

Brynjar zaprowadził mnie do malutkiej sadzawki otoczonej płaskimi białymi kamieniami. W turkusowej wodzie pływały złote ryby, większe od karpi koi, z białymi welonami płetw i ogona. Emanowały dziwną, niemal kojącą magią.

Berserk poruszał się pewnie, jakby spędził tu ostatnio sporo czasu. Zajął miejsce na trawie.

Siadłam obok niego po turecku. Coś się w nim zmieniło. Czułam gęsty smutek i powściągliwość, jak gdyby wszystko, z czym nie mógł sobie poradzić, spakował w ciasny pakiecik i ukrył na dnie studni. Znałam tę technikę, próbowałam ją stosować przez całe lata. Na dłuższą metę się nie sprawdzała. A gdy pakiecik wybuchał, rozbrzyg był niszczycielski.

– Nie przestało boleć, kiedy go zabiłśmy. Powinno – wyrzucił w końcu, bardzo nieszczęśliwy.

– Niestety, to nie jest takie proste – przyznałam. – Zemsta domyka sprawy, ale nie łagodzi bólu.

– A co łagodzi? – zapytał z nadzieją.

– Chyba tylko czas.

Westchnął ciężko.

– Miłość boli – powiedział z wyrzutem.

– No, boli.

– Ona nie była prawdziwa! Frigg mówi, że to tylko złota magia! Pozwoliła mi się wykapać w sadzawce, a rybki zjadły każdy kawałek tej magii, ale wcale nie przestało boleć!

Był rozżalony jak dziecko, do którego dociera, że świat nie jest sprawiedliwy, a Święty Mikołaj ignoruje listy od dzieci.

– Ale wierzyliśmy, że była prawdziwa. Dotknęła nas w tym samym miejscu, w którym dotknęłaby ta prawdziwa. A potem ją straciliśmy. To musiało boleć. I chyba żadne magiczne rybki nie przyspieszą gojenia serca. W końcu się zrośnie, tyle że to trwa.

Zaczęły mnie szczypać powieki. Uznajmy, że coś tu pyliło. Brynjar był mniej skrepowany okazywaniem emocji niż ja. Z wilgotnymi oczami zapytał lekko łamiącym się głosem:

– Jak je odróżnić? Prawdziwą i fałszywą? Na przyszłość, żebyśmy nie byli słabi i złamani?

Co ja, u diaska, wiedziałam o miłości? Nagle uświadomiłam sobie, że i tak wiem o niej więcej niż on. Przez większość mojego życia Brynjar był spętany i odcięty od uczuć i relacji społecznych, więc nie mógł się ich uczyć krok po kroku. Nie było go na pokładzie, kiedy zakochałam się w Dorze. Nie wiedział, jak to jest ufać komuś bardziej niż sobie ani jak to jest odejść, choć wszystko w środku krzyczy, że łagodniejszy wyjściem byłaby śmierć.

Potałam twarz dłońmi i spróbowałam ująć w słowa to, co czułam.

– Miłość jest jak haczyki wczepione w serce. Czasem płytko. Czasem to tylko iluzja. Ale niekiedy są wbite tak głęboko, że gdy szarpniesz, czujesz ból. Gdy jest prawdziwa, potrafisz odejść, jeśli od tego ma zależeć szczęście drugiej osoby. Nawet jeśli łączy się to z cierpieniem. Prawdziwa miłość nie ma nic wspólnego z egoizmem ani zazdrością. Kiedy kochasz naprawdę, wolisz zrobić krzywdę sobie, niż dobrowolnie skrzywdzić ukochaną osobę.

Przed oczami stanęła mi twarz Dory. Czasem trzeba wybrać mniejszą krzywdę, pomyślałam, i choć minęło tyle lat, ścisnęło mnie w żołądku. Odejście było najlepszym, co mogłam zrobić w tamtej sytuacji, ale żadnej z nas nie oszczędziło to bólu.

– Jak z Zeldą? Żeby była szczęśliwa z Baruchem? I miała więcej kociaczków? – zapytał.

– Dzieciaczków. Ale tak. Kochałam Zeldę, jednak zasługiwała na coś więcej niż ja.

Przytaknął z powagą. Najwyraźniej zgadzał się, że była dla nas za dobra.

– Za mało wiem o miłości, żeby uważać się za ekspertkę. Pamiętam, jak postępowała Irena i co robił Ernst, i staram się postępować odwrotnie.

Pod pewnymi względami byłam równie źle wyedukowana społecznie i emocjonalnie jak Brynjar. Berserk myślał intensywnie, a na skroniach pulsowały mu żyły.

– Robin jest haczykiem – porządkował pojęcia.

– Jest – przyznałam.

– Aleks też jest haczykiem?

– Jest. Dajemy mu tyle przestrzeni, ile potrzebuje, ale zawsze będzie haczykiem.

– I Michaś jest haczykiem – dodał pewniejszym tonem.

– Jest, huncwot jeden.

– Ty jesteś moim haczykiem! – oznajmił, poklepując się po mostku.
– A ty moim, Brynjarze.
– Dużo haczyków. Dużo bólu – powiedział z wyrzutem.
– Też. Ale i radości. Jak wtedy, gdy Michaś nas przytula, bo znaleźliśmy jego tatę. Albo gdy Aleks marudzi, przeklina i rzuca w nas kluczami francuskimi, bo się o nas martwi, a my, robiąc coś głupiego, szarpimy jego haczykami.

Brynjar znów się zamyślił.

– Serce potrzebuje haczyków? – zapytał po chwili.

Skinęłam głową.

– Bez nich jest tylko mięśniem do pompowania krwi.

Sama byłam zaskoczona, ile haczyków zagnieździło się w moim pancernym sercu. Kiedyś pierwszym odruchem byłoby je wyrwać. Dziś nie widziałam w ich istnieniu tylko słabości. Mięklam na starość.

Światło zaczęło się zmieniać nienaturalnie szybko. Nagle chmury podbarwiły się różowo i łososiowo, jak przed zachodem słońca. Ile czasu minęło tu? Ile tam? Nie wiedziałam. Ale jedno wydawało się pewne – lepiej nie rozłączać ciała i ducha na zbyt długo, bo potem nie zawsze można wrócić.

– Między nami dobrze? – zapytałam Brynjara, biorąc go za rękę.

– Dobrze.

– Wracamy czy chcesz tu zostać dłużej? – Ścisnęło mnie w gardle na myśl, że mogłby nie chcieć wracać.

– Frigg mówiła, że wystarczy, byśmy zjedli jabłko, żeby wrócić. Tak będzie szybciej. Na moście czekają już Ernst i Odyn – powiedział.

Zerwałam wiszące tuż nad jego głową złociste jabłko.

Było słodkie, twarde i soczyste, przypominało w smaku kosztele. Podałam nadgryziony owoc Brynjarowi. Odgryzł duży kawałek i splótł palce z moimi.

Magia zawirowała wokół nas niczym milion tęczowych pszczoł.

Upadłam na plecy i poczułam zimne kafelki. Nie od razu mogłam wstać, w zdrętwiałych bladych rękach i nogach czułam mrowienie. Czekałam, aż krążenie wróci mi do normy. Miałam wrażenie, jakby coś mnie wymemlało i wypluło, jednak to było nieważne. Bo znów czułam w głowie obecność Brynjara.

Na powrót stałam się sobą. Trochę uszkodzoną, smutną i zagmatwaną – ale sobą.

III

Pukanie w drzwi przeszło w łomot. Ewidentnie ktoś miał więcej uporu niż rozumu. Zwlokłam się z łóżka. Po wczorajszych ekscesach czułam się fatalnie, jakby dopadł mnie kac gigant i grypa stulecia w jednym. Owinęłam się szlafrokiem i zeszałam na parter. Musiałam się przytrzymywać balustrady.

Najważniejsze, że Brynjar nadal był ze mną. Cieszył się jak labrador na spotkanie ze swoim ulubionym człowiekiem. I już wiedziałam, kogo zastanę na progu. Potężne chłopisko szczerzyło się do mnie w entuzjastycznym uśmiechu i wyciągało w moją stronę wielki kubek z logo kawiarni. Z kubka dolatywał aromat kawy, czekolady i bitej śmietany.

Może go nie zabiję.

– Byłeś w realnym mieście – powiedziałam odkrywco, bo sieć kawiarni nie dotarła na tę stronę bramy.

Robin kiwnął głową i opadł tyłkiem na stopień schodków.

– Tak było szybciej niż czekać, aż hurtownia ściągnie tu zaworki – przyznał i lekko się skrzywił.

Nie przepadał za wizytami po drugiej stronie. Podejrzywałam, że brak magii i linii magicznych powodował u niego, istoty w większym stopniu magicznej niż ludzkiej, dyskomfort bez porównania większy niż u mnie. Zwłaszcza kiedy ciągle był tak naładowany magią swojej matki. Nie miałam pojęcia, czy mu to kiedyś minie.

– Hydraulik dziś zamontuje zawory i przyłączy i krąg będzie działał. Na szczęście tamtym nie chciało się wykopywać rur wokół domu. Gdybym musiał zapłacić za kładzenie wszystkiego od nowa, chyba bym ich wytopił i sprął.

Robin kiwnął głową, przeprowadzasz się? Czy oddajesz chałupę kolejnym zwierzątkom? Jakies magiczne chomiki szukają schronienia i dostępu do lodówki? – zapytałam złośliwie.

– Jesteś wredna – mruknął, ale uniósł kubek do toastu.

Upiłam łyk kawy. Bitą śmietaną wypełniła mi usta tłustą słodyczą. Brynjar zasygnalizował, że lubi ten magiczny napój i powinniśmy go pić częściej. Ukryłam uśmiech za krawędzią kubka.

– Zaraz się zaczniesz – powiedział Robin i przesunął się, robiąc mi miejsce.

Usiadłam, podwijając połę szlafroka, by podwójna warstwa tkaniny dzieliła mój prawie goły tyłek od betonowego stopnia.

– Coś konkretnego? – zapytałam i napiłam się kawy.

Furtka na podwórko Glorii uchyliła się i na chodnik wytoczyło się najpierw jedno kółko, a chwilę później cały czerwony rower z siedzącym na nim Michasiem. Rower był troszeczkę za wysoki, ale do wakacji pewnie będzie w sam raz, bo mały zmienny rósł jak na drożdżach. Teraz musiał się trochę napocić, by jednocześnie sięgać obu pedałów. Odepchnął się i przejechał nieco chwiejnie kilka metrów. Przez chwilę zmagął się z utrzymaniem pionu i równowagi, a potem zaczął szybko pedałowac, unosząc pośladki nad siedzeniem. Zapisał się z satysfakcją.

– Pojechałeś tylko po zaworki, jasne – powiedziałam z uśmiechem do Robina.

– Przy okazji kupiłem parę rzeczy. Na przykład kawunię dla ciebie. Dla was – dodał po chwili. – Cieszę się, że znów jesteś cała.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Wzruszył ramionami. No tak, Robin i jego dziwna magia. Cholernie sprytny haczyk, wbił się tak głęboko, że może już nigdy nie zdołam go wyrwać.

– Dobrze – szepnęła Brynjar.

Może pogodził się z bólem, który wiązał się z miłością? A może łapówka w postaci kawy z bitą śmietaną trafiła idealnie w jego smak? Przekupna bestia.

MÓWIĄ, ŻE Z RODZINĄ DOBRZE WYCHODZI SIĘ TYLKO NA ZDJĘCIU... NIE Z TĄ!

Zresztą spróbujcie ustawić klan Kozłaków do fotografii. Powodzenia!

Kozłaczki – wiedźmy, kobiety magiczne i sarkastyczne,
nie poprzestają na półśrodkach i kiedy trzeba, idą na całość.

Są nieobliczalne, ale mieszkańcy Zielonego Jaru wiedzą,
że zawsze mogą na nie liczyć. A każda z nich może liczyć na resztę rodziny.

Na dobre, złe i to szalone pomiędzy.



DŁUGO WYCZEKIWANA KSIĄŻKA O NIETUZINKOWYM KLANIE KOZŁAKÓW

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

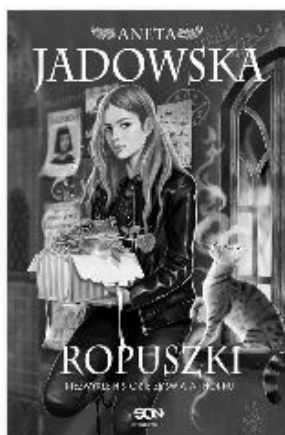
NIE WSZYSTKO, CO DOBRE MUSI SIĘ KOŃCZYĆ!

Idealna pozycja dla tych, którzy tęsknią za Thomem, Dorą Wilk i całą jej wesołą kompanią! Humor, przygoda i Wasi ulubiercy w nowej porcji opowieści. Jak nastoletnia Dora poznała Leona?

Jak wygląda muzyczny pojedynek nekromantów?

Od wizyty w egipskich zaświatach po huczne wilcze wesele.

Tego po prostu nie możecie przegapić – każdy dzień w Thornie to nowa przygoda!



**PRZED WAMI ZACHWYCAJĄCE ILUSTRACJE
MAGDALENY BABIŃSKIEJ I PRAWIE 800 STRON
NIESAMOWITYCH OPOWIADAŃ!**

Szukaj w dobrych księgarniach

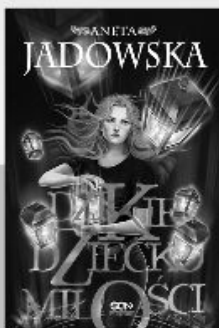
SQN
WYDAWNICTWO
SOCIETY OF NARRATORS

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki. Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **labotiga**.pl